

LINDA
HOWARD

PIEKŁO

Tytuł oryginału:
Raintree: Inferno

PROLOG

Pośród nas zawsze żyli ludzie o nadprzyrodzonych mocach. Najpierw było ich niewiele i żyli w pojedynkę, ale swój zawsze szuka swego i tak było od początku, od zarania dziejów, gdy pierwsi ludzie chronili się przy ogniu w jaskiniach. Czasem, kierowani strachem, przepędzali odmieńców, grożąc im pięściami i maczugami. Czasami obcy odchodzili sami, poszukując istot podobnych do siebie. A chociaż było ich tak niewiele, to mimo że ziemia jest ogromna, potrafili się odnaleźć, jakby przyciągały ich ku sobie te same niewidzialne moce, instynkt oraz wiedza, które u samego początku istnienia rozrzuciły ich po świecie. Kierowała nimi wola przetrwania, gdyż tylko życie w grupie zapewniało bezpieczeństwo.

Z czasem ich liczba wzrosła i zaczął się otwarty konflikt między tymi, którzy chcieli używać swoich mocy, swojej odmienności, by manipulować i wykorzystywać do własnych celów słabych ludzi, a tymi, którzy chcieli żyć w zgodzie z Nieutalentowanymi.

Wreszcie, ponad siedem tysięcy lat temu, podzielili się na dwa klany, dwa królestwa: Raintree i Ansara.

Królestwa te zwarły się w odwiecznej wojnie, a cała ziemia, jak długa i szeroka, stała się jednym wielkim polem bitwy.

Tak było i tak jest.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Niedziela

Dante Raintree stał z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i nie odrywał wzroku od kobiety na monitorze. Czarno-biały obraz ułatwiał dostrzeżenie szczegółów - kolory tylko rozpraszają i utrudniają percepcję. Skoncentrował się na jej dłoniach, chcąc zarejestrować najdrobniejszy gest, ale tym, co naprawdę przykuło jego uwagę, był jej nienaturalny bezruch. Nie kręciła się, nie bawiła żetonami i nie rzucała ukradkowych spojrzeń na innych graczy. Spojrzała jeden jedyny raz na pierwszą trzymaną w ręku kartę, potem już jej nie dotykała, sygnalizowała tylko chęć dobrania kolejnej karty, stukając palcem w stół. Pozornie nie zwracała uwagi na innych graczy, jednak błędne byłoby przeświadczenie, że kobieta rzeczywiście nie wie, co się wokół niej dzieje.

- Jak się nazywa? - zapytał.
- Lorna Clay - odrzekł szef ochrony, Al Rayburn.
- To prawdziwe nazwisko?
- Owszem.

Dante byłby rozczarowany, gdyby się okazało, że Al jeszcze nie przeprowadził dochodzenia na jej temat. Płacił mu wysoką pensję, a w zamian oczekiwał profesjonalizmu i dociekliwości.

- Na początku myślałem, że liczy karty - dodał Al - ale ona chyba nie zwraca uwagi na otoczenie.

- Jest skoncentrowana i czujna - mruknął Dante. - Po prostu nie daje tego po sobie poznać.

Ludzie, którzy liczą karty, muszą zapamiętywać każdą już wyłożoną. Uważano, że w dużych kasynach jest za dużo stołów, by dało się grać taką metodą, ale żadne kasyno nie patrzy przychylnym okiem na zawodowego gracza. Od czasu do czasu zdarzają się ludzie o tak unikalnych zdolnościach, że niczym komputery potrafią błyskawicznie przeprowadzać w głowie skomplikowane obliczenia i szacować prawdopodobieństwo kolejnej sekwencji kart, nawet przy grze na wielu stolach.

- Byłem tego samego zdania - odparł Al - ale spójrz na to nagranie. Podchodzi do niej jakiś znajomy, ona rozgląda się i podejmuje rozmowę. Niemożliwe, żeby zauważyła, co dostali ludzie siedzący po jej lewej stronie. Kiedy przychodzi pora na nią, nie zastanawia się ani przez moment - po prostu stuka palcem. I, do diabła, znowu wygrywa!

Dante obejrzał taśmę do końca, cofnął i obejrzał ją ponownie. Musiał coś przegapić, bo nie udało mu się odkryć ani jednego dowodu na to, że kobieta szachruje.

- Jeśli jest oszustką - stwierdził Al z odcieniem szacunku w głosie - to najlepszą, jaką w życiu widziałem.

- Co ci podpowiada twój nos? - Dante miał zaufanie do swojego szefa ochrony. Al od trzydziestu lat pracował w kasynach i niektórzy uważali, że potrafi wywęszyć szulera,

gdy ten staje w drzwiach. Skoro Al uważa, że kobieta oszukuje, należałoby wyciągnąć z tego konsekwencje.

Al w zamyśleniu podrapał się po brodzie. Był wielki i zwalisty, ale nikt, kto mu się lepiej przyjrzał, nie opisałby go jako powolnego - zarówno fizycznie, jak i umysłowo.

- Jeśli nie oszukuje, jest największą szczęściarą pod słońcem. Wygrywa. Tydzień po tygodniu. Nigdy nie są to wysokie kwoty, ale kasuje nas na pięć tysięcy tygodniowo. Niech to diabli, szefie, ale widziałem jak, wychodząc z kasyna, zatrzymała się przy jednorękim bandycie, wrzuciła dolara, a odeszła z pięćdziesiątką. Za każdym razem jest to inny automat. Kazałem ją obserwować, śledzić, sprawdzałem nawet, czy nie ma współników wśród gości, czy na nagraniach nie powtarzają się jakieś twarze, ale nie udało mi się znaleźć ani jednej wskazówki.

- Jest w tej chwili w sali?

- Pojawiła się pół godziny temu. Gra w blackjacka.

- Przyprowadź mi tu tę kobietę - polecił Dante, podejmując decyzję. - Tylko zadbaj o dyskrecję.

- W porządku. - Al odwrócił się na pięcie i opuścił centrum ochrony, gdzie na dziesiątkach monitorów można było obserwować każdy zakamarek kasyna.

Dante także wyszedł i skierował się do swojego biura. Na jego twarzy nie malowały się żadne emocje. Zazwyczaj to Al rozprawiał się z oszustami, ale tym razem Dante był zaintrygowany. W jaki sposób ona to robi? Było wielu kiepskich szulerów, kilku naprawdę dobrych, ale rzadko zdarzał się ktoś, o kim później opowiadano legendy: oszust, który był w stanie przechytrzyć wszystkie systemy

zabezpieczeń, który nie dał się przyłapać na gorącym uczynku, choć obsługa kasyna została zaalarmowana, a kamery obserwowały każdy jego ruch.

Zdarzało się, że ludzie po prostu mieli szczęście - w potocznym rozumieniu tego słowa. Ślepy traf może odmienić przyzwyczajonego do przegranej pechowca w szczęściarza, który właśnie zdobył najwyższą wygraną. Kasyna od początku swego istnienia żerowały na tej ludzkiej nadziei. Ale szczęście nie ma w zwyczaju powtarzać się regularnie. Dante dobrze wiedział, że coś, co wygląda na uśmiech losu, często jest zwykłym oszustwem. Istnieje oczywiście zupełnie inny rodzaj szczęścia: takie, które on sam posiada, niezależne od przypadku, ale od tego, kim i czym jest - szczęście związane ze szczególnymi talentami i mocami, a nie z uśmiechem kapryśnej fortuny. Niewiele spotkał osób obdarowanych podobną nadludzką mocą, toteż z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł założyć, że kobieta, którą obserwował, jest po prostu bardzo sprytną oszustką.

Jej umiejętności mogłyby stanowić niezłe źródło dochodu, pomyślał. Pięć tysięcy dolarów tygodniowo oznacza dwieście sześćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, a to tylko przychód z jednego kasyna. Z pewnością kobieta odwiedza je wszystkie po kolei, pilnując, by nie wygrywać zbyt dużo i nie zwracać na siebie uwagi.

Zastanawiał się, od jak dawna go naciaga, jak długo uprawia swój proceder.

Zasłony w jego gabinecie były rozsunięte i odsłaniały przeszkloną ścianę. Człowiek, który wchodził tam po raz

pierwszy, miał wrażenie, że znalazł się na osłoniętym dachem tarasie. Ogromne okno wychodziło na zachód, by Dante mógł obserwować zachody słońca w całej ich wspaniałości. Słońce opadło już nisko, a niebo było przesycone intensywnymi odcieniami złota i fioletu.

W jego domu w górach większość okien wychodziła na wschód, dzięki czemu codziennie rano patrzył na słońce wynurzające się zza horyzontu. Potrzebował do życia rytuału witania i żegnania się ze słońcem. Światło słoneczne zawsze go pociągało, może dlatego, że ogień był jego żywiołem - mógł go przyzywać i kontrolować.

Wewnętrzny zegar odpowiedział mu, że za cztery minuty słońce zajdzie. Nie musiał tego nigdzie sprawdzać, by wiedzieć co do sekundy, o której godzinie skryje się ono za pasmem gór na horyzoncie. Nie miał budzika ani zegarka. Jego organizm był tak dobrze zestrojony ze słońcem, że wystarczał mu moment koncentracji, by ustalić, która jest godzina. Należał do tych osób, które mówią sobie, że muszą się obudzić o określonej porze, i zrywają się z dokładnością co do minuty. Ta szczególna cecha nie wynikała z przynależności do klanu Raintree, więc nie musiał jej ukrywać; miało ją wielu najzwyczajniejszych ludzi.

Były wszakże inne talenty, zdolności i moce, które musiał skrywać przed otoczeniem. Długie letnie dni przepełniały go niezwykłą energią, niemal erotycznym podekscytowaniem, i odnosił wtedy wrażenie, że skoncentrowana moc wibruje tuż pod jego skórą. Musiał się dwakroć bardziej kontrolować, aby samą swoją

obecnością nie sprawiać, by świece zapalały się jasnym płomieniem, lub spojrzeniem nie rozniecać pożarów w suchej jak pieprz ściółce leśnej. Kochał Reno i nie zamierzał spalić miasta. Był po prostu tak bardzo przepełniony radością życia i energią, czerpaną ze słonecznego światła, że chciałby emanować nimi, zamiast szczelnie zamykać je w sobie.

Pewnie to samo odczuwał jego brat, Gideon, gdy ścigał do siebie błyskawice: przez jego żyły i mięśnie płynęła niepokonana pałająca siła. To właśnie ich łączyło - związek z niepokonaną potęgą natury. Wszyscy z rozgałęzionego klanu Raintree mieli jakieś moce, jakieś zdolności rozwinięte ponad zwykłą miarę, ale tylko członkowie rodziny królewskiej mogli kanalizować i kontrolować siły natury.

Dante nie był jednym z wielu; był dranirem, przywódcą całego klanu. Słowo „dranir” oznacza „króla”, ale myliłby się ten, kto by uznał jego pozycję za funkcję ceremonialną; była ona związana z rzeczywistą potęgą i władzą. Był najstarszym synem poprzedniego dranira, jednak samo pierworództwo nie zapewniłoby mu sukcesji, gdyby nie odziedziczył także jego mocy.

Gideon ustępował mu nieznacznie; to on zostałby dranirem, gdyby Dantemu przydarzyło się coś złego, gdyby umarł, nie pozostawiawszy po sobie dziecka obdarzonego podobnymi zdolnościami. Perspektywa odziedziczenia władzy tak bardzo przerażała jego brata, że przy każdej okazji obdarowywał go talizmanami wzmagającymi płodność, jak ten ostatni, który leżał na jego biurku.

Otrzymał go w porannej poczcie. Gideon przysyłał je regularnie, częściowo dla żartu, ale też z silnym przekonaniem, że dzięki ich działaniu sprowokuje swego brata do splodzenia potomka - a tym samym zmniejszy prawdopodobieństwo, że to on stanie się sukcesorem i kolejnym dranirem. Po każdym spotkaniu z Gideonem Dante starannie przeszukiwał wszystkie kąty swego mieszkania, jak też wszystkie kieszenie i fałdy ubrania, by się upewnić, że brat nie zostawił gdzieś przemyślnie ukrytego talizmanu.

Teraz pomyślał z rozbawieniem, że Gideon wyraźnie nabrał wprawy w wytwarzaniu amuletów. Ale praktyka czyni mistrza, a Bóg świadkiem, Gideon wyprodukował ich wiele w ciągu ostatnich kilku lat. Nie tylko były coraz bardziej potężne, ale stały się coraz bardziej wymyślne. Część z nich stanowiły srebrne wisiorki, które należało nosić na szyi - choć Dante nie należał do mężczyzn noszących świecidełka. Inne były maleńkie, przezornie zakamuflowane, jak ten drobiażdżek zdobiący najnowszą wizytówkę, którą brat przysłał, słusznie mniemając, że Dante wsadzi ją do kieszeni.

Popełnił tylko jeden błąd - energia wydzielana przez talizman zdradziła jego prawdziwą funkcję; Dante wyczuł jej wibracje, choć wiele czasu zajęło mu ustalenie prawdziwego źródła energii.

Za plecami usłyszał zdecydowane pukanie do drzwi; oznacza to, że Al powrócił. Sekretariat był już pusty - asystentka skończyła pracę parę godzin wcześniej.

- Proszę! - zawołał, nie odrywając wzroku od zachodzącego słońca.

- Panie Raintree, przyprowadziłem panią Lornę Clay - oznajmił Al.

Dante odwrócił się i uważnie zmierzył kobietę wzrokiem. Pierwszą rzeczą, która rzuciła mu się w oczy, był intensywny kolor jej włosów - piękna głęboka czerwień, która obejmowała wiele odcieni od miedzianego po ciemnokasztanowy. Ciepłe bursztynowe światło tańczyło w lokach, a jego ogarnęło gwałtowne, nieopanowane pożądanie. Patrzenie na jej włosy było porównywalne tylko z patrzeniem w ogień, i jego reakcja była taka sama.

Drugą rzeczą, którą zauważył, było to, że kobieta trzęsie się ze złości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kilka rzeczy zdarzyło się niemal jednocześnie; trudno byłoby ustalić, w jakiej precyzyjnie kolejności. Nagły przypływ pożądania wzmocniony przez instynktowną reakcję Dantego na ogień stanowił dodatkową stymulację dla wszystkich jego zmysłów, pobudzonych dzięki energii słonecznej. To uruchomiło lawinową reakcję jego neuronów, zbyt potężną, by zdołał nad nią zapanować. Zobaczył tylko jej skutki: w całym pokoju nagle zapaliły się świece, a ich knoty płonęły tak szybko i dziko, że płomyki zatańczyły dużo wyżej i zaświeciły dużo jaśniej, niż powinny. Leżący na biurku małeńki talizman płodności zaczął emitować energię z zaskakującą mocą, jakby ktoś niespodziewanie przycisnął ukryty do tej pory włącznik.

Co u licha...?

Nie miał czasu, by szczegółowo przeanalizować wszystkie te objawy; wiedział tylko, że musi zapanować nad sobą, inaczej cały pokój stanie w ogniu.

Nie doświadczył tak upokarzającej utraty samokontroli od czasu, gdy był nastolatkiem i buzujące hormony zupełnie go rozstrajały.

Z całą determinacją zaczął podporządkowywać woli tę erupcję mocy. Nie było to łatwe. Chociaż stał sztywno i nieruchomo, targwały nim sprzeczne emocje i czuł się jak kowboj ujeżdżający okrutnego i złośliwego byka. Naturą energii jest dążenie do uwolnienia się, do swobodnego

przepływu, toteż przelewała się przez wznoszone tamy, stawiała opór, gdy wtlaczał ją na powrót za mentalne zapory. Zazwyczaj miał fenomenalną autokontrolę. Cechą prawdziwego dranira jest nie tylko posiadanie mocy, ale i jej kontrolowanie. Brak kontroli prowadzi do nieplanowanych konsekwencji: zniszczeń i prawdziwie groźnych sytuacji, a tym samym do zdemaskowania przez otoczenie osoby obdarzonej paranormalnymi zdolnościami.

Klan Raintree istniał od stuleci w dużej mierze dzięki swojej zdolności do mimikry, do asymilowania się w środowisku zwykłych ludzi, nieodróżniania się od nich. Nie należy lekceważyć cechy będącej warunkiem przetrwania.

Dante przez całe życie doskonalił się w sztuce władania posiadaną mocą i kierowania energią, która przez niego przepływała. Przywykł już, że w czasie letniego przesilenia kosztowało go to więcej wysiłku niż w innych porach roku, a jednak nic go nie przygotowało na zaskakujący poziom trudności, z jakim miał do czynienia w tym momencie.

Opanował się i skoncentrował, wycofując się w głąb siebie, odcinając od zewnętrznych wrażeń i siłą pohamowując bardziej prymitywne instynkty. Mógłby zgasić wszystkie świece, ale kosztem nieco większego wysiłku zmniejszył tylko ich płomyki, gdyż nagłe zdmuchnięcie świeatełek zwróciłoby większą uwagę, niż ich niespodziewane pojawienie się.

Jedyne źródło energii, nad którym nie był w stanie zapanować, kryło się w tym przeklętym amulecie zawierającym zaklęcie na płodność, który pulsował,

brzęczał i niewiele brakowało, by zaczął emitować światło migające jak sygnał alarmowy. Choć wiedział, że te zjawiska są niezauważalne dla zwykłych ludzi, takich jak Al czy Lorna Clay, z wysiłkiem powstrzymywał się, by nie patrzeć w kierunku biurka. Tym razem Gideon przeszedł samego siebie. Jego młodszy brat zasłużył na solidną burę. Jeśli uważa takie rzeczy za śmieszne, zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni. Gideon nie jest jedyną osobą w rodzinie, która potrafi robić amulety i rzucać zaklęcia wspomagające płodność.

Kiedy wreszcie niepożądany ogień został opanowany, Dante przeniósł całą swą uwagę na nowo przybyłą.

Lorna po raz kolejny próbowała wyrwać ramię z łap ochroniarza, ten jednak trzymał ją w żelaznym uchwycie, bez wysiłku, choć najwyraźniej pilnował, aby nie ścisnąć jej ręki zbyt mocno. Jakaś cząstką świadomości doceniała fakt, że mężczyzna starał się nie zadawać jej bólu, ale w tej chwili przede wszystkim odczuwała palącą wściekłość i strach. Miała ochotę rzucić się na niego, kopać, drapać i gryźć, walczyć z całej siły, aby tylko się wyswobodzić.

Nagle włączył się instynkt przetrwania i włosy stanęły jej dęba, gdy z niezwykłą jasnością uświadomiła sobie, że człowiek, który stoi przed wielkim oknem, jest dla niej dużo większym zagrożeniem niż barczysty osiłek za jej plecami.

Strach ją dławił, nie była w stanie przełknąć śliny, jakby niewidzialna łapa zacisnęła się nagle na jej gardle. Nie byłaby w stanie określić precyzyjnie, co właściwie

wywołało panikę i w jaki sposób związany był z nią ten nieruchomy mężczyzna, ale podobnego uczucia paraliżującego lęku doznała wcześniej tylko raz w życiu, w ciemnym zaułku w Chicago. Lorna była prawdziwym dzieckiem ulicy i poruszała się swobodnie w miejskiej dżungli. Zazwyczaj przechodziła pewnym bocznym zaułkiem, skracając sobie drogę do domu - a mówiąc ściślej, obskurnej kawalerki w dawno nieremontowanej kamienicy - lecz owego wieczoru, gdy tylko skręciła w ciemną uliczkę, stanęła jak wryta. Poczowała mrowienie skóry na głowie, włosy jej się zjeżyły, nie była w stanie uczynić kolejnego kroku. Nie dostrzegła niczego podejrzanego, nie usłyszała żadnych niepokojących dźwięków, lecz mimo wszystko znieruchomiała. Serce łomotało jej w piersi tak mocno, jakby miało z niej wyskoczyć, oddychała z wysiłkiem i było jej niedobrze ze strachu. Pomalutku wycofała się z alejki i popędziła okrężną, ale bardziej uczęszczaną drogą wprost do domu.

Następnego ranka w zaułku znaleziono okaleczone zwłoki prostytutki. Przed śmiercią kobieta została brutalnie zgwałcona. Lorna uświadomiła sobie, że to ona mogła być tą porzuconą na bruku, zmasakrowaną kobietą. Mogła... ale nie była, dzięki nagłemu napadowi śmiertelnego lęku, który zmusił ją do zmiany trasy.

Teraz czuła to samo, jakby jakiś szósty zmysł dawał jej znać o przerażającym niebezpieczeństwie. Stojący przed nią mężczyzna, kimkolwiek jest, stanowi dla niej zagrożenie. Nie obawiała się, że zamorduje ją i okaleczy zwłoki - a przynajmniej nie miała żadnych racjonalnych

powodów, by się tego obawiać - ale istnieje wiele innych sposobów, by ją zniszczyć i zadać jej ból.

Czuła się tak, jakby ktoś nagle odciął jej dopływ powietrza. Nie mogła złapać tchu. Przed jej oczami zawirowały świetlne punkciki, świat rozmasał się i z przerażeniem uświadomiła sobie, że zaraz zemdleje. Nie chciała stracić przytomności; byłaby zupełnie bezradna, wydana na pastwę obcych ludzi.

- Panno Clay - odezwał się mężczyzna spokojnym, podejrzenie łagodnym tonem, jakby nie dostrzegał, że jest półprzytomna ze strachu, i jakby nikt poza nią nie zdawał sobie sprawy, że za chwilę zacznie histerycznie wrzeszczeć.
- Proszę, niech pani usiądzie.

Ta banalna prośba - choć w jego ustach zabrzmiała jak rozkaz - odniosła błogosławiony skutek. Lorna poczuła się nagle oswobodzona z pułapki, do której zapędził ją strach, jakby prysło złe zaklęcie. Zdołała zaczerpnąć powietrza bez panicznego łapania tchu. Kolejny oddech, i jeszcze jeden. Nic złego się nie stanie. Owszem, znalazła się w wyjątkowo nieprzyjemnej sytuacji i zapewne nie przyjdzie już do Piekła, by szukać szczęścia w tej jaskini hazardu, ale nie złamała żadnych przepisów prawnych ani ustanowionych przez kasyno zasad. Nikt nie może jej o nic oskarżyć.

Drobniutkie światełka znowu zamigotały jej przed oczami. Co się dzieje? Zaintrygowana odwróciła głowę i na wprost linii jej wzroku znalazły się dwa wielkie świeczniki, każdy o wysokości co najmniej siedemdziesięciu pięciu centymetrów, jeden ustawiony na podłodze, a drugi na

płyce z białego marmuru, służącej jako palenisko kominka. W każdym z nich umieszczone były liczne świece - to ich płomyki dawały migotliwe światło, które dostrzegała kątem oka.

Świece. A więc nie znalazła się na granicy omdlenia. Podświadomie zarejestrowała migotliwą grę światel, której źródłem były płomienie świec. Nie zauważyła ich, gdy została siłą doprowadzona do gabinetu, ale to jest zrozumiałe.

Płomyki tańczyły i chybotwały się, jakby kołysał nimi wiatr. To też jest zrozumiałe. Wprawdzie nie odczuwała przeciągu, ale przecież jest to Reno, sam środek lata, więc klimatyzacja musi działać na najwyższych obrotach. Przychodząc do kasyna, wkładała zawsze bluzki z długimi rękawami, w przeciwnym razie byłoby jej zimno.

Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że zahipnotyzowana światłem świec zamarła w bezruchu i nie odpowiedziała na zaproszenie. Skierowała wzrok na mężczyznę stojącego przy oknie, gorączkowo usiłując sobie przypomnieć, jak właściwie nazwał go ochroniarz.

- Kim pan jest? - rzuciła ostro. Ponownie szarpnęła ramieniem, ale osiłek tylko westchnął. - Proszę mnie puścić!

- Możesz już puścić panią - polecił mężczyzna z lekkim rozbawieniem w głosie - i dziękuję za wskazanie jej drogi do mojego biura.

Ochroniarz uwolnił ją w mgnieniu oka.

- Będę w centrum monitoringu - powiedział i cicho zamknął drzwi.

Lorna przez chwilę rozważała, czy nie rzucić się do ucieczki, ale zdecydowała, że nie ma powodu tego robić. Nie chciała uciekać; kasyno ma jej dane personalne, jej rysopis. Jeśli ucieknie, znajdzie się na czarnej liście - nie tylko w Piekło, ale w każdym kasynie w Nevadzie.

- Jestem Dante Raintree - przedstawił się mężczyzna i odczekał chwilę, jakby czekał na jej reakcję. Nazwisko nie miało dla Lorny żadnego znaczenia, więc tylko pytająco uniosła brwi. - Jestem właścicielem Piekła.

Zakłęła w myślach. Świadcstwo właściciela ma wielkie znaczenie dla komisji gier i hazardu. Musi postępować bardzo ostrożnie, choć ma nad nim wyraźną przewagę. Nie może udowodnić, że oszukiwała, z tego prostego powodu, że nie zawdzięczała wygranych żadnym sztuczkom ani trickom. Nie była oszustką.

- Dante. Piekło. Rozumiem - mruknęła trochę zaczepnie, z niedopowiedzianym „i co z tego” w głosie.

Facet jest pewnie tak nieprzyzwoicie bogaty, że wydaje mu się, iż każdy zwykły człowiek powinien padać przed nim na kolana. Jeśli chce wzbudzić w niej respekt i pokorę, będzie potrzebował czegoś więcej niż bogactwo. Tak jak większość ludzi, Lorna nie lekceważyła wartości pieniądza - z pieniędzmi żyje się łatwiej. Ona na przykład sypiała dużo lepiej, odkąd udało jej się zgromadzić kapitał „na czarną godzinę” - to wielka ulga, jeśli człowiek nie musi się martwić o to, gdzie jutro będzie spał i co włoży do garnka, a przede wszystkim o to, czy w ogóle znajdzie coś do zjedzenia. Jednocześnie pogardzała ludźmi, którzy

uważali, że bogactwo upoważnia ich do jakiegoś specjalnego traktowania.

Ale nie tylko jego bogactwo ją irytowało. Samo imię było pretensjonalne. Może rzeczywiście ten człowiek nosi nazwisko Raintree, ale imię dobrał zapewne po to, by dopasować je do nazwy kasyna i uzyskać teatralny efekt - Piekło Dantego. A w rzeczywistości nazywa się jakoś prozaicznie: Melvin lub Fred.

- Proszę, niech pani usiądzie - powtórzył, wskazując na kremową skórzaną kanapę po jej prawej stronie.

Między sofą a dwoma przytulnymi klubowymi fotelami stał niewielki stolik z jadeitu. Starła się nie przyglądać mu zbyt ostentacyjnie, gdy zajęła miejsce w fotelu, który był tak miękki i wygodny, jak mogła oczekiwać po jego wyglądzie. Stolik jest zapewne elegancką podróbką i ma sprawiać wrażenie, że wykonano go z kosztownego minerału. Trudno było jej uwierzyć, że mogłby być z prawdziwego kamienia, choć jego kolor i szklisty połysk stwarzały wrażenie, że jest to autentyk. Nawet jeśli jest to zwykłe szkło, należy podziwiać mistrzostwo artysty, twórcy tego kosztownego bibelotu.

Lorna czuła się nieswojo. Nawet powietrze w tym pomieszczeniu stwarzało wrażenie całkowicie niezemskiej aury, której nie była w stanie do niczego porównać. Ta obcość niosła ze sobą poczucie zagrożenia i zapewne właśnie ona wywołała atak lęku, którego doznała na samym początku, zanim jeszcze uświadomiła sobie jego przyczynę.

Kiedy Dante Raintree się do niej zbliżył, zdała sobie sprawę, że wszystkie niepokojące doznania koncentrują się wokół niego. Ma rację. Ten człowiek stanowi dla niej zagrożenie.

Poruszał się leniwie, z niedbałym wdziękiem, ale każdy ruch świadczył o jego sile. Był wysoki, a chociaż znakomicie skrojone ubranie stwarzało pozór, że jest szczupły, to żaden krawiec nie zdołałby ukryć potężnych mięśni rysujących się pod cienką tkaniną. Nie jest to gepard, ale tygrys.

Do tej pory unikała patrzenia mu prosto w twarz, jakby nieświadomość wyglądu przeciwnika miała jej dać jakiś pozór bezpieczeństwa. Nie powinna zachowywać się tak niemądrze; ignorancja nie ułatwia obrony, a Lorna nauczyła się dawno temu, że w niebezpiecznych sytuacjach najgłupsza jest taktyka chowania głowy w piasek i czekania, aż zagrożenie minie.

Kiedy usiadł naprzeciwko niej, zebrała się na odwagę i odpowiedziała na jego spojrzenie.

Poczuła się tak, jakby ktoś wymierzył jej silny cios w żołądek. Potem nastąpił lekki zawrót głowy i wreszcie mdlące uczucie spadania. Z trudem powstrzymała się przed kurczowym wbiciem palców w fotel, by odzyskać poczucie równowagi.

Miał czarne włosy. Zielone oczy. Kolory dość powszechne, a jednak nic w tym człowieku nie było zwyczajne i powszechnie spotykane. Gładkie lśniące włosy opadały mu na ramiona. Zazwyczaj nie lubiła u mężczyzn długich włosów, ale jego były czyste i miękkie i w

pierwszym odruchu zapragnęła przeczesać je palcami. Otrząsnęła się z niepożądanych myśli, ale teraz jej uwagę przykuły jego oczy. Nie były zielonkawe, ale intensywnie zielone. W pierwszym odruchu pomyślała, że Dante na pewno nosi kolorowe szkła kontaktowe. Tak czysty i mocny kolor nie może być dziełem matki natury. To muszą być bardzo dobrze zrobione szkła, z mikroskopijnymi prążkami, jak w prawdziwych tęczówkach. Przypomniała sobie, że widziała ich reklamy. Jednak kiedy płomienie świec nagle rozbłysły i jego źrenice na chwilę się skurczyły, odniosła wrażenie, że tęczówki powiększyły się. Czy najdroższe szkła kontaktowe reagowałyby w ten sposób?

On nie ma soczewek. Instynktownie wyczuła, że wszystko, co widzi, od połysku jego kruczoczarnych włosów po intensywną zieleń oczu, jest prawdą.

Przyciągał ją do siebie. Jakaś siła, której natury nie rozumiała, działała na nią tak nieodparcie, że odbierała ją wszystkimi zmysłami. Płomienie świec tańczyły szaleńczo, a po zachodzie słońca, w miarę jak za oknem pogłębiał się zmrok, wydawały się jeszcze bardziej jaskrawe. Świece były jedynym źródłem światła w ciemnym pokoju. Gra światła i cienia uwypuklała ostre rysy męzczyzny, a oczy wydawały się promieniować zielonym światłem jeszcze silniej niż parę minut wcześniej.

Od momentu, gdy usiadł, nie odezwali się do siebie ani słowem, a jednak miała wrażenie, że toczą pojedynek o to, kto będzie panem jej woli, jej niezależności, życia. Gdzieś w głębi duszy zatańczył w niej znowu lęk, migotliwy i chwiejny jak płomyki świec. On wie, uświadomiła sobie i

spreżyła się do ucieczki. Zapomni o kasynie, zapomni o pieniądzach zarabianych w tak łatwy sposób, zapomni o wszystkim poza wolą przetrwania. Uciekaj!

Ale jej ciało nie usłuchało. Nadal siedziała w fotelu, zamrożona, zahipnotyzowana.

- Jak pani to robi? - zapytał w końcu tak spokojnie, jakby nieświadom był zawirowań i rozkołysania energii, z którymi się borykała.

Po raz kolejny jego głos przedarł się przez jej wewnętrzne rozdygotanie i pozwolił jej wrócić na ziemię. Popatrzyła na niego z bezbrzeżnym zdumieniem. Czy on myśli, że to ona jest źródłem wszystkich tych dziwacznych zjawisk?

- To nie ja - odparła bez chwili zastanowienia. - Myślałam, że to pan.

Być może światło świec utrudnia odczytanie wyrazu twarzy, ale przez chwilę miała wrażenie, że zbiła go z tropu.

- Oszustwa przy grze w karty - wyjaśnił. - W jaki sposób pani mnie okrada?

ROZDZIAŁ TRZECI

Może on nic nie wie.

Jego obcesowość, o dziwo, przyniosła jej ulgę. Lorna odetchnęła głęboko. Nareszcie ma do czynienia z czymś, co rozumie. Ignorując dziwaczne przepływy energii, to denerwujące, niemal fizyczne odczucie, że jest otoczona przez coś niezrozumiałego acz realnego, podniosła głowę, zmarszczyła brwi i spojrzała na niego z wyzwaniem.

- Nie oszukuj!

Co było prawdą, przynajmniej w tradycyjnym znaczeniu tego słowa.

- Oczywiście, że pani oszukuje. Nikt nie ma aż takiego szczęścia, chyba że stosuje jakieś sztuczki. To znaczy, że jest oszustem, przepraszam, w tym wypadku oszustką.

Jego oczy błyszczały, ale to przynajmniej było normalne, a w każdym razie lepsze niż ta dziwna zielona poświata, którą zdawały się emanować wcześniej. Oczy nie powinny świecić. Co się z nią dzieje? Może ktoś dosypał jej narkotyku do szklanki, gdy patrzyła w inną stronę? W czasie gry nigdy nie piła alkoholu, ograniczała zamówienia do kawy, soków i napojów gazowanych, ale ostatnia filiżanka kawy miała dziwnie gorzki posmak. Pijąc ją, pomyślała, że ma pecha i dostała jej się porcja z samego dna dzbanka, ale teraz zaczęła podejrzewać, że w kawie mógł się znajdować jakiś środek farmakologiczny.

- Powtórzę jeszcze raz. Nie oszukuję - wycedziła.

- Od dawna przychodzi pani do kasyna. Co tydzień wygrywa pani pięć tysięcy. To z grubsza ćwierć miliona dolarów rocznie - i to tylko z mojego lokalu. Ile jeszcze miejsc naciąga pani na okrągłe sumki? - Zmierzył ją chłodnym wzrokiem, jakby zastanawiał się, dlaczego się nie ubiera lepiej, skoro dysponuje przychodem wyższym niż przeciętny zjadacz chleba.

Lorna poczerwieniała. Już od dawna nie czuła się tak zawstydzona, wręcz upokorzona. Wstyd uważała za luksusowe uczucie, na które jej nie stać. A jednak teraz miała ochotę zapaść się pod ziemię. To prawda, nie ubiera się elegancko i nikt nie umieściłby jej zdjęcia na okładce żurnala, ale ubranie było czyste i przyzwoite, a tylko to się liczy. Co z tego, że jej spodnie i bluzka pochodzą z supermarketu? Nie potrafiła wydać stu dolarów na parę butów, skoro obuwie za dwanaście dolarów pasuje równie dobrze. Za osiemdziesiąt osiem dolarów oszczędności można kupić solidny zapas jedzenia. Jedwab nie tylko dużo kosztuje, ale jeszcze trudno jest utrzymać taką garderobę w porządku. Skoro miała wybór, bez wahania kupowała mieszanki bawełny z poliestrem: tkanina nie gniece się i nie trzeba jej prasować.

- Zapytałem, ile jeszcze kasyn odwiedza pani tygodniowo?

- Nie pański interes.

Spiorunowała go wzrokiem, gniew dodał jej energii i poczuła się pewniej. Lepiej się wściekać, niż przeżuwać poczucie krzywdy. Nie dopuści do tego, by słowa obcego

człowieka zabolą ją, jego opinie nie mają żadnego znaczenia. To prawda, że nosi tanie ciuchy, ale nie chodzi o barta, jej ubranie jest schludne i nie ma powodu do wstydu.

- Myli się pani. Przyłapałem panią na szachrowaniu. Mogę polecić Alowi, żeby ostrzegł szefów ochrony w innych kasynach.

- Na niczym mnie pan nie przyłapał! - Była tego absolutnie pewna. Nie złamała żadnego przepisu.

- Ma pani szczęście, że trafiła na mnie - kontynuował, jakby nie usłyszał jej zaprzeczeń. - Są w Reno ludzie, którzy chętnie wydaliby wyrok śmierci na wszystkich szulerów.

Serce w niej zamarło. On ma rację. Gracze opowiadali sobie mrozące krew w żyłach historie o ludziach, którzy usiłowali różnymi niezbyt uczciwymi sztuczkami pomóc swojemu szczęściu - i albo ślad po nich ginał, albo znajdowano poniewczasie ich zwłoki.

Nie była słodką idiotką, dobrze rozumiała, że właściciel Pieła wcale nie przesadza, bo takie rzeczy się zdarzają. Starła się za wszelką cenę pozostawać niewidzialna, nie używała oferowanych przez kasyna kart, które pozwalają śledzić poczynania poszczególnych graczy, kontrolować, kto wygrywa, a kto traci, ale najwyraźniej coś przegapiła i jakimś niebacznym ruchem zwróciła na siebie uwagę. W mieście są ludzie, na których jej niewinność nie zrobi żadnego wrażenia; jedno słowo do niewłaściwej osoby i będzie po niej.

Czy rzeczywiście powiedział, że jej nie wyda, że rozliczenia między nimi pozostaną ich prywatną sprawą?

Dlaczego właściwie chce jej pójść na rękę? Przyszły jej do głowy dwa możliwe powody. Jeden z nich to stary jak świat szantaż: przysługa za seks. „Bądź grzeczna, moja mała, to nikomu nie powiem, co o tobie wiem”. Drugi możliwy powód był taki, że Dante ją podejrzewa, ale nie ma żadnych dowodów. Zamierza ją przyłapać na niebacznym przyznaniu się do winy lub przynajmniej zakazać jej wstępu do kasyna. Jeśli chce ją zmusić do usług seksualnych, to jest obleśnym szantażystą, a z takimi umiała sobie radzić. Jeśli przyświeca mu drugi powód, to ma do tego pełne prawo, ale nie zamierzała mu niczego ułatwić.

To jego problem.

Obserwował ją tak bacznie, jakby chciał odczytać najmniejszą emocję na jej twarzy. Lorna próbowała nie wykonywać żadnych nerwowych ruchów, ale jego spojrzenie wyprowadzało ją z równowagi: czuła się jak preparat pod szkiełkiem mikroskopu. Zawsze starała się wmieszać w tłum, trzymać się w cieniu; anonimowość jest najlepszą gwarancją bezpieczeństwa.

- Proszę się uspokoić. Nie zamierzam pani szantażować i domagać się seksu, chociaż jest pani atrakcyjną kobietą - stwierdził. - Nie muszę zmuszać swoich partnerek, żeby poszły ze mną do łóżka, mogę przebierać w ofertach.

Zaskoczył ją tak bardzo, że omal nie podskoczyła. Albo on potrafi czytać w myślach, albo ona nie kontroluje

wyrazu twarzy tak dobrze, jak jej się zdawało. To nieprawdopodobne, że dała coś po sobie poznać. Zbyt długo jej życie zależało od zdolności do koncentracji i samokontroli; mechanizmy ochronne wyrobione przez całe lata nie mogą zawieść ni stąd, ni zowąd. To znaczy, że w jakiś niesamowity sposób Dante odczytał jej myśli. Wielki Boże, on czyta w myślach!

Napad panicznego lęku zmącił logiczny tok jej rozumowania, potem nagle - jakby rozplynęła się mgła - panika ustąpiła, a w to miejsce pojawił się w jej wyobraźni niezwykle wyrazisty obraz dwóch osób splecionych w miłosnym uścisku. Przez chwilę miała wrażenie, że stoi poza swoim ciałem, obserwując samą siebie w łóżku z Dantem. Byli nadzy, skóra lśniła od potu, grały napięte mięśnie, jakby uprawiali zapasy, a nie seks. Jej ramiona i nogi oplatały go mocno, wydawały się białe w zestawieniu z jego oliwkową skórą. Powietrze przesycone było ich zapachem, zapachem seksu.

W tym momencie ocknęła się z zawstydzającą pewnością, że on świetnie wie, co się dzieje w jej wyobraźni. Z trudem zebrała myśli na tyle, by rozróżnić jawę od snu; wyimaginowana przyjemność nęciła ją z taką siłą, że chciała się w niej zagubić.

Coś jest nie w porządku. Traci zdolność kontrolowania własnych reakcji, a zamiast tego miotają ją niewidzialne wyładowania energii, prądy pojawiające się znikąd i zanikające bez ostrzeżenia. Nie była w stanie skupić się na swoich doznaniach na tyle długo, by je zanalizować. Gdy myślała, że staje twardo na ziemi,

traciła równowagę i coś rzucało ją w innym kierunku, ku nowym doznaniom, pękała kolejna bańka dzikich, niepohamowanych emocji.

Tymczasem mężczyzna odezwał się znowu, jakby nieświadom tego, co dzieje się wokół, zatopiony we własnych myślach. Jakim cudem nie dociera do niego nic z tych niesamowitych zjawisk? Czyżby były one jedynie wytworem jej wyobraźni? Kurczowo uchwyciła się oparcie fotela, niepewna, czy przypadkiem nie doznała rozstroju nerwowego.

- Przeczuwa pani przyszłość. - Przyjrzał się jej z lekkim uśmiechem, jakby spostrzegł jakiś dziwny okaz fauny lub flory. - Jest pani także empatką, może nawet z odrobiną zdolności do telekinezy. To interesujące.

- Zwariował pan? - prychnęła ze złością, przerażona, z trudem koncentrując się na jego słowach. Interesujące? On jest o krok od zrujnowania jej życia albo ona popada w obłąd, a on uważa, że jest to interesujące?

- Nie, nie sędzę. A raczej mam stuprocentową pewność, że jestem w pełni władz umysłowych. -W jego oczach zamigotało rozbawienie i to spowodowało, że nabrały ciepła. - Proszę, Lorno, niech pani spróbuje postawić hipotezę. W jaki sposób mogłem się dowiedzieć o pani talencie do przewidywania przyszłości? Skąd to wiem? - Zawiesił głos, jakby czekając na odpowiedź.

Siedziała nieruchomo i patrzyła na niego bez mrugnięcia okiem. Czy chce jej dać do zrozumienia, że naprawdę umie czytać w myślach, czy zastawia na nią pułapkę, której ona nie potrafi jeszcze dostrzec?

Nagły mroźny powiew przeniknął ją lodowatym zimnem, jakby w pomieszczeniu hulał arktyczny wiatr. Razem z nim przeniknęło ją to samo przerażające poczucie śmiertelnego zagrożenia, którego doznała już wcześniej, gdy tylko weszła do pokoju i zobaczyła Dantego po raz pierwszy. Objęła się ramionami i zagryzła wargi, by nie szczekać zębami. Chciała uciekać, a nie mogła się poruszyć, mięśnie po prostu nie słuchały instynktownego sygnału do ucieczki.

Czy to on jest źródłem wszystkich tych... paranormalnych zjawisk w gabinecie? Nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa na ich opisanie - stanowiły kakofonię doznań, jakby mentalny tumult i zgiełk. Nigdy wcześniej nie znalazła się w takiej sytuacji z pogranicza jawy i snu.

- Proszę się odprężyć. Nie jestem w stanie tego dowieść, więc nie złożę doniesienia przeciw pani. Ale zdradziła się pani, oskarżając mnie, że „to robię”. Co właściwie? Tego pani nie wyjaśniła, ale stwierdzenie było interesujące, bo świadczyło, że odbiera pani przepływy energii w pomieszczeniu. - Splótł palce i oparł na nich podbródek, uważnie się jej przypatrując. - Zwykli ludzie by ich nie odczuli. Paranormalne zdolności zazwyczaj manifestują się na różne sposoby. Teraz jest dla mnie oczywiste, w jaki sposób pani ciągle wygrywa. Po prostu widzi pani w głowie, jaka karta zostanie za chwilę wyłożona. Wyczuwa pani, który jednoręki bandyta wypłaci wygraną. Może nawet potrafi pani manipulować komputerem, aby pokazały się trzy identyczne obrazki.

Zimny prąd powietrza zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił. Tak bardzo usztywniła wszystkie mięśnie, że pozbawiona niepokojącej stymulacji nagle zapadła się w sobie jak przekłuty balonik. Bała się nawet, że zsunie się bezwładnie z fotela. Kurczowo zacisnęła zęby. Nie pozwoli się wciągnąć w dyskusję o swoich paranormalnych zdolnościach. Ma prawo sądzić, że pokój jest na podsłuchu i wszystko, co powie, zostanie nagrane i sfilmowane, by wykorzystać te słowa przeciw niej. Co będzie, jeśli znowu ulegnie jakiejś dziwacznej halucynacji? Mogłaby wtedy pleść, co tylko jej ślina na język przyniesie, przyznać się do jego najbardziej nieprawdopodobnych oskarżeń. Do licha - wszystkie niezrozumiałe doznania mogą być wywoływane przez specjalną aparaturę, którą ma gdzieś zainstalowaną.

- Nie należy pani do klanu Raintree - ciągnął łagodnym tonem. - Znam swoich ludzi. Ale chciałbym poznać odpowiedź na pytanie: czy należy pani do Ansarów, czy jest niczyja?

Szok podziałał na nią zbawiennie.

- Niczyja? - powtórzyła ze złością, odnajdując w sobie siłę. Znalazła się na znajomym gruncie. Nadal czuła się trochę dezorientowana, ale ustąpiły niepokojące seksualne wizje, poczucie zagrożenia i fizyczne doznanie przejmującego zimna.

Odetchnęła głęboko i opanowała gniew. Porównał ją do kundla porzuconego przez właścicieli. Prócz gniewu obudziło to znane jej od zawsze gorzkie poczucie odrzucenia, braku akceptacji. Niechciana. Tak było

zawsze. Przez chwilę, przez jakiś cudownie słodki moment miała wrażenie, że zły los można odmienić, ale nawet ten ostatni strzęp nadziei został jej odebrany, a potem już nigdy nie miała odwagi ani woli, by próbować ponownie. Dała za wygraną, ale to wcale nie zmniejszyło bólu.

- Źle mnie pani zrozumiała. - Bagatelizująco machnął ręką. - W ten sposób określa się ludzi obdarzonych paranormalnymi talentami, którzy nigdzie nie należą.

- Należą do czego? O czym właściwie pan mówi? - Miała zamęt w głowie, a niedowierzenie i oburzenie nie były udawane.

- Chodzi o ludzi, którzy nie są ani Raintree, ani Ansara.

To w najmniejszym stopniu nie przybliżyło jej do zrozumienia, o czym właściwie jest mowa. Przestraszona i zdenerwowana, przerwała mu zdecydowanie.

- Kim do diabła jest Ann Sara?

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się z całego serca, tak głośno i niefrasobliwie, jakby robił to często. Poczula głęboki niepokój. Zazwyczaj trzymała ludzi na dystans, ale wyimaginowany seks na tyle wytracił ją z równowagi, że zamiast chłodnego uznania dla walorów fizycznych tego atrakcyjnego mężczyzny poczuła do niego silny pociąg. Przyłapywała się na mimowolnych ukradkowych spojrzeniach na jego muskularne ramiona, pięknie wyrzeźbiony zarys szczęki. Przystojny - z jakiegoś powodu to słowo było niewystarczające, zbyt nijakie. Był uderzająco przystojny, obdarzony urodą przykuwającą

uwagę. Jednak na pierwszy rzut oka to nie jego wygląd wywarł na niej wrażenie, ale siła i pewność siebie urodzonego przywódcy.

- Nie Ann Sara - wyjaśnił ze śmiechem. - Ansara. A-N-S-A-R-A.

- O nich też nie słyszałam - rzekła niepewnie, zastanawiając się, czy Dante mówi o czymś w rodzaju rodziny mafijnej.

- Doprawdy? - Powiedział to uprzejmym tonem, ale nie miała wątpliwości, że w głębi kryła się zawołowana groźba.

Pomyślała, że musi lepiej nad sobą panować. Dziwaczne wydarzenia, jakie miały miejsce w gabinecie Dantego, wytrąciły ją z równowagi. Zwykle nie pozwalała sobie na taki brak samokontroli. Teraz, gdy nic nie bombardowało jej zmysłów, zaczęła odzyskiwać zimną krew. Nie wiedziała, co właściwie dzieje się wokół niej, ale tym ważniejsze było racjonalne postępowanie i chronienie siebie za wszelką cenę.

Czekał, by wreszcie odpowiedziała na zadane pytanie, lecz zignorowała go i skoncentrowała się na budowaniu wokół siebie tarczy ochronnej.

Tarczy?

Skąd właściwie przyszło jej do głowy to słowo? Nigdy dotąd nie myślała o sobie w wojskowych kategoriach.

Aż do tej chwili.

Jest najbardziej bezbronną empatką, jaką kiedykolwiek widział. Obserwował jej rozpaczliwe

zmagania z gwałtownym przyplywem i zmiennymi prądami energii. Zarówno na jego myśli, jak i pokaz kontroli nad ogniem zareagowała jak całkowita nowicjuszka. W pełni kontrolował swój dar, ale od czasu do czasu manipulował nim, zmuszając płomyki świec do chaotycznego tańca. Lorna trzymała się wtedy oparcie fotela tak kurczowo, jakby miała ją porwać sztormowa fala, i rozglądała się wokół niespokojnie, jakby spodziewała się, że z ciemnego kąta wyskoczą potwory.

Kiedy wyczuł jej strach, że usłyszy nieprzyzwoite propozycje - co zresztą można było odgadnąć bez telepatii - pozwolił sobie na sprowokowanie jej do przelotnej erotycznej fantazji. Zareagowała tak, jakby naprawdę znaleźli się razem w łóżku. Jej wargi zaczerwieniły się, policzki zaróżowiły, rozchyliła usta, przymknęła powieki, a pod tanim sweterkiem zarysowały się wyraźnie piersi.

Do diabła! Przez chwilę miał nieprzepartą ochotę, aby urzeczywistnić swoją fantazję.

Jeśli ona należy do Ansarów, to chyba nikt nigdy nie szkolił jej w posługiwaniu się talentami, które miała. Chyba że potrafi się nimi posługiwać z taką wirtuozerią, by w mistrzowski sposób udawać nowicjuskę. Jeśli należy do Ansarów, wtedy obstawiałby tę drugą ewentualność. Przynależność do klanu Raintree ma wiele stron dodatnich i jedną ujemną, ale bardzo groźną: śmiertelnego wroga. Wrogość między dwoma klanami doprowadziła dwieście lat temu do walki na śmierć i życie, zakończonej rozgromieniem Ansarów przez zwycięskich członków klanu Raintree. Niedobitki rozpiezchły się po całym świecie i

nigdy nie odzyskały sił na tyle, aby ponownie wypowiedzieć wojnę potomkom Raintree. Jednak od czasu do czasu jakiś samotnik z rodu Ansara próbował mścić się na wrogach na własną rękę.

Podobnie jak Raintree, Ansarowie mieli różne talenty i byli nimi obdarzeni w różnym stopniu. Ich ścieżki niejednokrotnie krzyżowały się z drogami Dantego, stąd wiedział, że są równie dobrze wyszkoleni jak członkowie jego własnego klanu, i żadnego z nich nie należy lekceważyć. Nie są tak potężni jak dwieście lat wcześniej, ale każdy z nich jest niebezpiecznym przeciwnikiem.

Nie zdziwiłby się, gdyby ktoś z wrogiego klanu chciał okraść właśnie jego. W Reno są większe kasyna, ale oszukiwanie właściciela Piekła przysporzyłoby każdemu z rodu Ansara niebywałej popularności wśród swoich. Lorna Clay mogłaby się tym pysznić - jeśli jest Ansarką.

Dante miał niewielkie empatyczne uzdolnienia - nawet nie śmiał się porównywać pod tym względem ze swoją młodszą siostrą Mercy, ale potrafił wyczuć nastroje i odczytać myśli większości osób, których dotknął. Wyjątkiem byli tu Ansarowie, bo od najwcześniejszych lat trenowano ich w sztuce wznoszenia wokół siebie ochronnej tarczy, jakiej nie potrafili skonstruować zwykli ludzie. Empaci muszą się chować pod mentalną tarczą ochronną, inaczej przytłacza ich nadmiar bodźców płynących z otoczenia, a Lorna przed chwilą wydawała się całkowicie nieporadna i zagubiona.

A może po prostu jest bardzo dobrą aktorką.

Światło świec rzucało blask na jej skórę i włosy.

Była śliczną kobietą z wysokim czołem i ładnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi - nawet jeśli pierwsze wrażenie psuła jej naburmuszona i wroga postawa. Ale gdyby ktoś go przyłapał na szachrajstwie, też byłby wobec niego niezłaskawie usposobiony.

Miał ochotę jej dotknąć, aby dowiedzieć się czegoś więcej. Niestety, gdyby tylko wykonał gest w jej kierunku, uciekłaby z krzykiem. Była tak spięta, że wywróciłaby się z fotelem do tyłu, gdyby na nią huknął.

Może splatały jej psikusy, gdyby nie to, że sprawa oszustw jest poważna.

Pochylił się do przodu, gdy...

Rozległ się głośny dźwięk, jeden, a potem drugi i trzeci. Nagłe podskoczył mu poziom adrenaliny, zerwał się na równe nogi, złapał ją za ramię i szarpnięciem poderwał z fotela.

- Co się dzieje? - Aż krzyknęła z przerażenia, zbladła, ale nie próbowała się wyrwać.

- Ogień - odparł krótko i pociągnął ją do wyjścia.

Po włączeniu się alarmu pożarowego windy przestawały działać, a oni znajdowali się na dziewiętnastym piętrze.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lorna potknęła się i o mało nie upadła, gdy Dante ciągnął ją za sobą korytarzem. Uderzyła się boleśnie biodrem we framugę drzwi, bolało ją ramię, które tkwiło w żelaznym uchwycie Dantego jak w imadle. Mimo to nie zaprotestowała ani słowem, nawet nie jęknęła, prawie nie reagowała na ból, gdyż wszystko przyćmił jej najgorszy koszmar, który się tak niespodziewanie urzeczywistnił.

Ogień!

Zobaczyła, że Dante spojrział na nią przenikliwie i ze zrozumieniem, puścił jej ramię i objął lewym ramieniem jej talię. W ten sposób ją przytrzymał, gdy razem biegli w kierunku klatki schodowej. W korytarzu byli sami, ale zaraz za drzwiami z napisem „Wyście” usłyszała tupot wielu stóp, gdyż tłum szturmował schody.

Poczuła w powietrzu swąd dymu. Jej serce raptownie przyspieszyło. Panicznie bała się ognia, od zawsze, i nie była to racjonalna obawa, jaką żywi każda inteligentna istota. Gdyby miała wybrać najbardziej przerażający rodzaj śmierci, byłaby nią śmierć w płomieniach. Miewała koszmary senne, że jest uwięziona za ognistą ścianą i nie może przyjść z pomocą komuś droższemu jej niż własne życie (może dziecku?), nie może też uciec przed nieuchronną śmiercią. Zawsze budziła się, gdy zaczynały lizać ją płomienie i z ciała obłaziła spalona skóra.

Nie lubiła żadnego otwartego ognia - świec, kominków, a nawet palników w kuchenkach gazowych. Teraz Dante Raintree na poły włókł ją, a na poły niósł w dół, gdzie szalała bestia, podczas gdy instynkt krzyczał w niej, że powinna uciekać do góry, jak najdalej od szalejącego niżej żywiołu.

Na podeście klatki schodowej paniczny lęk niemal odebrał jej zdolność do racjonalnego działania. Rozumiała, że musi kierować się w dół, bo skok z dachu nie jest wyjściem z sytuacji. Zagryzała wargi do krwi, aby powstrzymać szczekanie zębami, skupiła uwagę na utrzymaniu równowagi i mocnym stawianiu stóp, by się nie potknąć, nawet jeśli mocny uścisk Dantego upewniał, że w każdej chwili ją podtrzyma.

Dołączyli do grupy schodzącej w dół, ale w pewnej chwili przejście się zablokowało. Jedni pokrzykiwali na drugich, by usunęli się z drogi. W tym zamieszaniu nie było już słycać nikogo. Ludzie nie rozumieli się wzajemnie, niektórzy zaczęli kasłać pod wpływem gęstniejącego dymu.

- Nie możecie iść na górę! - zagrzmiał Dante.

Jego głos dominował nad zgiełkiem i dopiero wtedy dotarło do Lorny, że wpadły na siebie dwie grupy uciekających w panice ludzi - jedna z nich usiłowała zejść na dół, druga pędziła schodami na najwyższe piętra.

- Coś ty za jeden? - wrzasnął jakiś niewidzialny oponent.

- Jestem właścicielem Piekle, do cholery! - odparował Dante. - Zbudowałem to kasyno i dobrze wiem, co robię. A

teraz zawracajcie i wszyscy maszerujemy na parter. To jedyna droga ucieczki.

- Na dole jest dużo więcej dymu!

- Proszę zdjąć koszule i owinać twarz, wszyscy muszą zakryć nos i usta! - polecił, podnosząc głos, aby wszyscy go usłyszeli.

Dostosował swoje czyny do słów, puścił na chwilę Lornę i zerwał z siebie kosztowną marynarkę. Lorna patrzyła otępiała, jak wyjmuje z kieszeni scyzoryk, otwiera go i odcina jedwabną podszewkę. Zręcznie rozerwał ją na dwie części. Jeden kawał tkaniny podał Lornie.

- Weź to - polecił, zamknął scyzoryk i schował go w kieszonce spodni.

Spodziewała się, że jakaś zbuntowana grupa oderwie się i mimo wszystko zacznie się przepychać na górę, ale ku jej zdziwieniu nikt z Dantem nie dyskutował. Kilku mężczyzn zerwało z siebie marynarki i porwało na kawałki podszewkę, aby inni ludzie też mogli zakryć twarze. Lorna pospiesznie zawiązała jedwab wokół twarzy tak mocno, że przylegał jak maska chirurgiczna. Obok niej Raintree zrobił to samo.

- Idziemy - oświadczył, a ludzie zachowali się jak posłuszne stado zaganiane przez owczarka. Tłum zaczął rzędnąć, uciekinierzy jeden po drugim ruszyli w dół.

Lorna poczuła, że jej własne nogi niosą ją, jakby były obdarzone własną wolą, coraz niżej i bliżej tego piekła, jakie oczekiwało na nich na najniższych kondygnacjach.

Dante objął ją mocniej i zaczął przepychać się do przodu.

- Przepuście mnie - polecił. - Wskażę wam drogę ewakuacyjną.

Ludzie posłusznie przesuwali się na jedną stronę. Lorna usłyszała wprawdzie kilka gniewnych protestów, ale utonęły one w ogólnym chórze głosów, które wskazywały, że nikt tak jak właściciel nie zna tego budynku, więc najlepiej spełni rolę przewodnika.

Przed nimi na schodach tłoczyło się coraz więcej osób, bo opróżniały się kolejne piętra, ale wszyscy posłusznie ustępowali Dantemu, gdy wraz z Lorną przepychał się do przodu. Gryzący dym szczypał w oczy, łzy ciekły po twarzy, a temperatura rosła. Jak nisko zeszi? Lorna spojrzała na numer namalowany na drzwiach, ale przez dym i łzy niewiele można było dostrzec. Szesnaste piętro. A może piętnaste. Tylko tyle?

Czuła, że w tym pożarze pisana jest jej śmierć. Czuła lodowaty oddech śmierci, która czekała na nią po drugiej stronie kurtyny z płomieni. Nie mogła jej dostrzec, ale wyraźnie słyszała jej zew. To dlatego panicznie bała się ognia. Wiedziała, że któregoś dnia spłonie w pułapce bez wyjścia. Wkrótce będzie po niej - udusi się lub spali - i nikt po niej nie zapłacze.

Dante trzymał wszystkich w żelaznym uchwycie woli i zmuszał do uporządkowanej ewakuacji. Nigdy dotąd nie próbował telepatycznego narzucania swojej woli innym, nie wiedział nawet, że posiada ten szczególny talent, i podejrzewał, że nie zdołałby zapanować nad spanikowanym tłumem, gdyby zbliżające się letnie

przesilenie nie wzmagało jego mocy. Początkowo sam wątpił, czy zdoła manipulować tak dużą grupą, ale - do diabła - pożar grozi zniszczeniem kasyna, toteż zamierzał walczyć o nie ze wszelkich sił. Przełał całą swoją moc w słowa i myśli - i posłuchali go.

Słyszał syrenią pieśń płomieni, które przyzywały go do siebie. Może nawet to one wzmagały jego siły, gdyż bezpośrednia bliskość ognia wywołała w nim przyspieszone bicie serca. W jego żyłach rozlewała się adrenalina. Chociaż gęsty dym szczypał w oczy i przedostawał się przez jedwabną maskę do ust i nosa, w Dantem pulsował żywioł podobny do tego szalejącego w kasynie. Miał ochotę śmiać się, szeroko rozpostrzeć ramiona i przywołać ogień, aby stanął do walki ze swoim władcą i uległ mu, podobnie jak otaczający go ludzie.

Gdyby kontrola nad ludzkim umysłem nie wymagała od Dantego tak ogromnej koncentracji, już teraz zmagalby się z pożarem w pojedynku, w którym z jednej strony stałaby niepokonana potęga natury, a z drugiej - siła jego woli. Każdym swoim nerwem rwał się do tej walki. Ugasi płomień, ale najpierw musi wyprowadzić tych ludzi i ocalić ich przed niebezpieczeństwem.

Lorna dotrzymywała mu kroku, ale wystarczyło zerknąć na jej twarz, a przynajmniej fragment nad opaską z szarego jedwabiu, by się zorientować, że jedynie jego wola skłania ją do schodzenia w dół. Była blada jak ściana, a w jej oczach malował się zwierzęcy strach. Dante przyciągnął ją do siebie bliżej - chciał ją mieć w zasięgu ręki, gdy znajdują się na parterze. Istniało ryzyko, że

zaślepiąca strachem kobieta zdoła przełamać przymus psychiczny i rzuci się do ucieczki. A on jeszcze z nią nie skończył. W dodatku niespodziewany pożar może być kolejnym wydarzeniem, które powinna mu wyjaśnić, ważniejszym niż oszukiwanie przy stoliku.

Jeśli jest Ansarką, jeśli ma coś wspólnego z wywołaniem pożaru w jego kasynie - umrze. Nie ma innej możliwości.

Dotykał jej, ale nie był w stanie odpowiedzieć na pytanie, czy Lorna należy do wrogiego klanu. Jego uzdolnienia w dziedzinie empatii zawsze pozostawiały wiele do życzenia, a w dodatku nie mógł się skupić na czytaniu w jej myślach i emocjach. Skoro do tej pory nie doszedł do żadnej konkluzji, to znaczy, że Lorna albo jest niczyja, albo potrafi skutecznie się maskować nawet przed nim. Tak czy owak, trzeba się wstrzymać z konkluzją.

Wyczuwał, że ogień jest skoncentrowany w kasynie, ale gwałtownie rozprzestrzenia się w kierunku hotelu. Większość takich budynków projektowano właśnie w ten sposób - by w drodze do hotelu goście musieli przejść przez kasyno, co zwiększało szanse, że zatrzymają się przy jakimś automacie czy stole i zagrają. Dante, projektując Piekło, zdecydował się umieścić część hotelową po przeciwnej stronie niż kasyno. Oczywiście istniała część wspólna, umożliwiająca przejście z hotelu do kasyna bez wychodzenia na zewnątrz, ale goście, którzy chcieli uniknąć kontaktu z barwnym tłumem graczy, mogli z łatwością dostać się do swoich pokoi bez zagładania do jaskini hazardu. Było to ryzykowne rozwiązanie, ale

przyniosło mu ogromny sukces. Piekło było bardziej eleganckie niż inne podobne budowle w Reno, a dzięki temu miało swój własny styl i stało się powszechnie rozpoznawalne i chętniej wybierane przez gości.

To rozdzielenie części hotelowej i kasyna z pewnością ocali dzisiaj wiele ludzkich istnień, pomyślał. Nie wiedział, jaka była sytuacja w głównych salach i jaki mógł być los bywalców kasyna. Nie był teraz w stanie im pomóc. Musi panować nad tłumem gości hotelowych schodzących w dół schodami. Gdyby wpadli w panikę, zaczęli się popychać i przewracać, nie tylko stratowaliby wiele osób, ale jeszcze mogliby zablokować drzwi wyjściowe, napierając na nie. Takie rzeczy się zdarzały i będą zdarzać, ale nie w jego hotelu, nie w jego obecności.

Na kolejnym podejście przez warstwę dymu Dante dostrzegł numer i stwierdził z ulgą, że jeszcze dwie kondygnacje i znajdują się na parterze. Dym stał się tak gęsty, że w płucach aż piekło.

- Za chwilę będziemy na dole - rzucił za siebie. Gdzieś z tyłu jedni drugim powtarzali jego słowa.

Drzwi wychodziły nie na zewnątrz, ale na korytarz z pomieszczeniami biurowymi po obu stronach. Dante przytrzymał je własnym ciałem.

- Proszę iść w prawo. Potem przez podwójne drzwi na końcu korytarza, znowu w prawo i przez drzwi za automatem z napojami. Wychodzą na podziemny parking. Stamtąd prosto na dwór. Prędko, prędko!

Wszyscy przeszli jak marionetki poruszane niewidzialną dłonią, potykając się i kaszląc, ale podążając

w bezpieczną stronę. Powietrze było gorące, widoczność ograniczona do najbliższych paru metrów. Ludzie znikali w oparach dymu niczym duchy. Słysząc było tylko oddalające się szuranie nogami i pokasływanie.

Poczuł, że Lorna stara się wyrwać, posłuszna już nie tylko jego woli, ale własnemu spanikowanemu umysłowi. Przytrzymał ją mocniej. Zapewne mógłby wyłączyć ją z tego zbiorowego exodusu, ale nie chciał ryzykować. Dopóki jego polecenie było tak silne i jednoznaczne, miał pewność, że nikt z ludzi się nie wyłamie. Musiał tylko przytrzymać Lornę, aby uniemożliwić jej ucieczkę.

Na plecach czuł oddech ognia. Żywił się zbliża. Cały się sprężył, gotów, by odwrócić się i wydać walkę tej sile natury, którą umiał przywołać i ujarzmić na każde zawołanie. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie...

Kiedy ostatnie postacie przemknęły z klatki schodowej na korytarz i zniknęły w sienie mgły, Dante, trzymając Lornę w uścisku, skręcił w lewo, w przeciwną stronę niż parking, w kierunku ryczącego czerwonego demona.

- Nieee.

Był to bardziej jęk niż krzyk; Lorna szamotała się w jego ramionach z determinacją złapanego w pułapkę dzikiego zwierzątka. Pospiesznie popchnął myślą ludzi uciekających na parking i wydał rozkaz skierowany do jednej osoby, silniejszy niż najmocniejsze więzy:

- Zostań ze mną.

Lorna w jednej chwili przestała się szarpać, choć słyszał jej zdławiony jęk i głośny oddech, gdy skierowali się do dużego westybulu między hotelem a kasynem.

Jednym pchnięciem otworzył drzwi i wstąpił do prawdziwego piekła, ciągnąc za sobą bezwolną kobietę.

Włączył się system zraszający pomieszczenia, ale panował tam tak upiorny upał, że woda wyparowywała, zanim spadła na podłogę. Fala ciepła załazała ich, ale wyszeptał zaklęcie i zmusił ją do odwrotu. Wysoka temperatura i dym są wytworem ognia, są jego częścią, więc panował nad nimi z równą łatwością jak nad żywiołem. Wreszcie mógł się skoncentrować, stworzyć wokół siebie i swej towarzyszki ochronną bańkę, pole, które odbijało kłęby dymu i poddmuchy piekielnego żaru.

Pożar szalał w całym kasynie. Płomienie chciwie lizały ściany czerwonymi jęzorami, rozwidlały się na złociste języczki, przykrywały wszystko pomarańczowymi i czarnymi płachtami, tańczyły i huczały w żarłocznym pragnieniu pochłonięcia wszystkiego wokół. Kilka eleganckich białych kolumn rozżarzyło się jak pochodnie, a ogromny dywan zamienił się w morze malutkich ogników wzniecanych przez spadające zewsząd tłące się szczątki.

Kolumny przenosiły ogień wyżej, ku sufitowi. Dante postanowił zacząć od nich. Sięgnął do wewnętrznych zasobów mocy i zaczął podporządkowywać sobie rozhukany żywioł. Pomału, jeden po drugim, liżące kolumny płomienie zamierały, ugaszone siłą jego umysłu.

W tym samym czasie musiał utrzymywać wokół siebie i Lorny pole ochronne, więc korzystał z całej swojej mocy. Coś tu było bardzo nie w porządku. Rosło w nim podświadome napięcie, głowa mu pękała. Ujarzmianie ognia nie powinno go tyle kosztować, zbyt wolno reagował

na jego polecenia. Dante nie przerwał jednak swoich wysiłków, choć zaczął się zastanawiać, czy podporządkowanie sobie tylu osób nie uszczupliło poważnie zasobu jego sił. Nie mógł się dłużej oszukiwać - działo się coś bardzo niedobrego.

Kiedy kolumny zgasły i otaczały je już tylko smużki dymu, skierował swoją uwagę na ściany, przygniatając płomień, tłumiąc go...

Kącikiem oka dostrzegł, że z kolumn znowu wystrzeliły płomienie. Z rykiem wściekłości i niedowierzania skierował strumień swej mocy w ich kierunku i ogień zgasł ponownie.

Cóż u licha?

Okna eksplodowały, rozrzucając naokoło deszcz odłamków szkła. Potężne strumienie wody wpadły do środka z zewnątrz - wymowny znak, że straż pożarna z Reno przystąpiła do działania - ale ogień tylko zaryczał złośliwie, a jego ponowny wybuch był jeszcze gorętszy i jaśniejszy niż wcześniej. Jeden z ogromnych kryształowych żyrandoli urwał się z osłabionego pożarem uchwytu i roztrzaskał na podłodze, wystrzeliwując w powietrze skrzące się śmiertelnie ostre kryształki. Byli na tyle daleko, że tylko nieliczne doleciały aż do nich, ale i tak jeden z tych szklanych szerszeni użądlił go w policzek i strużka krwi popłynęła mu po twarzy.

Lorna przywarła do niego. Trzęsła się konwulsyjnie i wydawała z siebie jakieś przejmujące jęki, ale nie miała siły, by zerwać psychiczne więzy, które trzymały ją u jego boku. Czy nie zranił jej kryształek z żyrandola? Nie było

teraz czasu na sprawdzanie. Długi płomień z głośnym świstem prześliznął się po suficie nad ich głowami, pożerając resztki jeszcze dostępnego tlenu, a następnie zaczął sobie torować drogę w dół po ścianie za ich plecami, odcinając im drogę ucieczki.

Odepchnął go od siebie, nakazał mu odwrót i przywołał resztki swych sił. Oto on, dranir ludu Raintree, klanu Deszczowego Drzewa; żywioł ognia musi być mu posłuszny.

Tym razem jednak tak nie było.

Zamiast cofnąć się, ogień zaczął pełznąć po dywanie. Malutkie ogniki łączyły się w większe, rozbłyskiwały, zlewały się z innymi, aż podłoga stanęła w płomieniach, a ku nim ruszyła rozjarzona ściana.

Nie jest w stanie go kontrolować. Nigdy dotąd nie spotkał płomienia, który nie podporządkowałby się jego woli, lecz żywioł, z którym miał tu do czynienia, był niepohamowany. Najwyraźniej kontrola umysłów wyczerpała go bardziej, niż podejrzewał. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił, nie przewidział skutków. No cóż, teraz się dowiedział. Jeśli nie nastąpi cud, konsekwencją będzie śmierć dwóch osób: Lorna oraz jego.

Nigdy się nie poddawał - nie podda się i tym razem. Żaden ogień go nie pokonał - i ten nie będzie wyjątkiem.

Powłoka ochronnej bańki ugięła się i przepuściła dym do środka. Lorna zaczęła kaszleć konwulsyjnie, próbowała się wyrwać, choć i tak nie było już dokąd uciekać.

Ponuro zmierzył wzrokiem swego przeciwnika. Potrzebuje więcej mocy. Dał z siebie już wszystko, ale to

nie wystarczyło, by pokonać pożar. Gdyby Gideon i Mercy byli w pobliżu, mógłby się z nimi połączyć telepatycznie, zjednoczyć siły, ale ten rodzaj partnerstwa wymagał fizycznej bliskości, więc mógł liczyć tylko na siebie. Nie było żadnego innego źródła energii, do którego mógłby się podłączyć... poza Lorną.

Nie zapytał jej o zgodę. Nie zatrzymał się nawet po to, by ją uprzedzić, co zamierza zrobić. Po prostu zagarnął ją ramionami i przycisnął do siebie, brutalnie rozbił jej psychiczne bariery i bez wahania sięgnął po to, czego potrzebował. Bogactwo jej wewnętrznej siły zaskoczyło go i przepełniło ulgą. Miała więcej energii, niż w najśmielszych marzeniach podejrzewał. Nie miał czasu analizować teraz natury jej mocy, bo w tym momencie nie miało to znaczenia. Energia jest energią, tak jak elektryczność jest elektrycznością. Można ją wykorzystywać do uruchamiania różnych urządzeń i robienia skrajnie różnych rzeczy - można dzięki niej uruchomić odkurzacz albo słuchać muzyki. Zasada jest ta sama. Lorna ma energię, a on podłączył się do niej i wzmocnił swój dar.

Lorna krzyknęła bezradnie, szarpnęła się i nagle zeszywniała.

Dante wściekle zaatakował płomienie, jego umysł rozesłał wokół potężną falę, która w mgnieniu oka zdmuchnęła ścianę ognia i porwała ze sobą ściankę działową, blokującą do tej pory dopływ powietrza. Przyływ tlenu spowodował, że ogień znów wystrzelił, więc Dante zebrał siły do walki i zalał całe pomieszczenie swą

psychiczną mocą, jeszcze potężniejszy, bo jego siły odżyły, gdy wyssał energię z Lorny i połączył ją z własną.

Czuł mrowienie w całym ciele, mięśnie drżały mu z wysiłku. Niewidzialna bańka ochronna zaczęła migotać i połyskiwać. Pocać się, przeklinając, ignorując ból głowy, Dante ponawiał ataki na płomień, gasząc je, a jednocześnie zastanawiał się, ile czasu tu stoi i ile jeszcze powinien dać ludziom na ucieczkę. W hotelu było kilka klatek schodowych, nie wszędzie ewakuacja przebiegała w tak uporządkowany sposób, jak pod jego nadzorem. Czy wszyscy zdążyli wyjść? Jeśli się wycofa, ogień się rozprzestrzeni i ogarnie hotel - więc nie może zaprzestać walki. Dopóki pożar nie zostanie opanowany, musi stawiać mu opór.

Nie był w stanie ugasić ognia. Z jakiegoś powodu - czy zawiniły uszczuplone siły, brak koncentracji, czy specyficzna natura ognia - nie mógł go pokonać. Pogodził się z tym. Mógł za to zatrzymać jego rozprzestrzenianie się do czasu, aż strażacy opanują szalejący żywioł.

Teraz skoncentrował się na kontrolowaniu ognia, a nie gaszeniu go. To pozwalało mu oszczędzać energię, a potrzebował każdej odrobiny, gdyż ogień odradzał się i z niezwykłą zaciekłością usiłował wyswobodzić się spod jego mocy. Czas nie miał tu znaczenia, bo niezależnie od tego, jak długo będzie trwała walka, musi wytrwać.

W pewnym momencie stracił zdolność rozróżniania między sobą a ogniem. Żywioł był jego wrogiem, ale podziwiał jego piękno i niszczycielską siłę; płomień tańczył dla niego jak zwykle, a w ich ruchu i barwach

kryła się prawdziwa magia. Czuł się tak, jakby płynna lawa krążyła w jego żyłach, a ciało reagowało na ogień jak na godną pożądania kobietę. Lorna musiała to wyczuć, ale instynkt był silniejszy od rozumu.

Wreszcie z oddali dotarły do nich zachrypnięte głosy. Bestia została ujarzmiona. Dante odwrócił się i zobaczył strażaków ciągnących za sobą sikawki. Szybko zlikwidował bańkę ochronną, wystawiając siebie i Lornę na działanie dymu i gorąca.

Wraz z pierwszym oddechem do jego płuc dostał się gryzący dym. Zaczął się dławić i kaszleć, by złapać odrobinę powietrza. Lorna opadła na kolana, a on osunął się na ziemię obok niej, gdy dotarli do nich pierwsi strażacy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lorna siedziała na zderzaku karetki pogotowia i mocno otulała się szorstkim kocem zarzuconym na ramiona. Noc była ciepła, ale przemoczona do suchej nitki kobieta nie mogła opanować szczykania zębami. Słyszała, jak ratownik medyczny powiedział, że nie doznała szoku; wprawdzie miała podwyższone ciśnienie, ale jej puls był zbliżony do normalnego. Było jej zimno, bo nie mogła się przebrać w suche rzeczy.

A jednak wszystko wokół wydawało się dziwnie wytłumione, jakby oddzielała ją od świata szklana szyba. Jej umysł był odrętwiały, niezdolny do żadnej myśli. Kiedy ratownik zapytał ją o nazwisko, nie była w stanie go sobie przypomnieć, a co dopiero wymówić na głos. Pamiętała, że nigdy nie przychodziła do kasyna z torebką w obawie przed złodziejami, więc trzymała pieniądze w jednej kieszeni, a prawo jazdy w drugiej. Zdołała wyciągnąć dokument i pokazała go ratownikowi. Prawo jazdy było wystawione w Missouri, nie wyrobiła nowego w Nevadzie. Musiałaby tu mieszkać i mieć „udokumentowane źródło dochodu”, a właśnie to ostatnie wydało jej się nie do zrealizowania.

- Nazywa się pani Lorna Clay? - spytał ratownik, a ona tylko przytaknęła. - Boli panią gardło?

To było równie dobre usprawiedliwienie dla jej milczenia jak każde inne, więc znów kiwnęła głową. Ratownik zajrzał jej do gardła, zareagował tak, jakby był

zdziwiony jego stanem, ale podał jej aparat tlenowy i oznajmił, że powinna pójść na obserwację do szpitala.

Akurat. Nie miała zamiaru iść do szpitala. W tej chwili pragnęła się znaleźć jak najdalej stąd.

A jednak tkwiła w tym samym miejscu, podczas gdy badano Dantego. Miał zakrwawioną twarz, ale okazało się, że to tylko powierzchowne zadraśnięcie. Słyszała, jak zapewnia ratowników, że czuje się dobrze, że nie jest poparzony, bo oboje mieli dużo szczęścia.

Co za brednie. Trzymał ją w samym środku szalejącego piekła przez całą wieczność. Powinni wyglądać jak spalone grzanki. Powinni przynajmniej z trudem łapać powietrze przez uszkodzone drogi oddechowe, zamiast czuć się „dobrze”. Wiedziała, jakie spustoszenia zostawia po sobie ogień. Widziała je i to był paskudny widok. Ogień niszczy wszystko, co napotka na swej drodze. Nie tańczy naokoło ofiar, pozostawiając je nietknięte.

A jednak nie spadł im włos z głowy. No, w każdym razie wyszli z tego obronną ręką. Co prawda czuła się tak, jakby zderzyła się z ciężarówką, ale żadnych poparzeń nie doznała.

Powinna przynajmniej mieć bąble. A właściwie - powinna być martwa. Kiedy tylko próbowała zrozumieć, jakim cudem jeszcze żyje, a co więcej, nie odniosła żadnych ran, głowa zaczynała jej pękać, ściana dzieląca ją od świata stawała się jeszcze grubsza i nie przepuszczała powietrza. Więc przestała o tym myśleć. Siedziała nieruchomo, a wokół rozgrywały się sceny jak z koszmaru sennego: błyskały ręczne latarki, roilo się od ludzi,

strażacy ciągnęli węże i dogaszali pojedyncze źródła ognia. Silniki wielkich wozów strażackich pracowały tak głośno, że hałas ją wykańczał. Miała ochotę zasłonić sobie uszy, ale nawet tego gestu nie była w stanie zrobić. Po prostu czekała.

Sama nie wiedziała, na co. Powinna stąd odejść. Po raz setny sobie to nakazywała, ale nie była w stanie wcielić myśli w czyn. To nieważne, jak bardzo chciała znaleźć się daleko od tego miejsca. Opanowała ją jakaś tajemnicza inercja, której nie mogła przełamać. Mogła tylko... siedzieć.

Raintree wstał, a ona nagle poderwała się wraz z nim, wiedzona jakimś niezrozumiałym impulsem. Czuła tylko, że gdy on stoi, ona również będzie stała. Była zbyt wykończona, by znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie swojego zachowania.

Dante miał twarz tak czarną od sadzy, że świeciły w niej tylko białka oczu, więc uznała, że ona pewnie wygląda identycznie. Świetnie. To niweczy wszelkie szanse, by wymknąć się stąd ukradkiem, Dante wziął podany przez kogoś ręcznik i zaczął się wycierać, ale skutki tego były mierne. Lepkie sadze rozsmarowały się na skórze; bez wody i mydła nie da się ich usunąć.

Z wyrazem determinacji skierował się do grupki policjantów, trzech mundurowych i dwóch po cywilnemu. Lornę ogarnął niepokój. Czy zamierza na nią donieść? Powinna zniknąć w mroku, ale wbrew rozsądkowi potulnie mu towarzyszyła.

Skąd się to wzięło? Dlaczego jeszcze tu tkwi? Dante nawet na nią nie spojrział. Nie zauważyłby, gdyby się

wycofała i wmieszała w tłum - na tyle, na ile może się ukryć w ciżbie człowiek pokryty sadzą. Ale inni też byli wystawieni na działanie dymu. Niektórzy pracownicy kasyna czy gracze nie wyglądali dużo lepiej. Zdołałaby się wymknąć, gdyby podjęła najmniejszy wysiłek.

Czemu jej mózg jest tak ospały? Na powierzchniowym poziomie jego funkcjonowanie nie odbiegało od normy, ale wszelkie próby bardziej skomplikowanego rozumowania zamieniały szare komórki w grząski muł.

Dreńczyło ją jakieś wspomnienie na granicy świadomości. Powinna o czymś pamiętać. Przez moment w jej myślach mignął jakiś obraz. Trwał zbyt krótko, by przypomnieć sobie, o co chodziło, lecz na tyle długo, by zostawić osad niepokoju. Niemniej rozpląnął się jak smuga dymu. Próbowwała określić, o co właściwie chodziło, ale ból głowy wzmógł się do tego stopnia, że odechciało jej się myśleć.

Raintree podszedł do nieumundurowanych policjantów i przedstawił się. Lorna starała się zrobić minę niewiniątka, ale z miernym skutkiem. Policjanci zmierzyli ją wzrokiem z mieszaniną podejrzliwości i ciekawości, tak charakterystyczną dla tego zawodu. Serce jej waliło. Co zrobić, jeśli Raintree oskarży ją o oszustwa karciane? Uciekać? Popatrzeć na niego, jakby brakowało mu piątej klepki? A może to ona jest idiotką, skoro stoi tu jak baranek prowadzony na rzeź.

Ta myśl podziałała jak szok elektryczny. Nie będzie potulną ofiarą. Spróbowała się cofnąć, ale z jakiegoś powodu było to ponad jej siły. Chciała zostać z nim.

„Zostań ze mną”. Te słowa odezwały się echem w jej umęczonym mózgu i głowę znowu przeszył przejmujący ból. Potarła skronie, zastanawiając się, gdzie je usłyszała i dlaczego były takie ważne.

- Gdzie pan był, gdy wybuchł pożar, panie Raintree? - zapytał jeden z detektywów.

Obaj się przedstawili, ale ich nazwiska wleciały Lornie jednym uchem, a wyleciały drugim.

- W biurze. Rozmawiałem z panią Clay. - Wskazał Lornę gestem dłoni, nie patrząc w jej kierunku, jakby bez tego był pewien, gdzie ją znaleźć.

Przyjrzeni się jej uważnie, a detektyw, który rozmawiał z Dantem, powiedział:

- Mój partner spisze jej zeznania, a ja przyjmę pańskie oświadczenie. W ten sposób zaoszczędzimy czas.

Jasne, pomyślała Lorna sarkastycznie. Taka sama prawda jak to, że jestem właścicielką nadmorskiej willi na środku pustyni, w Reno. Detektywom zależy na tym, aby ich rozdzielić, by nie usłyszała, co będzie mówił Dante, i nie dostosowała do niego swoich zeznań.

Podszedł do niej drugi z policjantów w cywilu. Dante zerknął na nią przez ramię.

- Nie odchodź za daleko. Nie chcę cię zgubić w tym tłumie.

O co mu chodzi? Powiedział to w taki sposób, jakby ich coś łączyło. Ale kiedy detektyw zaproponował: „Chodźmy tam dalej”, Lorna posłusznie przeszła parę metrów i zatrzymała się w miejscu tak gwałtownie, jakby każdy kolejny krok był ponad jej siły.

- Tutaj - powiedziała i sama zdumiała się, jaki chrapliwy i niepewny głos wydobył się jej z gardła. Kasłała trochę, ale miała głos jak suchotnica. Z trudem przebijał się przez hałas strażackich wozów.

- Proszę bardzo - zgodził się detektyw. Ustawił się w taki sposób, że Lorna musiała stać plecami do Dantego Raintree. - Nazywam się Harvey. A pani...

- Lorna Clay. - Na szczęście tym razem pamiętała własne nazwisko, choć przez przerażający ułamek sekundy nie była go pewna. Pomasowała skronie w nadziei, że irytujący ból głowy na chwilę osłabnie.

- Mieszka tu pani na stałe?

- Tymczasowo. Jeszcze nie wiem, czy zostanie.

Doskonale wiedziała, że nie zostanie. Nigdy nie zatrzymywała się na dłużej w jednym miejscu. Kilka miesięcy, pół roku, i jechała dalej. Gdyby zbierali informacje na jej temat, najbardziej wstydliwą rzeczą byłby mandat za przekroczenie prędkości sprzed trzech lat. Zapłaciła go bez dyskusji. Jeśli Raintree nie oskarży jej o szulerkę, jest czysta jak łąza. Miała ochotę zerknąć na niego przez ramię, ale to sprawiałoby wrażenie, jakby nie potrafiła udzielić odpowiedzi bez jego zgody.

- Gdzie pani była, kiedy wybuchł pożar?

Przed chwilą Raintree indagowany w tej sprawie powiedział im wyraźnie, że byli razem, ale właśnie w ten sposób działają gliniarze.

- Nie wiem, kiedy wybuchł pożar - stwierdziła zirytowanym głosem. - Byłam w biurze pana Raintree, gdy rozległ się alarm przeciwpożarowy.

- O której to było?

- Nie mam zegarka. Nie wiem. Zresztą i tak nie przyszłoby mi do głowy sprawdzać, która godzina. Śmiertelnie boję się ognia.

Kaçık ust drgnął w uśmiechu, lecz detektyw zachował poważny wyraz twarzy. Miał miłą wyrazistą twarz, z lekko obwisłymi policzkami i siateczką zmarszczek wokół oczu.

- Nie ma problemu. Sprawdzimy w zapisach ochrony. Jak długo przebywała pani w towarzystwie pana Raintree do momentu, gdy rozległ się alarm?

Dobre pytanie. Lorna przypomniała sobie ataki paniki, którym uległa w jego biurze, i niepokojące erotyczne halucynacje. Nic w tym pokoju nie było normalne, a chociaż zazwyczaj miała dobre wyczucie czasu, tym razem nie umiała określić go nawet w przybliżeniu.

- Naprawdę nie wiem. Weszłam tam o zachodzie słońca. To wszystko, co mogę powiedzieć.

Detektyw zanotował jej odpowiedź. Bóg raczy wiedzieć, co sobie pomyślał, ale mało ją to obchodziło.

- Co państwo zrobili po alarmie?

- Wybiegliśmy na schody.

- Które to było piętro?

To wiedziała. Obserwowała numery, gdy wjeżdżała na górę windą.

- Dziewiętnaste.

Zanotował. Lorna pomyślała, że gdyby zamierzała spalić budynek, nie wjeżdżałaby na dziewiętnaste piętro. Raintree nie ma nic wspólnego z wybuchem pożaru, ale

policja musi sprawdzić każdy szczegół, jeśli ma dobrze wykonać swą robotę. Chociaż... czy detektywi pojawiają się na miejscu każdego pożaru? Komendant straży pożarnej lub inspektor ochrony przeciwpożarowej, zależnie od zasad obowiązujących w Reno, powinien najpierw stwierdzić, czy ogień wybuchł z przyczyn naturalnych, czy był wynikiem podpalenia i należy to traktować jak przestępstwo.

- Co się działo dalej?

- Na schodach było dużo ludzi - odparła z namysłem. - Pamiętam... gęstniejący tłum. Zeszliśmy parę pięter w dół, kiedy ruch został zablokowany przez ludzi biegnących na górę. - Dym musiał być gęsty, prawie nic nie było widać, ludzie poruszali się we mgle jak duchy. Nie. To było później. Na górnych piętrach nie było dużo dymu. Dopiero później, jeśli dobrze pamiętała. Kolejność zdarzeń się jej mieszała i trudno było je uporządkować.

- Proszę mówić - zachęcił ją detektyw Harvey, gdy zamilkła na dłuższą chwilę.

- Pan Raintree powiedział ludziom przepychającym się na górę, że muszą zawrócić, bo znajdują się w pułapce.

- Posłuchali go?

- Zawrócili. Nikt nie panikował.

Poza nią. Dławił ją strach, a nie dym. Wspomnienia stały się bardziej klarowne i sama się zdziwiła, że ewakuacja przebiegła nad wyraz sprawnie. Nikt się nie przepychał, nikt nie pędził. Ludzie działali w pośpiechu, oczywiście, ale nie w panice. Nikomu nic się nie stało. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej nienaturalne wydawało się ich zachowanie. Jakim cudem wszyscy zachowali

spokój? Czy nie rozumieli, w jakim byli niebezpieczeństwie?

Uświadomiła sobie teraz, że ona też nie biegła. Nie wyrwała się do przodu. Szła równym tempem, podtrzymywana przez Dantego.

Dlaczego nie uległa panice? Jak pozostali, schodziła w uporządkowanym szyku. W środku trzęsa się ze strachu i wszystko w niej krzychało: „Uciekaj”, jednak nogi jej nie posłuchały.

- Pani Clay?

Zaczęła oddychać spazmatycznie, gdy przed oczami przesunęły się jej obrazy sprzed paru godzin. Ogień! Był coraz bliżej, chciała uciec, ale sparaliżował ją strach. Czuła się, jakby żywcem została uwięziona w koszmarze sennym, w którym człowiek próbuje biec, ale nie może, chce wrzasnąć, ale głos więźnie mu w gardle.

- Pani Clay?

- Ja... Słucham? - Spojrzała na policjanta jak wyrwana ze snu. Z mieszaniny zniecierpliwienia i zaniepokojenia, jakie okazywał, mogła sądzić, że kilkakrotnie powtórzył jej nazwisko, zanim zwróciła na niego uwagę.

- Co państwo zrobili po wyjściu?

- Nie wyszliśmy. - Z wysiłkiem zebrała myśli. - Na parterze pan Raintree skierował wszystkich w prawo, w kierunku parkingu. Wtedy my... - Głos jej się załamał. Walczyła z nim, starała się dołączyć do pozostałych; to pamiętała doskonale. Wtedy powiedział: „Zostań ze mną”, a ona go posłuchała, choć była półprzymtomna ze strachu.

Zostań ze mną.

Siedziała, gdy on siedział. Wstawiała, gdy on wstawał. Podążała w tę samą stronę co on. Od tego momentu nie była w stanie zrobić żadnego ruchu z własnej woli.

Przed chwilą powiedział: „Nie odchodź za daleko”. Gdy zdołała oddalić się na kilka kroków, w pewnym momencie zatrzymała się, jakby wpadła na niewidzialny mur.

Zakiełkowało w niej przerażające podejrzenie. Dante w jakiś sposób ją kontroluje, może przez posthipnotyczną sugestię, chociaż nie miała pojęcia, gdzie i kiedy mógł ją zahipnotyzować. W jego biurze zdarzyło się wiele dziwnych rzeczy. Może te przeklęte świece wydzielają jakiś narkotyczny gaz?

- Proszę kontynuować - zachęcił ją detektyw Harvey.

- Poszliśmy w lewą stronę. - Zaczęła dygotać. Objęła się ramionami i mocniej otuliła kocem, próbując zapanować nad nieposłusznymi mięśniami, ale już wkrótce drżała od stóp do głów. - Do holu. Ogień...

Płomienie skoczyły na nich jak rozjuszona bestia, rycząc z zachwytu na widok ofiar. Na ułamek sekundy owiało ich palące powietrze. Dusila się dymem. I nagle... żadnego dymu, żadnego gorąca. Zniknęły. Płomienie powinny ich pochłonać, tymczasem nic takiego się nie stało. Odzyskała oddech. Nie czuła temperatury, choć widziała ogniste jęzory pełzające ku niej po dywanie.

- Ogień jakby spłynął po suficie na ścianę za nami. Znaleźliśmy się w pułapce.

- Może chce pani usiąść? - Przerwał przesłuchiwanie, ale Lorna dygotała teraz tak bardzo, że wolał ją gdzieś posadzić, zanim osunie się na ziemię.

Nie chciała siadać na asfalcie pokrytym sadzą, szczątkami rozrzuconymi w trakcie pożaru, wśród kałuż brudnej wody. Pokręciła głową.

- Nie, nie. Jestem tylko przemoczona, zmarznięta i w lekkim szoku. - Gdyby dawano nagrodę za eufemizmy, ona by na nią zasłużyła.

- Co zrobiliście?

Nie zamierzała mu wyjaśniać, że otaczało ją pole siłowe, w końcu to nie są „Gwiezdne wojny”. Gdyby to zrobiła, uznalby ją za wariatkę. Lepiej nie opowiadać, że poczuła na włosach chłodny powiew. Musiała być pod wpływem narkotyków, nie ma innego wyjaśnienia.

- Nie byliśmy w stanie zrobić nic. Znaleźliśmy się w pułapce. Pamiętam tylko, że pan Raintree kłął jak szewc. Pamiętam, jak się dusiłam i leżałam na podłodze. A potem dotarli do nas strażacy i wyprowadzili nas na zewnątrz.

Ocenzurowała swoją opowieść i skróciła ją do podstawowych faktów, ze względu na własną wiarygodność. Niemożliwe, by spędzili w środku płonącego budynku więcej niż trzydzieści sekund. Wyimaginowane pole siłowe nie ochroniłoby ich przed temperaturą i dymem. Być może strażacy od samego początku byli w pobliżu, ale nie zauważyła ich, zaślepiona strachem.

Dręczyło ją coś jeszcze, ale nie była w stanie tego nazwać. Pamięć płata jej irytujące figle. Była pewna, że o czymś zapomniała, ale nie miała pojęcia, o czym. Może

sobie coś przypomni, jeśli weźmie długi prysznic, kilka razy umyje włosy i zafunduje sobie dwadzieścia, a jeszcze lepiej trzydzieści godzin snu.

Detektyw Harvey spojrział w przestrzeń nad jej głową i zatrzasnął notes.

- To cud, że pani żyje. Sprawdzono, czy nie ma pani oparzeń dróg oddechowych?

- Tak. Wszystko w porządku. - Ratownicy byli zaskoczeni jej dobrym stanem, ale tego już nie powiedziała policjantowi.

- Pan Raintree będzie tu jeszcze zajęty, ale pani jest już wolna. Jak mam się z panią kontaktować, gdybym miał dodatkowe pytania?

Przygryzła język, zanim zdążyła zapytać: „Właściwie jakie?”, i podyktowała mu numer telefonu komórkowego.

- To lokalny?

- Nie, komórka. - Odkąd numer można było przenosić od jednego do drugiego operatora, przestała sobie zawracać głowę instalowaniem telefonu w kolejnych mieszkaniach i upewniała się tylko, czy ma tam operatora oraz zasięg.

- Nie ma pani stacjonarnego numeru?

- Nie. Dopóki nie zdecyduję się tu zamieszkać, nie widzę sensu w posiadaniu telefonu.

- Oczywiście. Dziękuję za współpracę. - Skinął głową na pożegnanie.

Lorna zdobyła się na słaby uśmiech, bo tak wypadało, ale zniknął z jej twarzy, zanim detektyw dołączył do swojego partnera. Była wykończona i usmolona. Bolała ją

głowa. Skoro detektyw Harvey skończył ją przesłuchiwać, może pójść do domu.

Podjęła parę prób, by się oddalić, ale z jakiegoś powodu stała w miejscu jak wrośnięta. Czuła coraz większą frustrację. Przecież przed chwilą przeszła parę kroków, więc nie zapomniała jeszcze, jak się to robi. Postanowiła sprawdzić, czy może w ogóle się poruszać, i zrobiła krok do tyłu, w kierunku Dantego. Bez problemu. Wszystkie członki poruszają się tak, jak powinny.

Teraz postąpiła krok do przodu, eksperymentalnie, i westchnęła z ulgą, gdy nogi jej posłuchały. Chyba rzeczywiście jest nieludzko zmęczona, skoro chodzenie wydaje się taką trudną sztuką. Spróbowała zrobić kolejny krok, tym razem jednak się to nie udało.

Stała jak wmurowana. Jakby ktoś trzymał ją na niewidzialnej smyczy.

Zaniemówiła ze zdumienia. A może wściekłości. Musiał ją zahipnotyzować, ale jak? Kiedy? Nie pamiętała, żeby wypowiedział formułkę: „Robisz się śpiąca, coraz bardziej śpiąca”. Zresztą hipnoza powinna przynosić całkowity relaks, a nie zmuszać człowieka do robienia rzeczy wbrew jego woli, niezależnie od powszechnych wyobrażeń na jej temat.

Żałowała teraz, że nie ma zegarka. Może zauważyłaby jakieś podejrzanе luki w czasie od momentu, gdy weszła do biura Dantego, do chwili, gdy rozdzwonił się alarm pożarowy.

Jedno nie ulega wątpliwości: on kontroluje jej zachowania. Kiedy polecił: „Zostań ze mną”, została, mimo

że znalazła się w piekielnej otchłani. Gdy powiedział: „Nie oddalaj się”, nie potrafiła przekroczyć niewidzialnej granicy.

Odwróciła głowę, by na niego spojrzeć, i stwierdziła, że stoi sam, najwyraźniej odpowiedziawszy już na pytania drugiego detektywa. Obserwował ją z ponurą miną.

Poruszył ustami. W panującej wrzawie nie usłyszała jego głosu, ale odczytała słowa z ruchu warg.

- Chodź tu - polecił.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Posłuchała go. Nie była w stanie się powstrzymać. Dreszcze chodziły jej po plecach, skóra głowy nieprzyjemnie mrowiła, ale nogi poruszały się automatycznie. Ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy. W jaki sposób on to robi? Zresztą, to źle postawione pytanie. Nieważne, jak on to robi, ważne, że to robi. Skoro potrafi przejąć kontrolę nad jej ciałem, może sprowadzić na nią prawdziwe kłopoty.

Nie mogła nikogo poprosić o pomoc, bo nikt by jej nie uwierzył. W najlepszym razie wezmą ją za narkomankę lub wariatkę. Sympatia ludzi byłaby po jego stronie. Nie dość, że przed chwilą stracił kasyno, z dymem poszedł dorobek jego życia, to jeszcze jakaś zwariowana histeryczka oskarża go o kontrolowanie każdego jej ruchu. „Ratunku! Idę i nie mogę się zatrzymać. On mną manipuluje!”

Efekt mogła sobie wyobrazić - zdecydowanie nie po jej myśli.

Gdy się zbliżyła, uśmiechnął się lekko, z zawołaną groźbą i wyraźnym zadowoleniem z siebie, i to ją zirytowało. Gniew dodawał jej sił, nienawidziła poczucia bezsilności. Miała za dużo życiowego sprytu, by zdradzić się ze swoimi intencjami. Żywiła nadzieję, że jej twarz wyraża tylko zaniepokojenie i zdumienie, choć wątpiła, by cokolwiek dało się odczytać z jej usmolonego i pokrytego sadzą oblicza. Trzymała prawą rękę przy sobie,

lekko zgięta w łokciu, napięła mięśnie barku i ramienia. Kiedy zbliżyła się na tyle blisko, że mogłaby go pocałować, wymierzyła mu cios z dołu, prosto w podbródek.

Zupełnie się tego nie spodziewał, więc się nawet nie uchylił. Pięść Lorny wylądowała na jego szczęce z taką siłą, że omal nie postradał zębów. Lornę zaś rozboleły kostki, ale satysfakcja, że trafiła, była większa. Dante zatoczył się do tyłu, odzyskał równowagę z gracją urodzonego atlety i na tyle szybko, że zdołał zablokować kolejne uderzenie, chwytając ją za przegub, zanim zdażyła się dobrze zamachnąć.

- Zasłużyłem na jeden policzek - rzekł półgłosem, przyciągając ją do siebie - ale drugiego nie nadstawię.

- Puść mnie! - rzuciła ostrym tonem. - I mam na myśli nie tylko rękę!

- Więc się domyśliłaś - stwierdził chłodno.

- Zajęło mi to trochę czasu, ale w tych okolicznościach trudno się dziwić. Rzadko się zdarza, żeby mnie ktoś zawlókł w sam środek ognia piekielnego. - Jej słowa aż ociekały sarkazmem. - Nie wiem, jak to robisz ani dlaczego...

- Przynajmniej to ostatnie powinno być oczywiste.

- Widocznie mam niedotleniony mózg z powodu nadmiernej inhalacji dymem - i ciekawe, czyja to wina - bo jakoś nie znajduję sensownego wytłumaczenia!

- Przyłapałem cię na oszukiwaniu w kasynie. A może myślałaś, że o wszystkim zapomnę pod wpływem ekscytującego widoku mojego kasyna spalonego do gołej ziemi?

- Nie oszukiwałam. Odwołaj swoje czary-mary, odczyń zaklęcie, odhipnotyzuj mnie, zrób cokolwiek. Nie możesz mnie tu zatrzymać bez mojej zgody.

- To idiotyczne stwierdzenie, zważywszy na to, że właśnie to robie. - Uśmiechnął się, w osmolonej twarzy błysnęły białe zęby.

Lorna myślała, że za chwilę pęknie ze złości. Dobrze знаła uczucie gniewu, parę razy w życiu wpadła we wściekłość, ale tym razem ogarnął ją morderczy szal. Do dzisiaj uważała, że te trzy określenia w bardziej czy mniej przerysowany sposób opisują ten sam stan, ale teraz dotarło do niej, że jej złość jest spotęgowana przez uczucie frustracji. Była bezsilna, a nie znosiła sytuacji, w których pozbawiano ją wszelkich możliwości obrony. Całe swoje życie zbudowała wokół twardego postanowienia, że już nigdy nie będzie bezradną ofiarą.

- Daj. Mi. Odejść! - zawarczała przez zęby. Jej cierpliwość była na wyczerpaniu. Panowała nad sobą najwyższym wysiłkiem woli. Wiedziała, że wybuch emocji nie wywarłby na nim żadnego wrażenia, a ona zrobiłaby z siebie idiotkę.

- Jeszcze nie. Musimy omówić parę spraw.

Dante ignorował ją kompletnie, jej gniew spływał po nim jak woda po gęsi. Rozejrzał się, oceniając skalę zniszczeń. Wszystko przesiąkło smrodem dymu, migające czerwone i niebieskie światła samochodów służb ratunkowych przyprawiły o świdrujący ból głowy, jak wirujące światła w dyskotekach. W ruinach kasyna tu i ówdzie jarzyły się jeszcze resztki ognia, ale czujni strażacy

gasili je metodycznie, likwidując jedno ognisko po drugim. Poza miejscem akcji ratunkowej, ogrodzonym przez policję żółtymi taśmami, kłębił się tłum gapiów.

Widziała te same szczegóły co on. Migające światła przypomniały jej o ognistej kuli - może nie o ogniu, ale o czymś innym. Aż jęknęła, bo w tym momencie ból głowy stał się nie do zniesienia.

- No to omawiajmy. Na co czekasz? - zapytała, przykładając dłonie do głowy w instynktownym geście, który miał złagodzić ból.

- Nie tutaj. - Przyjrzał jej się uważnie. - Dobrze się czujesz?

- Głowa mi pęka. Mogłabym pójść do domu i położyć się, gdybyś nie był takim palantem.

- Ale jestem, więc lepiej się z tym pogódź. Bądź przez chwilę cicho i posiedź tu jak grzeczna dziewczynka. Przez chwilę będę zajęty. Kiedy skończę, pojedziemy do mnie i tam spokojnie porozmawiamy.

Lorna zamilkła, a kiedy Dante odszedł, nie ruszyła się z miejsca. Niech go szlag trafi, pomyślała. Łzy spływały jej po umorusanych policzkach. Otarła je ręką. Nie mogła mówić ani chodzić, ale mogła obetrzeć sobie twarz, a przy odrobinie łaski boskiej wymierzy Dantemu solidny prawy sierpowy, gdy tylko znajdzie się wystarczająco blisko.

Zmarzła, miała gęsią skórę. Chwilowy wybuch gniewu ustąpił miejsca napadowi paraliżującego strachu.

Kim właściwie jest ten człowiek?

Mężczyzna i kobieta, którzy stali za policyjnym kordonem, obserwując pożar, wreszcie odwrócili się i skierowali do swojego auta.

- Cholera - zaklęła ponuro kobieta.

Nazywała się Elyn Campbell i poza dranirem była najpotężniejszą władczynią ognia w klanie Ansarów. Aby opracować plan, który miał doprowadzić do śmierci dranira klanu Raintree, połączyli wszystko, co wiedzieli na temat Dantego, ze wszystkim, co ona wiedziała na temat ognia, dorzucając jeszcze kilka potężnych zaklęć - tymczasem ich misja zakończyła się całkowitą kląpą.

- Ale dlaczego się nie udało? - Ruben McWilliams potrząsnął głową. Wszystkie plany i przygotowania dosłownie poszły z dymem.

- Nie wiem. Powinno było się udać. Dante nie jest aż tak potężny. Nikt nie ma takich mocy, nawet ich dranir. Powinniśmy go zmiażdżyć.

- Najwidoczniej jest najsilniejszym dranirem, jaki kiedykolwiek istniał, albo ma najwięcej szczęścia.

- Albo wycofał się szybciej, niż przewidywaliśmy. Może stchórzył i ukrył się gdzieś, zamiast walczyć o panowanie nad ogniem.

- Może - westchnął Ruben. - Nie widziałem, czy został wyprowadzony z budynku przez strażaków. Może stał gdzieś poza zasięgiem naszego wzroku, zanim udało mi się go wypatrzeć. Strażacki ekwipunek wszystko mi zasłaniał.

- Podsumujmy. Mamy dwa scenariusze - stwierdziła, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. - Pierwszy jest taki, że Raintree stchórzył i uciekł. Drugi, ale niestety bardziej

prawdopodobny, oznacza, że jest silniejszy, niż sądziliśmy. To się nie spodoba Caelowi.

- Dostatecznie długo zwlekaliśmy - westchnął Ruben.
- Musimy do niego zadzwonić. - Wyciągnął z kieszeni komórkę, ale kobieta powstrzymała go zdecydowanym gestem.

- Nie używaj tego telefonu. Wiadomość nie będzie szyfrowana. Wróćmy do hotelu i zadzwońmy z telefonu stacjonarnego.

- Słusznie. - Wszystko, byle odwlec rozmowę z Caelem. Cael był jego kuzynem ze strony matki, ale bliskie pokrewieństwo nie miało żadnego znaczenia dla tego bękarta - bękarta w dosłownym znaczeniu tego słowa. Może popełnił błąd, decydując się na spiskowanie z Caelem przeciw obecnemu dranirowi Ansarów, Judahowi. Podobnie jak kuzyn wierzył, że po dwustu latach potajemnego odbudowywania sił Ansarowie są obecnie tak silni, że mogą zaatakować klan Raintree i go zniszczyć. Ale może się pomylił. Może Cael przeceniał ich siły.

Wiedział, że Cael automatycznie wybierze pierwszy scenariusz i będzie twierdził, że Dante Raintree jest tchórzem, który ukrył się w jakimś kącie i nie próbował ujarzmić ognia, bo to pozwalałoby mu zlekceważyć ewentualność, że Dante jest niewyobrażalnie potężny. Jednak co się stanie, jeśli Raintree rzeczywiście dysponuje mocą większą, niż ktokolwiek z nich? Wtedy planowany przez Caela zamach skończy się całkowitą klęską, a Ansarowie będą mieli szczęście, jeśli przetrwają jako klan.

Po zażartej walce z klanem Raintree dwa wieki zajęło im odbudowywanie sił.

Cael nie będzie w stanie przyjąć do świadomości faktu, że się pomylił. Uzna, że Ruben i Elyn nie trzymali się planu lub Dante Raintree okazał się tchórzem. Ruben był pewien, że nie popełnił błędu. Wszystko szło jak w zegarku - poza ostatecznym wynikiem. Raintree miał spłonąć w ogniu, który wymknął się spod jego kontroli - miała to być rozkoszna ironia losu, zważywszy na to, że władcy ognia darzą posłuszny im żywioł specyficznym uczuciem, mieszanką miłości i nienawiści. Tymczasem Dantemu nie spadł włos z głowy. Był usmolony, okopcony, może nawet trochę poparzony, ale poza tym cały i zdrowy.

Kula w łeb byłaby skuteczniejszym rozwiązaniem, ale Cael nie chciał zaalarmować całego wrogiego klanu, a ewidentne zabójstwo z pewnością odniosłoby ten efekt. Wszystko miało wyglądać na wypadek. Najbardziej potężni członkowie klanu mieli zginąć w taki sposób, by nikt nie podejrzewał morderstwa. Inni myśleliby, że śmierć ich dranira w pożarze jest tragiczna i gorzka, ale rozumieliby jego kompulsywne pragnienie, by walczyć do końca w obronie kasyna i hotelu - szczególnie hotelu, w którym zatrzymało się tylu gości.

Cael, oczywiście, nie będzie chciał słuchać tłumaczeń, że niełatwo jest spowodować śmierć kogoś z królewskiej rodziny wrogiego klanu bez rzucenia podejrzeń na Ansarów. Dziś wieczorem ich plan zdecydowanie zawiódł.

Dante Raintree nadal żyje. Nic gorszego nie mogło się wydarzyć.

Napaść na rodzową siedzibę klanu Raintree, Sanktuarium, jest zaplanowana na moment letniego przesilenia, czyli za tydzień. Mają z Elyn jeszcze tydzień na zabicie Dantego - inaczej Cael zabije ich oboje.



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dante ociągał się z opuszczeniem pogorzelniska, choć nie miał tu już nic do roboty. Gdy tylko policja skończyła go przesłuchiwać, najważniejszą myślą było upewnienie się, czy wszyscy pracownicy wyszli z pożaru cało. Niestety, były ofiary śmiertelne, ku jego głębokiemu żalowi i wściekłości. Jedno ciało udało się wydobyć z dymiących zgliszczy. Policjanci byli właśnie w trakcie mozolnych ustaleń, czy brakuje kogoś jeszcze.

Odnalazł Ala Rayburna, zachrypniętego i kaszłającego, ale odrzucającego wszelkie sugestie, że powinien się udać do szpitala, i sprawnie utrzymującego porządek wśród ewakuowanych gości. Personel hotelu spisał się fantastycznie. W części hotelowej zniszczenia były niewielkie, dotyczyły głównie westybulu pomiędzy hotelem a kasynem, gdzie Dante zatrzymał pożar. Wszyscy goście i pracownicy zostali szczęśliwie ewakuowani.

Największe szkody wyrządził dym. Cały budynek trzeba będzie wysprzątać i wywietrzyć, by pozbyć się smrodu spalenizny. Dobrą wiadomością, jeśli można ją tak nazwać, była ekspertyza inspektorów budowlanych, że podziemny garaż nie został uszkodzony i konstrukcja budynku pozostała nienaruszona. Pewnie mógłby otworzyć część hotelową w ciągu dwóch tygodni. Z drobnym zastrzeżeniem, że goście nie mieliby tu po co przyjeżdżać, skoro nie ma kasyna.

Z kasyna pozostały zgliszcza. Spaliły się samochody zaparkowane przy wejściu, a sam parking wyglądał teraz jak pobojowisko. Dwadzieścia lub trzydzieści osób odniosło poparzenia różnego stopnia, drugie tyle zatruło się wdychanymi w dymie toksycznymi oparami. Wszystkich odwieziono do szpitali.

Pojawiły się ekipy lokalnych stacji telewizyjnych i radiowych. Przekrzykiwanie się reporterów i ich natarczywe pytania utrudniały mu rozdzielanie zadań pracownikom, poszukiwanie zakwaterowania dla gości, sterowanie ochroną, by ułatwić ludziom odbiór swoich rzeczy z pokoi, a jednocześnie ustrzec hotel przed złodziejami. Powinien porozmawiać z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej. Musi zadzwonić do Gideona i Mercy, aby dowiedzieli się o pożarze od niego, a nie z wiadomości telewizyjnych. Oboje mieszkali na wchodzie Stanów, więc ze względu na różnicę czasu ten telefon był sprawą pilną.

W końcu dotarło do niego, że tej nocy już niewiele zdziała; jego załoga spisywała się znakomicie, a w razie potrzeby pracownicy będą do niego dzwonić. Równie dobrze może pojechać do domu i wziąć prysznic.

Pozostał tylko problem z Lorną.

Wiele rzeczy zrobił dzisiaj po raz pierwszy. Nigdy wcześniej nie kontrolował umysłów, nawet nie wiedział, że to potrafi. Nadal nie miał pojęcia, w jaki sposób obudził w sobie ów talent. Może w pierwszym momencie był to wynik działania w ogromnym stresie, ale wciąż panował nad umysłem Lorny, wydając jej polecenia i używając

telepatycznych szturchańców, a to znaczy, że adrenalina nie jest katalizatorem. Wkroczył na ziemię nieznaną i powinien postępować ze szczególną ostrożnością, bo łatwo można zrobić niewłaściwy użytek z tego szczególnego daru. Do diabła, już nadużył swojej władzy. Lorna z pewnością da mu to obrazowo do zrozumienia - gdy tylko dopuści ją do głosu.

Dzisiejszej nocy po raz pierwszy w życiu brutalnie pogwałcił cudzy umysł i najdosłowniej obrabował go z sił witalnych. Skutki są bolesne dla Lorny; była otępieła, półprzytomna, niezdolna do zapamiętania własnego nazwiska. Wszystkie te symptomy świadczą o głębokim szoku psychicznym. Trudno przesądzić, kiedy ustąpi amnezja. Stosunkowo prędko odzyskiwała siły, ale nadal nie pamiętała ogromnej części swych przeżyć - a jeśli pod jego nieobecność odzyskała pamięć, powinien zaopatrzyć się w broję, zanim puści Lornę wolno.

Czy jest z klanu Ansarów? Musiał jak najprędzej znaleźć odpowiedź na to palące pytanie.

Z jednej strony uważał, że to niemożliwe, bo nie opanowałby jej umysłu tak łatwo. Jako Ansarka od urodzenia byłaby wdrażana do panowania nad swoimi paranormalnymi zdolnościami i do wykorzystywania ich; instynktownie zablokowałyby mózg przed jego telepatycznymi rozkazami. Zdolność do panowania nad umysłami innych była rzadka, tak rzadka, że nigdy wcześniej się z nią nie spotkał, choć w przekazach rodzinnych opowiadano, że któraś z ciotek sześć pokoleń wcześniej była w owej sztuce bardzo biegła. Choć talent był

unikalny, jednak istniał, więc zarówno on, jak i każdy inny Raintree od dziecka był uczony, jak konstruować psychiczną tarczę. Ansarowie byli pod tym względem bliźniaczo podobni do jego pobratymców, z pewnością również oni uczą swoje dzieci, jak się bronić, a to znaczy, że pozbawiona tarczy Lorna nie może należeć do wrogiego klanu. Chyba że...

Chyba że jest tak fenomenalnie biegła w konstruowaniu tarcz ochronnych, że nawet ich nie zauważył. Jej podatność na kontrolowanie umysłu może być jedną wielką mistyfikacją. Wypowiadał polecenia na głos, toteż wiedziała, czego od niej chciał. Jeśli Lorna potrafi kontrolować ogień, mogła podsycać płomienie, rozniecając je tam, gdzie on przed chwilą je stłumił. Niemożliwe. Odrzucił ten pomysł. Gdyby to ona karmiła ogień, ugasiłby pożar bez problemu zaraz po tym, gdy wyszał z niej wszystkie siły. Ktoś inny był sprawcą i karmicielem ognia, ale Lorna mogła odwracać jego uwagę i go dekoncentrować.

Jest czy nie jest Ansarka? Wkrótce się dowie. Jeśli nie jest... No cóż, to by znaczyło, że brutalnie potraktował kobietę, która może nie jest niewiniątkiem, ale to nie wystarcza, by ją uznać za śmiertelnego wroga. Jednak nie zmieniłby niczego w swoim postępowaniu. Wdarł się do jej umysłu w akcie desperacji, nie miał nawet czasu, by ją uprzedzić i wyjaśnić, co się dzieje. Był gotów jej to wynagrodzić, ale nie żałował swoich czynów. Miał szczęście, że była pod ręką, że miała paranormalne talenty i ogromne zasoby energii, do których mógł się podłączyć.

Okrażył wóz strażacki, którego załoga zajęta była zwijaniem węży, i zobaczył ją. Był niemal pewien, że stoi w tym samym miejscu, w którym ją zostawił, na szczęście na uboczu, więc nie przeszkadzała kręcącym się wszędzie strażakom. Była brudna, mokre i pokryte sadzą włosy pozlepiały się w strąki, istny obraz nędzy i rozpaczy. Kurczowo zaciskała koc narzucony na ramiona i dosłownie słańiała się na nogach. Irytacja mieszała się w Dantem ze współczuciem. Czemu właściwie nie usiadła? Przecież jej tego nie zabraniał.

Na jego widok z twarzy Lorny zniknął wyraz krańcowego wyczerpania, a w oczach pojawiła się furia. Srodze by się zawiódł, gdyby oczekiwał, że spokojnie. Z nutką szacunku pomyślał, że po tym wszystkim, przez co przeszła, wcale nie zamierzała się poddać. Pamiętała niezgłębione źródło mocy, które odkrył w jej umyśle. Był ciekaw, czy ma pojęcie, jak jest silna.

- Chodź ze mną - polecił, a ona posłuchała.

Nie było jednak cienia posłuszeństwa w sposobie, w jaki szarpnęła go za ramię i obróciła do siebie. Wskazała na usta gniewnym, niecierpliwym gestem. Chciała coś powiedzieć, zapewne ułożyła w myślach większą przemowę.

Dante otworzył usta, by cofnąć zakaz, ale nagle się zatrzymał i uśmiechnął.

- Chciałbym jeszcze chwilę rozkoszować się ciszą - stwierdził, wiedząc dobrze, że doprowadzi ją do szewskiej pasji. - To, co zamierzasz powiedzieć, może poczekać, aż będziemy sami.

Al wysłał jednego z ochroniarzy po samochód Dantego. Czarny lotus exige stał już z włączonymi światłami na końcu parkingu przed kasynem, schowany przed oczami wścibskich gapiów za pojazdami służb ratunkowych. Dante zaprowadził tam Lornę. Gdy się zbliżyli, ochroniarz szybko opuścił miejsce kierowcy.

- Proszę bardzo, panie Raintree.

- Dziękuję, Jose. - Otworzył drzwi po stronie pasażera dla Lorny. Ta rzuciła mu mordercze spojrzenie i, wsiadając, zdołała wymierzyć mu cios łokciem pod żebra. Skrzywił się z bólu, ale szybko to ukrył, zdecydowanie zatrzaskał drzwi i zajął miejsce za kierownicą.

Lotus miał trochę za niskie zawieszenie jak na jego potężną posturę i długie nogi, ale lubił go prowadzić, gdy miał ochotę na samochód z charakterem. Kiedy potrzebował komfortu, brał z garażu jaguara. Dzisiaj miałby ochotę wyjechać na jakąś opustoszałą lokalną drogę i wcisnąć pedał gazu do dechy, aby agresywną i szybką jazdą choć trochę rozładować gniew i gorycz. Lotus rozpędzał się od zera do stu mil na godzinę w jedenaście sekund, i to rzeczywiście było niezłe przyspieszenie. Wiele by dał, aby zmusić teraz ten mały wyczynowy wóz do ostrej jazdy.

Zamiast tego prowadził rozważnie i spokojnie, świadom, że nie może pofolgować swym emocjom. Nocne ciemności trochę ułatwiały sytuację, ale letnie przesilenie jest za parę dni, więc nie mógł pozwolić sobie na najmniejsze ryzyko. Do diabła - czy to możliwe, że

nieświadomie rozpętał ten przeklęty pożar? Czy odpowiada za to, że co najmniej jeden człowiek stracił życie?

Komendant straży pożarnej powiedział mu, że wstępne poszukiwania wskazują, iż ogień zaczął się na zapleczu, gdzie znajdowały się bezpieczniki, ale pogorzelnisko było zbyt gorące, by inspektorzy mogli przystąpić do roboty. Jeśli pożar został wywołany przez zwarcie elektryczne, nie miał z nim nic wspólnego, ale dręczyło go podejrzenie, że przyczyna mogła być zupełnie inna. Kiedy po raz pierwszy zobaczył Lornę, jej rude włosy rozświetlone ostatnimi promieniami słońca, na chwilę przestał kontrolować swe emocje. Mimo woli zapalił wszystkie świece; czy rozpałił także zarzewia pożaru w innych miejscach?

Odrzucił tę myśl jako nieprawdopodobną. Gdyby wywołał pożar, ogień pojawiłby się jednocześnie w wielu miejscach na terenie hotelu i kasyna, a nie w jednym oddalonym punkcie. Zresztą w mgnieniu oka odzyskał panowanie nad swoją mocą. Pożar w kasynie został spowodowany w inny sposób; zbieżność w czasie była zwykłym zbiegiem okoliczności.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim otworzył pilotem bramę i znalazł się na podjeździe do swego dwupiętrowego podmiejskiego domu usytuowanego na wschodnim zboczu Sierra Nevada. Kolejny przycisk na pilocie podniósł drzwi garażu, gdzie zaparkował lotusa niczym astronauta dokujący prom kosmiczny na kosmicznej stacji. Obok połyskiwał srebrny jaguar.

- Chodź - zwrócił się do Lorny, która wysiadła już z samochodu.

Nawet na niego nie spojrzała, gdy ją przepuścił przodem do lśniącej czystością kuchni. Wcisnął kod systemu alarmowego, by wyłączyć ostrzegawcze brzęczenie, i zastanowił się przez chwilę. Początkowo miał zamiar odwieźć ją do miasta, ale zrezygnował z tego pomysłu. Był zbyt zmęczony. Może tu przenocować, a jeśli będzie trzeba - jak podejrzewał - potrafi ją zmusić, by została i nie sprawiała kłopotów. Jeśli jej się nie spodoba - trudno; ostatnich kilka godzin było prawdziwą katorgą i nie miał siły na kolejną jazdę w tę i z powrotem.

Już całkiem zdecydowany włączył system alarmowy i odwrócił się do niej. Stała odwrócona plecami, zaledwie metr dalej, ramiona trzymała sztywno, a sądząc z podniesionej głowy - zadzierała hardo podbródek.

Kolejne polecenie wydał z żalem, że za chwilę jej utyskiwania przerwą ciszę:

- W porządku. Możesz mówić.

Odwróciła się gwałtownie, a on spojrział na jej zacisnięte pięści i przygotował się na cały potok przekleństw.

- Łazienka! - ryknęła na całe gardło.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Można było boki zrywać na widok miny Dantego, ale Lornie wcale nie było do śmiechu. Wreszcie to do niego dotarło i pospiesznie wskazał krótki korytarz.

- Pierwsze drzwi na prawo.

Zrobiła krok i stanęła jak wryta. Do licha, on ją nadal trzyma! Gdyby można było spiorunować człowieka spojrzeniem, jej wzrok dokonałby tego, co się nie udało podczas pożaru w kasynie: spaliłaby mu wszystkie włosy na głowie.

- Nie odchódź za daleko - powiedział szybko, gdy uświadomił sobie, że nie zmienił wydanego wcześniej polecenia.

Lorna dopadła do drzwi jednym susem. Trzasnęła nimi, ale nie zatrzymała się, by je zamknąć na zasuwkę. Zdażyła w ostatniej chwili, toteż poczucie ulgi było tak obezwładniające, że drżała na całym ciele.

Przygryzła wargi, by nie zajęczeć z frustracji.

Przywiózł ją do siebie! Co zamierza z nią zrobić? Kimkolwiek ten człowiek jest, ma nad nią całkowitą władzę, a ona nie jest w stanie się uwolnić. Powtarzała sobie w kółko, że musi się przełamać i zrobić jeden jedyny krok, powiedzieć choć jedno słowo - ale nie mogła. Była półprzytomna ze strachu, odrętwiała na skutek szoku, a w dodatku tak wściekła, że miała ochotę wrzeszczeć co sił w

płucach lub w ataku hysterii walić w ziemię nogami i rękami.

Zesztywniała, słysząc za drzwiami jego głos. Nastawiła uszu. Czy jest tu ktoś poza nimi? Odpreżyła się trochę, gdy się zorientowała, że Dante rozmawia przez telefon.

- Przepraszam, że cię budzę. - Zamilkł na chwilę i dodał: - W kasynie był pożar. Mogło być gorzej, ale i tak jest wystarczająco źle. Nie chciałem, żebyś zobaczył to w porannych dziennikach telewizyjnych i niepokoił się o mnie. Zadzwonź za dwie godziny do Mercy, daj jej znać, że nic mi się nie stało. W najbliższych dniach będę miał tu urwanie głowy.

Kolejna pauza.

- Dziękuję, ale nie trzeba. Nie powinieneś latać samolotami w tym tygodniu, poza tym wszystko jest w porządku. Chciałem ci dać znać, zanim wpadnę w taki wir rozmów z policją, inspektorami pożarowymi i agentami ubezpieczeniowymi, że nie będę miał ani chwili na telefon.

Rozmowa trwała jeszcze minutę, a on nadal zapewniał osobę po drugiej stronie, że nie potrzebuje pomocy, że wszystko jest w porządku - no, może nie w porządku, ale pod kontrolą. Jedna osoba zginęła w pożarze. Z kasyna nic nie zostało, ale hotel praktycznie nie ucierpiał.

Skończył rozmowę i chwilę później Lorna usłyszała zduszone przekleństwo i głośne uderzenie, jakby z wściekłością walnął pięścią w ścianę.

Nie wygląda na typa, który wybija dziury w ścianach, pomyślała. Ale przecież nic o nim nie wie. Może jest

seryjnym niszczycielem ścian. A może zemdłał, a ona usłyszała odgłos ciała upadającego na podłogę.

Ta wizja jej się spodobała: chętnie wykorzysta szansę i wymierzy leżącemu solidnego kopniaka.

Jedyny sposób, by przekonać się, czy naprawdę leży na podłodze nieprzytomny, to wyjść z łazienki. Uruchomiła spłuczkę i umyła ręce nad umywalką ze złotą armaturą, wpuszczoną w toaletkę z granitową płytą w złotobrazowym kolorze. Kiedy odkręcała kran, uderzył ją kontrast między czystą głęboką barwą toaletki a lepkiem czarnym brudem na jej rękach. A potem podniosła głowę i zobaczyła w lustrze swoje odbicie.

Patrzyła na nią postać z sennego koszmaru. Na przyklejonych do czaszki włosach zastygła skorupa z brudu, cuchnąca spalenizną. Miała tak czarną twarz, że brud wyglądał jak maska, w której widoczne były jedynie przekrwione oczy. Z czerwonymi ślepiami wyglądała jak diabeł z piekła rodem.

Wzdrygnęła się na wspomnienie szalejących wokół płomieni. Nie rozumiała, jakim cudem ma jeszcze włosy na głowie; powinna sobie gratulować, że je w ogóle ma, a nie narzekać na ich wygląd. Szampon - najlepiej cały litr - stanowi wystarczające remedium na jej wygląd. Sadze można zmyć. Ubranie jest całkowicie zniszczone, ale miała inne ciuchy. Jest zdrowa i cała, i doprawdy nie miała pojęcia, jakim cudem.

Starannie namydliła brudne ręce, opłukała je, namydliła ponownie i starała się ułożyć w myślach

kolejność wydarzeń. Ból głowy wrócił z taką siłą, że musiała się przytrzymać brzegów umywalki.

Urywane słowa kłębiły się jej w głowie, jakby próbowały ułożyć się w sensowne zdania, ale rozwiewały się, zanim przybrały zrozumiałą formę.

...powinna była spłonąć...

...spalone włosy...

...wielki bąbel...

...nie ma dymu...

...agonia...

Jęcząc z bólu, opadła na kolana.

Dante przeklinał.

Coś jej to przypomniało.

Trzymał ją przed sobą i mocno obejmował. Przeklinał tak jak przed chwilą i...

Wspomnienie zniknęło, nie była w stanie go przywołać. Ból głowy był tak przeraźliwy, że kontury przedmiotów zaczęły się rozmazywać. Bezmyślnie patrzyła na mydło w swojej dłoni, zbierając siły, by wstać. Czy miała udar mózgu? Ból był niesamowicie intensywny, piekący, przepełniał jej czaszkę, miała wrażenie, że za chwilę głowa jej eksploduje.

Bańki mydlane.

Mieniące się tęczowo bańki mydlane... przypominały jej coś ważnego... co było wokół niej...

Lśniąca powierzchnia bańki...

Wspomnienie wybuchło w jej udręczonym mózgu tak wyraźnie, że łzy napłynęły jej do oczu. Widziała ją wokół,

opalizująca powłoka chroniła ją i Dantego przed piekielną temperaturą i dymem.

Czuła, jakby jej mózg istotnie rozpadł się na atomy. Uderzenie było tak silne, że nie dało się go porównać z żadnym dotychczasowym doświadczeniem; jedyne, co przychodziło jej do głowy, to zderzenie człowieka z pociągiem albo - jeszcze lepiej - meteorem. Jakby wszystkie szare komórki nagle zlały się w magmę, z której ktoś wyssał jej tożsamość, wszystko, czym była, jest i będzie. Teraz zaś jest bezradna, bezbronna jak noworodek, niezdolna do szukania ochrony przed bólem i stawienia czoła okrutnemu człowiekowi, który tak brutalnie odarł ją ze wszystkiego.

Teraz przypomniwała sobie wszystko: każdą chwilę przerażającego strachu, niezdolność do działania, bezlitosny sposób, w jaki ją wykorzystał.

Wszystko.

- Miałaś wystarczająco dużo czasu - zawołał z kuchni.
- Wychodź już, Lorno.

Jak marionetka wstała i wyszła z łazienki, ciągle ściskając mydło w dłoni i trzęsąc się w bezsilnej furii. Dante stał z ponurą miną i na nią czekał. Z każdym krokiem jej wściekłość rozpalala się do białości.

- Ty draniu! - wrzasnęła i z całej siły kopnęła go w kostkę. Mogła poruszać się w promieniu paru kroków, dalej zatrzymywała ją niewidzialna ściana. Odwróciła się i znowu rzuciła się na niego. - Ty parszywy łobuzie! - Wymierzyła celny cios łokciem w bok.

Chyba nie uderzyła go wystarczająco mocno, bo zamiast zwijać się z bólu, wyglądał na zaskoczonego. To ją rozwścieczyło jeszcze bardziej. Kiedy znowu odbiła się od niewidzialnej ściany, zaczęła się miotać w klatce wyznaczonej przez jego wolę.

- Wciągnąłeś mnie w sam środek pożaru... - Szybki jak ukaszenie węża kuksaniec w bok.

- Umierałam ze strachu, ale czy miało to dla ciebie jakieś znaczenie? - Kopniak w kolano.

- O nie. Musiałam tam stać, a ty wyczyniałeś swoje czary-mary. - Kolejny cios w splot słoneczny.

- Zgwałciłeś mnie, ty gorylu, zgwałciłeś mój umysł, ty przekłety czarowniku, psychopatyczny szamanie! - Tym razem wymierzyła uderzenie w nerki.

- W dodatku to cię tak rozgrzało, że ocierałeś się lubieżnie o moją pupę, ty zbrojeńcu! - Była tak rozzłoszczona, że to ostatnie zdanie wrzasnęła mu prosto w twarz i włożyła wszystkie siły w prawy prosty wymierzony w jego szczękę.

Z łatwością zasłonił się jednym ruchem przedramienia, więc wskoczyła mu piętą na stopę.

- Aj! - jęknął, ale ten drań się przy tym śmiał!

Poruszał się szybko, niemal niezauważalnie, i w następnej chwili znalazła się w jego ramionach, pozbawiona możliwości ruchu. Otworzyła usta, by wyrzucić z siebie kolejne obelgi pod jego adresem, ale słowa uwięzły jej w gardle, gdy schylił głowę i ją pocałował.

W przeciwieństwie do taktyki żelaznej pięści, którą stosował wobec niej przez całą noc, pocałunek był miękki i delikatny jak muśnięcie piórkiem, niemal słodki.

- Przepraszam - wymruczał i pocałował ją znowu.

Śmierdział tak jak ona, może nawet bardziej, ale pod zniszczonym ubraniem kryło się wspaniale umięśnione ciało, gorące jak ogień, zwłaszcza w zestawieniu z chłodem klimatyzowanego pomieszczenia.

- Wiem, że zadałem ci ból. Nie miałem czasu na wyjaśnienia. - Pomiedzy jednym a drugim zdaniem całował ją coraz odważniej, coraz dłużej.

Szok ją obezwładnił. Szok, że Dante ją całuje, szok, że ona mu na to pozwala mimo dzielących ich antagonizmów; po tym wszystkim, co on jej zrobił; po tym, jak potraktowała go jak worek treningowy, wyładowując w całej serii ciosów swoją frustrację. Pocałunek nie był wymuszony; nie czuła tu ograniczenia swojej woli, jak przy próbach oddalenia się z miejsca. Oparła mu ręce na piersiach, ale nie wykonała najmniejszego gestu, by go odepchnąć, nawet w myślach.

Jego usta zsunęły się do ciepłego zagłębienia za uchem, delikatnie kasał jej kark.

- Dużo bardziej wolę frontalne natarcie - wymruczał przekornie i pocałował ją dla odmiany mocno i agresywnie. Poznawał ją językiem, jakby chciał zapamiętać jej smak, a prawą ręką przyciągnął do siebie jej biodra.

On robi to, co zapowiedział.

Lorna nie miała w zwyczaju ulegać požądaniu, nie miała zaufania do silnych emocji. Doświadczenie nauczyło

ją, że żądza jest samolubna i egocentryczna. Nie była na nią całkowicie niepodatna, ale zachowywała dystans - nie ufała mężczyznom, bo jej zdaniem opowiadają kobietom słodkie kłamstewka tylko po to, by je zaciągnąć do łóżka. Nie wierzyła, że ktokolwiek mógłby autentycznie troszczyć się o nią i kierować się jej dobrem. Jeśli już pozwalała sobie na romans - zachowywała ostrożność.

Gdyby nie zmęczenie, stres i silna trauma, na pewno nie pofolgowałaby zmysłom, ale nie była sobą od momentu, gdy szef ochrony przyprowadził ją siłą do gabinetu właściciela Piekła. Teraz była zupełnie wytrącona z równowagi, miała zawroty głowy, jakby kuchnia kręciła się wokół niej, jakby podłoga falowała jej pod nogami. Dante za to był jak opoka i źródło ciepła. Jego ramiona trzymały ją mocno, a jej ciało odpowiadało na jego pieszczoty, jakby nic na świecie nie miało znaczenia poza tym momentem i chemią między nimi. Jego niesamowite ciepło grzało niczym słońce.

Gdzieś tam zaświtało jej, że taki brak samokontroli może być niebezpieczny.

- To niemądre - wymamrotała.
- Całkowicie nierozsądne - potwierdził.

Nie chciał jej puścić, więc odepchnęła go lekko i dopiero wtedy uwolnił ją z objęć.

Nie cofnął się, więc zrobiła to ona. Rozejrzała się po kuchni, by nie patrzeć mu w twarz.

- Porwałeś mnie - oskarżyła go ze złością. Zastanowił się, po czym potwierdził krótko:

- Zgadza się.

Z jakiegoś powodu przytaknięcie zirytowało ją bardziej, niż gdyby próbował ją przekonywać, że nie ma racji.

- Jeśli zamierzasz oskarżyć mnie o oszustwo, zrób to. Sam zrobisz z siebie pośmiewisko, im szybciej, tym lepiej dla mnie, bo będę mogła wyjechać i więcej cię nie oglądać.

- Nie wystąpię z oskarżeniem - przerwał. - Masz rację. Niczego nie udowodnię.

- Więc po co mnie tu przywlokłeś? - Jego nagłe ustępstwo zbiło ją z tropu.

- Powiedziałem, że niczego nie udowodnię. To nie znaczy, że jesteś niewinna. - Zmierzył ją wzrokiem. - Faktem jest, że szachrowałaś. Wykorzystywanie parapsychicznych uzdolnień w grze losowej jest oszustwem, bez dwóch zdań.

- Nie mam... - Chciała zaprotestować, ale uciszył ją gestem ręki.

- Dlatego właśnie „zgwałciłem twój umysł”, jak to nazwałaś. Potrzebowałem większej mocy, aby powstrzymać ogień, a wiedziałem, że jesteś nią obdarzona, nie wiedziałem tylko, w jakim stopniu. Nie uwierzę ci, jeśli będziesz twierdzić, że i ty o tym nie wiedziałaś. Dysponujesz zbyt wielką siłą, żeby uważać się za zwykłą szczęściarę.

Nie miała pojęcia, jak zareagować. Chłodne przyznanie się do tego, co jej zrobił, spowodowało, że się zjeżyła, ale zarzut, jakoby posiadała paranormalną moc, wyprowadził ją z równowagi do tego stopnia, że zaczęła gorączkowo kręcić głową, zanim jeszcze skończył mówić.

- To dotyczy tylko liczb - przyznała. - Mam talent do liczb.

- Bzdura.

- Naprawdę, nic więcej. Nie potrafię przepowiadać przyszłości, czytać z fusów ani nic podobnego. Nie wiedziałam, że terroryści zaatakują World Trade Center...

Nie powiedziała, że wiele dni wcześniej prześladowały ją numery rejsów - właśnie tych samolotów, które zostały porwane. Wstukiwała numer telefoniczny i machinalnie wprowadzała złowieszcze numery - i to w takiej kolejności, w jakiej samoloty zostały zniszczone.

To wspomnienie wyplęnęło nagle z podświadomości, niczym łosoś wyskakujący nad powierzchnię wody, i zmroziło ją do szpiku kości. Od tamtej pory nie myślała o owym przeczuciu. Zagrzebała je głęboko w niepamięci, gdzie niczym jej nie groziło.

- Idź sobie - szepnęła do niechcianego obrazu.

- Nigdzie nie pójde - odparł Dante. - Ty też nie. A przynajmniej nie od razu. - Westchnął i spojrzął na nią pełen skruchy. - Rozbieraj się.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Mowy nie ma! - krzyknęła, odskakując od niego najdalej jak mogła, to znaczy na parę kroków.

- Z przyjemnością ci pomogę - odparł ironicznie, ale w jej uszach zabrzmiało to złowieszczo. - Nic na to nie poradzisz. Przysięgam, że nie mam zamiaru cię napastować. Po prostu ściągnij ciuchy i miejmy to już za sobą.

Cofała się, w miarę jak się do niej zbliżał, kurczowo ściskając brzegi bluzki, jakby była wiktoriańską dziewczcą, a jednocześnie rozglądała się wokół siebie w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni. Przecież są w kuchni. Czy nie powinno tu być pod dostatkiem różnych użytecznych przedmiotów? Czemu na tym eleganckim blacie nie ma noży wetkniętych w jakąś elegancką ciężką podstawkę?

Westchnął, jakby znudzony jej oporem.

- Mogę cię do tego skłonić bez podniesienia na ciebie choćby jednego palca. Ty o tym wiesz, ja o tym wiem, więc po co te ceregiele?

On ma rację, pomyślała. Jego umysł przejmuje kontrolę nad jej umysłem. W każdej chwili Dante może jej coś nakazać, a ona to wykona.

- To świństwo! - wykrzyczała mu prosto w twarz, zaciskając pięści. - W jaki sposób to ze mną robisz?

- Jestem psychopatycznym szamanem, prawda?

- Nie zapominaj o całej reszcie! Ty draniu!

- Wiem, wiem. Ściągaj ciuchy.

Potrząsnęła głową, aż zawirowały posklejane kosmyki. Spodziewała się, że Dante wykorzysta swoją przewagę i złamie jej wolę, ale nie próbował nią manipulować.

Szedł za nią krok w krok, zapędzając ją w głąb korytarza. Minęła drzwi do łazienki. Czowała się jak intruz przyłapany w jaskini zbójców, choć prawdopodobnie jest to niezwykle luksusowa jaskinia. Nie miała odwagi oderwać od niego wzroku, by się rozejrzeć.

Zapędza ją jak pies pasterski zbłąkaną owcę, pomyślała. Nie ma wyboru. Musi iść tam, gdzie jej wskazuje. Jego przekrwione zielone oczy lśniły w ponurej twarzy, nadając mu kompletnie dziki wyraz. Serce jej waliło.

Może on naprawdę jest szalonym seryjnym zabójcą, który morduje ludzi, ćwiartuje ich i zakopuje szczątki na pustynnych pustkowiach Nevady. Współczesny Rasputin? Uciekinier ze szpitala dla psychicznie chorych? Nie wyglądał i nie zachowywał się jak multimilioner, właściciel luksusowego hotelu i kasyna. Raczej jak ostatni barbarzyński władca czy wódz jakiegoś dzikiego plemienia.

Potknęła się na progu kolejnego pomieszczenia, przytrzymała się framugi i stanęła jak wryta, widząc, że znajdują się teraz w kolejnej łazience, znacznie większej i bardziej luksusowej niż ta obok kuchni. Było tam ciemno, światło wpadało tylko przez otwarte drzwi i odbijało się w lustrze, w którym widziała też siebie i swego prześladowcę.

Zapalił światło; musiała przysłonić oczy, tak się zrobiło jasno.

- Wystarczy tego dobrego. Rozbieraj się, albo zrobimy to w mniej przyjemny sposób.

Lorna rozejrzała się. Nie miała dokąd uciec.

- Idź do diabła! - warknęła i zrobiła to, co robią wszystkie zapędzone w kąt zwierzęta: zaatakowała.

Przez chwilę blokował jej ciosy, uskakiwał przed kopniakami i unikał ugryzień, a łatwość, z jaką się wywijał, rozgniewała ją jeszcze bardziej. W trakcie walki zgubiła jeden but: tani sandalek przeleciał przez całą łazienkę, by wylądować we wpuszczanej w podłogę wannie. W pewnym momencie Dante stracił cierpliwość i trzy sekundy później Lorna wylądowała twarzą na toalecie, z rękami unieruchomionymi z tyłu.

Stał tak blisko, że nie była w stanie kopać go po nogach. Jedną ręką szarpnął od tyłu jej bluzkę. Rozległ się dźwięk rozdieranego materiału, ale szwy trzymały. Zaklął i szarpnął mocniej, aż puścił szew po lewej stronie.

Wiła się jak piskorz, wrzeszcząc do całkowitego zachrypnięcia. Ignorował każde jej słowo, każdą prośbę i obelgę, koncentrując się na systematycznym zrywaniu z niej odzieży. Na przemian płakała ze strachu i dygotała z furii, gdy rozpiął jej spodnie, ale zatrzymał się, zanim zsunął je z bioder.

Opuściła ręce i szlochała z twarzą przytuloną do zimnego blatu toaletki. Nie zerwał z niej resztek ubrania, ale przejechał dłonią po karku, odgarnął na bok skołtunione włosy i uważnie obejrzał jej plecy. Chwycił przeguby jej dłoni drugą ręką, unosząc je wysoko do góry, nad głowę, i kontynuował coś, co wyglądało na dokładną

inspekcję każdego centymetra skóry. Piersi od spodu i z boku, żebra, talia, biodra, brzuch, wreszcie ściągnął niżej spodnie, by mieć dostęp do ud i pośladków. Śmiertelnie przerażona, szarpała się i zanosila łkaniem, on jednak był nieubłagany.

W końcu westchnął i powiedział tylko:

- Jestem ci winien kolejne przeprosiny. - Uwolnił jej ręce i cofnął się. Wychodząc, dodał jeszcze: - Przyniosę ci coś do przebrania. Weź prysznic, uspokój się i wtedy porozmawiamy. - A po chwili dodał: - Nie wychodź z tego pomieszczenia - i cicho zamknął za sobą drzwi.

Szlochając, opadła na podłogę i siedziała tam jak kupka nieszczęścia. Początkowo była w stanie tylko płakać i dygotać. Po pewnym czasie odzyskała wigor i wydała z siebie wściekły wrzask. I znowu pograżyła się we łzach. Wreszcie usiadła, otarła twarz porwaną bluzką, wypluła pod adresem Dantego najbardziej obraźliwe obelgi i poczuła się odrobinę lepiej.

Miała spuchnięte oczy i zatkany nos, ale uspokoiła się na tyle, by wstać, choć przeszkadzały jej spodnie, które opadły do kolan. Zaczerwieniła się na wspomnienie doznanego upokorzenia. Rozebrała się do naga i zawahała.

Sugestia, by wzięła prysznic, okazała się tylko dobrą radą, a nie psychicznym przymusem. Jeśli nie będzie chciała, nie zrobi tego. Gdyby wołała, może się wymoczyć w wannie. Mogła się wcale nie myć, ale tę opcję odrzuciła od razu.

Kąpiel byłaby niepraktyczna, sadza szybko zmieszałaby się z wodą, a nie miała ochoty znaleźć się w

brudnej wannie. Długi gorący prysznic jest najlepszą ewentualnością.

Kabina prysznicowa nie miała drzwi - wchodziło się do niej jak do wielkiej muszli. Za łukiem kamiennej ściany schowane były półki z grubymi ręcznikami w ciepłym miedzianym kolorze, w głębi po trzech stopniach schodziło się do kabiny z wieloma prysznicami. Wszystkie kurki były w zasięgu ręki, a gdy je przekreśliła, strumienie wody poleciały jednocześnie z trzech ścian i z sufitu. Odczekała chwilę, aż gorąca para upewniła ją, że woda ma odpowiednią temperaturę, i zanurzyła się w niej.

Mogła się teraz skupić na zmywaniu z siebie brudu i ta czynność przyniosła jej ukojenie. Gorące strużki wody uderzające równomiernie w ciało były jak odprężający masaż. Polała włosy szamponem, namydliła je i spłukała. Powtarzała tę czynność, aż wreszcie były czyste. Wcierała w skórę pachnący żel do kąpieli, ale nie był wystarczająco skuteczny, by sobie poradzić z sadzą. Wróciła do szamponu - skoro poradził sobie z włosami, będzie dobry dla reszty ciała.

Wreszcie uświadomiła sobie, że siedzi pod wodą tak długo, że skóra na opuszkach palców zdążyła się pomarszczyć. Właściwie dawno powinno zabraknąć ciepłej wody, wystarczy tej kąpieli. Była nasiąknięta wodą jak gąbka. Z żalem zakreśliła kurki, a woda zniknęła tak szybko, jakby została wessana w głąb rur. Wtedy usłyszała jednostajny szum wentylatora.

Nie włączyła go przed kąpielą. Możliwe, że uruchamiał się automatycznie, gdy wilgotność w pomieszczeniu

osiągała określony poziom, ale mógł to być znak, że w jakimś momencie Dante wrócił do łazienki.

Pospiesznie owinęła się w wielki puszysty ręcznik, a z drugiego zrobiła na głowie turban. Ukryta za łukiem ściany, wyjrzała ostrożnie do głównego pomieszczenia. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze nad podwójnymi umywalkami, ale nikogo nie dostrzegła. Była sama - przynajmniej w tej chwili. Na taborecie przy toalecie leżał gruby szlafrok. A więc się nie pomyliła. Dante tutaj był.

Przyjrzała się sobie w lustrze. Była blada, a napięta skóra na policzkach nadawała jej wyraz osoby bezbronnej i przestraszonej. Tak też się czuła. Jest bezbronna i przestraszona.

Zapowiedział, by nie opuszczała łazienki. Była tak śmiertelnie zmęczona, że nawet nie miała ochoty tego próbować, więc nie sprawdzi, czy była to tylko sugestia, czy dziwaczny nakaz psychiczny, którego nie będzie w stanie obejść. W tym momencie było jej wszystko jedno. Wystarczyła jej ta łazienka, gdzie nie miała innych problemów poza wysuszeniem włosów.

Zaglądając do szuflad toaletki, odkryła pięknie pachnący balsam do ciała, suszarkę do włosów i szczotkę, czyli wszystko, czego jej brakowało do szczęścia. Wmasowała krem wszędzie, gdzie mogła sięgnąć, po czym zabrała się za suszenie włosów.

Rozczesywała je niespiesznie. Całe szczęście, że ma grube, w miarę proste włosy, bo nie miałyby siły ich układać. Zamierzała je tylko wysuszyć, zanim padnie ze zmęczenia.

Kiedy zrealizowała swój plan, otuliła się szlafrokiem. Niewiele brakowało, a włóklby się po ziemi. Sądząc po długości rękawów, sięgających do czubków palców, należał do gospodarza. To zabawne, pomyślała leniwie, nie wygląda na takiego, co chodzi w szlafroku.

Czekała, przestępując z nogi na nogę, zaciskała i rozprostowywała palce stóp. Mogła przynajmniej otworzyć drzwi, ale nie spieszyło jej się do ponownego starcia z Dantem, a nawet do zderzenia się z niewidzialną barierą, która uniemożliwi jej samodzielne wyjście z łazienki. Ma na to czas. Może poczekać na konfrontację z wrogiem.

Porozmawiamy, powiedział. Nie ma ochoty z nim rozmawiać. Nie ma mu nic do powiedzenia poza słowami powszechnie uznanymi za obraźliwe. Chciała wreszcie wrócić... nie, nie do domu, bo go nie ma. Chciała znaleźć się w mieszkaniu, które wynajęła. Tam są jej rzeczy, łóżko, do którego się przyzwyczaiła. Wystarczający substytut domu.

Nieoczekiwanie Dante stanął w drzwiach. Był wysoki, barczysty i tak pełen życia, jakby ta noc wcale go nie zmęczyła. Najwyraźniej także wziął prysznic; długie czarne włosy, jeszcze wilgotne, zaczesał do tyłu, co uwydatniło nieco egzotyczne rysy jego twarzy.

Miał na sobie jedwabne spodnie od piżamy i nic więcej. Twarzy nie rozświetlał nawet uśmiech.

- Porozmawiamy jutro rano. Wątpię, czy zdołałabyś sklecić jedno spójne zdanie. Chodź, pokażę ci twój pokój.

Cofnęła się gwałtownie, a on spojrzał na nią z trudną do zdefiniowania miną.

- Twój pokój - podkreślił. - Nie mój. Nie wydałem ci polecenia, ale zrobię to w razie potrzeby. Nie sądzę, że byłoby ci wygodnie spać w łazience.

- I tak musisz mi wydać rozkaz, bo inaczej nie mogę stąd wyjść - odparowała.

Uznała, że zakaz opuszczania łazienki jest celową demonstracją siły, a wyraźna irytacja, z jaką zareagował, potwierdziła jej podejrzenie.

- Chodź ze mną - polecił krótko.

Mogła wreszcie wyjść z łazienki, ale musiała dreptać za nim jak kaczątko za kaczką.

Zaprowadził ją do przestronnej sypialni z oknem, przez które połyskiwały w oddali kolorowe światła Reno.

- Jesteś tu bezpieczna. Nie będę ci przeszkadzał. Nie zamierzam zrobić ci krzywdy. Nie wychodź stąd. - Z tymi słowami zamknął za sobą drzwi i zostawił ją w pokoju oświetlonym tylko nocną lampką.

Musiał powiedzieć to ostatnie zdanie, niech go licho. Ale i tak miała tylko tyle sił, by się wdrapać na wielkie łożo. Skuliła się pod kołdrą i narzuta, naciągnęła je na głowę i zasnęła.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Poniedziałek

- Dobrze się czujesz?

Lorna przebudziła się, jak zawsze, z uczuciem lęku czającym się w zakamarkach mózgu. To nie słowa wywołały tę reakcję, choć od razu poznała głos Dantego i wzdrygnęła się na jego dźwięk. Strach towarzyszył jej niezależnie od tego, gdzie była, i odkąd sięgała pamięcią. Poczucie zagrożenia miała we krwi.

Z koldrą naciągniętą na głowę nie mogła nic zobaczyć. Nie wierciła się w czasie snu, więc nadal leżała zwinięta w kłębek, otulona w szlafrok, który nawet się nie rozwiązał.

- Dobrze się czujesz? - spytał bardziej natarczywie.

- Bajecznie - mruknęła, mając nadzieję, że sobie pójdzie.

- Jęczałaś przez sen.

- Chrapałam - burknęła, kurczowo przytrzymując koldrę, na wypadek, gdyby próbował ją z niej zerwać; jakby miała w starciu z nim jakieś szanse. Dostała nauczkę zeszłej nocy w czasie upokarzającej sceny w łazience.

- Akurat! - prychnął. - Jaka kawę pijasz?

- Nie pijam. Jestem przyzwyczajona do herbaty.

- Zobaczę, co się da zrobić - westchnął po chwili milczenia. - Jak pijasz herbatę?

- W towarzystwie przyjaciół.

Usłyszała dźwięk, który przypominał warknięcie, potem z hukiem trzasnęły drzwi sypialni. Z satysfakcją pomyślała, że wyprowadziła go z równowagi swoją czarną niewdzięcznością. Świetnie! Grubo się myli, jeśli sądzi, że wystarczy jej zaoferować fajkę pokoju w postaci filiżanki kawy lub herbaty, by wymazała z pamięci ból i poniżenie! Na drodze do Canossy nie zrobił nawet pierwszego kroku.

Nie chciało jej się wstawać. Nie miała ochoty na zapowiadaną rozmowę, zwłaszcza że nie wyobrażała sobie, co takiego mieliby omawiać. Wczoraj Dante potraktował ją okropnie i choć najwyraźniej dotarło do niego, że źle postąpił, nie starał się o naprawienie krzywd. Nie odwiózł jej do domu. Zamknął w tym pokoju. I nie nakarmił!

Burczenie w żołądku przypomniało jej, że musi wstać, jeśli chce znaleźć coś do jedzenia. Niechętnie odrzuciła koldrę i zobaczyła, że Dante stoi w drzwiach. Drań wcale nie wyszedł! Tylko udawał.

Uniósł jedną brew w niemym sardonicznym komentarzu.

- To nieludzkie - mruknęła zirytowana.
- Co takiego?
- Podnoszenie jednej brwi. Ludzie nie potrafią tego robić. Tylko demony.
- Ja potrafię.
- Co było do okazania.

Uśmiechnął się, co zirytowało ją jeszcze bardziej. Chciała go dotknąć, a nie rozbawić.

- Jeśli wreszcie łaskawie wstaniesz, to przekonasz się, że ten demon wyprał twoje rzeczy...

- Te, których nie podarłeś - wtrąciła kwaśno, ukrywając zaniepokojenie. Czy sprawdził, co miała w kieszeniach? Jeśli nie, to może wyprał pieniądze i prawo jazdy wraz ze spodniami.

- ...i pożyczył ci jedną ze swoich demonich koszul. Pewnie będziesz musiała wyrzucić spodnie, plam nie da się wywabić, ale przynajmniej są czyste. Na razie muszą ci wystarczyć. Masz do wyboru płatki śniadaniowe i owoce albo rogalik z serkiem śmietankowym. Przyjdź do kuchni, kiedy się ubierzesz. Tam zjemy. - I tym razem wyszedł.

Sądził, że Lorna zje śniadanie razem z nim. Niestety, miał rację. Była strasznie głodna, a życie nauczyło ją już dawno temu, że tam, gdzie chodzi o przetrwanie, warto schować dumę do kieszeni.

Świeżo wyprane, ale poplamione sadzą spodnie leżały złożone na łóżku, razem z bielizną i białą koszulą z jakiegoś śliskiego, lejącego się materiału.

Najpierw złapała spodnie i przeszukała kieszenie. Ku swojemu zdenerwowaniu nie znalazła ani pieniędzy, ani prawa jazdy. Albo miał je Dante, albo wypadły w czasie prania. Powinna przeszukać pralkę i suszarkę.

Wyskoczyła z łóżka i pokuśtykała do łazienki. Znalazła wszystko, co było jej potrzebne: szczoteczki do zębów w plastikowych opakowaniach, pastę do zębów, płyn do płukania ust, balsam do ciała, mały zestaw do szycia, nawet nowe szczotki do włosów i jednorazowe golarki.

Producent szczoteczek najwyraźniej nie podejrzewał, że będzie ich chciał użyć ktoś, kto nie ma noża lub nożyczek. Bezskutecznie próbowała rozerwać plastikowe opakowanie, najpierw palcami, potem zębami, aż wreszcie wpadła na pomysł, by użyć małych nożyczek z zestawu krawieckiego, i po dłuższym dziabaniu, cięciu i szarpaniu wreszcie odniosła sukces. Odkładając nożyczki, zawahała się, a po namyśle położyła je na wierzchu toaletki. Nie zdadzą się na wiele, ale...

Umyła zęby i twarz, uczesała się. Wystarczy. Nawet gdyby miała przy sobie swoje nieliczne kosmetyki, i tak nie poprawiałaby urody tylko ze względu na tego człowieka.

W sypialni zamknęła się od środka na wypadek, gdyby mu przyszło do głowy wparadować tu znienacka, i zaczęła się ubierać. Środki ostrożności są bezużyteczne, pomyślała gorzko. Gdyby chciał wejść, wydałby komendę i sama - chcąc nie chcąc - by go wpuściła. Nienawidziła tej sytuacji i nienawidziła jego.

Wcale nie chciała jego koszuli. Podniosła ją, by rzucić okiem na metkę. Nie знаła nazwy producenta, ale na instrukcji prania był znaczek - jedwab, czyścić chemicznie.

Może uda jej się poplamić koszulę dżemem. Niechcący, oczywiście.

Wkładała już ręce do rękawów, gdy przypomniała sobie, jak sformułował polecenie. Przyjdź do kuchni, kiedy się ubierzesz. Jeśli ma przeszukać sypialnię, musi to zrobić przed włożeniem bluzki. Potem nie będzie miała wyboru, posłusznie pójdzie do kuchni, kierowana kompulsywnym nakazem.

Schowała małe nożyczki z łazienki w prawej kieszeni spodni, potem systematycznie przeszukała oba pomieszczenia w poszukiwaniu jakiejś broni czy innego narzędzia przydatnego do ucieczki. Wykorzysta pierwszą szansę, która się nadarzy.

Problemem był brak butów. Te, które miała na sobie poprzedniej nocy, nadawały się do wyrzucenia, ale przynajmniej chroniłyby jej stopy. Raintree nie przyniósł ich do sypialni. Może nadal leżą porzucone w łazience, w której brała prysznic? Nie uśmiechało jej się bieganie na bosaka po okolicy. Jak daleko musiałaby odejść, żeby się uwolnić? Jak daleko sięga strefa jego wpływów? Z jakiej odległości Raintree potrafi ubezwłasnowolnić swą ofiarę?

Przecież musi być granica, poza którą jego hipnotyczne sztuczki przestają skutkować. Czy musi wypowiadać swoje rozkazy na głos, czy wystarczy, by je pomyślał?

Dreszcze chodziły jej po plecach, gdy się nad tym zastanawiała. Wolałaby wiedzieć, że ją po prostu zahipnotyzował, bo wszelkie inne wyjaśnienia sprowadzały się do tego, że trafiła żywcem do upiornego świata „Strefy mroku”, a na końcu wyląduje w pomieszczeniu bez klamek w kaftanie bezpieczeństwa.

Niestety, poza nożyczkami nie znalazła niczego użytecznego. W szufladach ściennych szaf nie było pistoletów, żadnego porzuconego młotka, którym mogłaby rozwalić Dantemu głowę, żadnych szali, którymi mogłaby go udusić. Gdy wyprztykała się już z pomysłów, z żalem włożyła jedwabną koszulę. Bezskutecznie usiłowała

podwinąć rękawy i zastanawiała się, kiedy poczuje przymus pójścia do kuchni. Śliski materiał rozwijał się ciągle, więc w końcu dała za wygraną i rękawy opadły poniżej przegubów. Nadal nie czuła potrzeby, by dołączyć do Dantego.

Sama decyduje o sobie. Nie rzucił na nią żadnego ze swoich zakłęb wudu.

Zazgrzytała zębami na myśl o tym, że z własnej woli robiła coś, co jej nakazał, otworzyła drzwi sypialni i wyszła na korytarz.

Przed sobą zobaczyła schody. Te po prawej stronie prowadziły na wyższe piętro i na balkon. Schody po lewej prowadziły w dół, gdzie u podstawy rozszerzały się jak wachlarz. To ją zaskoczyło. Nie pamiętała żadnych schodów. Czy aż do tego stopnia straciła kontakt z rzeczywistością? Przerząły ją luki odkrywane we własnej pamięci. Czego jeszcze nie pamięta?

Zeszła na parter i przystanąła. Znalazła się w imponującym... salonie? Nie przypominał żadnego z salonów, jakie w życiu widziała. Łukowe sklepienie sufitu wznosiło się trzy kondygnacje nad jej głową. Na jednym końcu salonu znajdował się przeogromny kominek, przeciwległa ściana była ze szkła. Najwyraźniej Dante lubi ten styl, bo cały dom był przeszklony. Widok zapierał dech w piersiach. Dziwne, że wczoraj tego nie zauważyła.

Ostrożnie przesunęła się w kierunku bocznego korytarza. Otoczenie wydało jej się znajome, więc bez zdziwienia odkryła za pierwszymi drzwiami łazienkę, w której wczoraj brała prysznic - i w której Dante tak

brutalnie zerwał z niej ubranie. Zacisnęła usta, weszła i rozejrzała się w poszukiwaniu butów. Nie ma. Na bosaka pomaszerowała przed siebie, minęła toaletę i wkroczyła do kuchni.

Siedział na wysokim barowym stołku, niedbale opierając stopy o jego podstawę. W jednej ręce miał filiżankę kawy, w drugiej poranną gazetę. Na jej widok podniósł głowę.

- Znalazłem herbatę. Woda już się gotuje.

- Napiję się zimnej wody.

- Bo herbatę pijasz tylko w towarzystwie przyjaciół, prawda? - Odłożył gazetę, otworzył szafkę, z której wyjął szklanekę, i napełnił ją pod kranem.

- Mam nadzieję, że nie oczekujesz francuskiej butelkowanej wody, bo uważam to za stratę pieniędzy.

- Każda jest dobra. - Wzruszyła ramionami. Podał jej szklanekę i pytająco podniósł obie brwi.

- Płatki czy rogalik?

- Rogalik.

Dopiero teraz zauważyła talerzyk z jego własnym rogalcem, który wcześniej schowany był za gazetą. Może była małostkowa, ale wolałaby nie jeść tego samego co on. Jednak nie na tyle, by przerwucić się na płatki.

Włożył rogalik do opiekacza i wyjął z lodówki biały serek. Rozejrzała się wokół.

- Która godzina? Nigdzie nie zauważyłam zegara.

- Dziesiąta pięćdziesiąt siedem - odparł. - Nie mam żadnych zegarów, nie licząc elektronicznego w kuchence. I może jeszcze jednego w mikrofalówce.

Spojrzała za siebie. Na wyświetlaczu kuchenki widać było błękitne cyfry - dziesiąta pięćdziesiąt siedem. Nie mógł ich zobaczyć, zasłaniała je przed jego wzrokiem, poza tym wcale się nie odwrócił. Może zarejestrował czas, gdy wyjmował serek?

- Telefon komórkowy też ma zegarek - ciągnął.

- Podobnie komputery i samochody. W pewnym sensie posiadam zegary, choć nie noszę zegarka na rękę ani nie wiem go na ścianie. Są częścią innych urządzeń.

- Jeśli myślisz, że ta gadanina mnie rozbawi i zapomnę, że cię nienawidzę, to się mylisz.

- Nie miałem takiego zamiaru. - Popatrzył jej prosto w twarz tymi zielonymi oczami, tak intensywnymi, że mimo woli cofnęła się o krok. - Musiałem wiedzieć, czy należysz do rodu Ansara, i dlatego postąpiłem z tobą tak bezwzględnie. Przepraszam.

Narastająca frustracja doszła do punktu wrzenia. O co mu właściwie chodzi? Ma dosyć tej zabawy w kotka i myszkę.

- Kim, do diabła, jest Ann Sara?! I gdzie, do licha, są moje buty?!

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Odpowiedź na drugie pytanie jest prosta. Wyrzuciłem je.

- No to świetnie - mruknęła, patrząc na swoje bose stopy, palce podkurczone z zimna na kamiennych płytach podłogi.

- Zamówiłem nową parę u Macy'ego. Ktoś z moich pracowników niedługo je przywiezie.

Lorna skrzywiła się. Nie przyjmowała prezentów od nikogo, a już szczególnie jemu nie chciała niczego zawdzięczać - ale w tym wypadku nie miała wyboru. W dodatku wyrzucił jej buty i zniszczył bluzkę, więc odkupienie ich jest tylko częściową rekompensatą jej straty.

- Kim jest Ann Sara i jej ludzie? - Dobrze usłyszała, że powiedział „Ansara”, ale słowo to i tak nie miało dla niej żadnego sensu, a przekręcając je, chciała mu zagrać na nerwach.

- To dłuższa historia, ale po wydarzeniach ostatniej nocy masz prawo ją usłyszeć. - Rozległ się dzwonek i z tosterą wyskoczył ciepły rogalik. Dante przełożył go zręcznie na mały talerzyk i podał jej wraz z nożem i serkiem do posmarowania.

Wybrała stółek najdalszy od niego, przekroiła i posmarowała grubo jedną z połówek.

- Słucham - rzuciła krótko.

- Jest parę spraw, które chciałbym wyjaśnić na wstępie. Po pierwsze... - tu sięgnął do kieszonki džinsów, wyciągnął plik banknotów i przesunął je w jej stronę.

- Moje pieniądze! - Zgarnęła je i schowała. Między banknoty było wetknięte prawo jazdy.

- Miałaś na myśli moje pieniądze? - skomentował kwaśno, ale nie próbował ich zatrzymać. - I nie opowiadaj bajeczek, że nie oszukiwałaś, bo wiem swoje. Nie jestem tylko pewien, w jaki sposób to robisz i czy dociera do ciebie, że to nieuczciwe.

Znowu zaczął opowiadać swoje bajdy, ale to nie znaczy, że ją sprowokuje.

- Nie oszukiwałam - upierała się, choćby dlatego, żeby mu zrobić na złość.

- Sama nie wiesz... Czekaj, mój telefon jest ustawiony na wibracje. - Wyjął niewielki aparat, podniósł klapkę i powiedział: - Raintree... Dobrze, zapytam. - Spojrzał za Lornę. - Ile kosztują twoje nowe buty?

- Sto dwadzieścia osiem dziewięćdziesiąt - odrzekła machinalnie i ugryzła duży kawał rogalika.

Zatrzasnął komórkę i wsunął ją do kieszeni.

Zapanowała cisza. Poderwała głowę i spojrzała na niego. Jego oczy połyskiwały tak intensywną zielenią, że aż się świeciły.

- Nikt nie dzwonił - wyjaśnił.

- Dlaczego pytałeś...

Nagle uświadomiła sobie sens pytania i pobladła. Otworzyła usta, by spróbować mu wmówić, że widocznie

sam jej powiedział, jaka jest cena butów, ale zamknęła je bez słowa.

- Nie jestem stuknięta - szepnęła cienkim głosem.

- Powinnaś raczej użyć określenia „obdarzona talentem”. Masz wyjątkowy dar. Przed chwilą go zademonstrowałaś. Zresztą nie potrzebowałem żadnego dowodu, bo wiedziałem o tym od początku. Mam dużo więcej talentów niż ty.

- Jesteś kompletnie szalony, i tyle.

- Jestem empatykiem. Wyraźnie odbieram emocje innych ludzi, zwłaszcza wtedy, gdy ich dotykam, dlatego w czasie biznesowych spotkań zawsze witam się przez podanie ręki - poinformował ją, jakby nie słyszał ostatniego zjadliwego komentarza. - Jak wiesz z doświadczenia, mogę myślał zmusić ludzi do wykonywania moich poleceń, nawet wbrew ich woli. To nowa umiejętność, ale przydatna. Ujawniła się prawdopodobnie dlatego, że za parę dni będzie letnie przesilenie, a ja znalazłem się w morzu ognia. Potrafię jeszcze różne inne rzeczy, ale moim najważniejszym talentem jest to, że jestem władcą ognia, najlepszym wśród najlepszych.

- A to co znaczy? - Kpiną chciała pokryć swoje poruszenie tą informacją. - Jesteś polykaczem ognia w cyrku?

Wyciągnął dłoń, jakby trzymał coś delikatnego, i ze środka strzelił mały błękitny płomyk. Zdmuchnął go, jakby to było coś najbardziej normalnego na świecie.

- Nie mogę go długo trzymać. Zaczyna mnie parzyć.

- To zwykła sztuczka. Kaskaderzy i iluzjoniści często robią takie rzeczy.

Tym razem płomień pojawił się na jej rogaliku.

Patrzyła jak wmurowana na zwęglającą się grzanekę. Podniósł talerz, wrzucił resztki do zlewu i polał wodą.

- Nie chcę aktywować detektora dymu.

Za jego plecami zapaliła się świeca w świeczniku.

- Mam dużo świec w domu. Są dla mnie ekwiwalentem kanarka w kopalni.

Podejście, które w niej narastało od pewnego czasu, nagle zamieniło się w pewność.

- Podpaliłeś kasyno! - stwierdziła ze zgrozą.

Pokręcił głową przecząco, opadł na taboret i podniósł do ust filiżankę kawy.

- Mam zdecydowanie lepszą kontrolę nad swoim darem, niż podejrzewasz, nawet w okresie letniego przesilenia. To nie był mój ogień.

- Skoro tak twierdzisz. Ale jeśli jesteś takim poskramiaczem ognia super ekstraklasy, to dlaczego go nie ugasiłeś?

- Sam sobie zadaję to pytanie.

- A jaka jest odpowiedź?

- Nie wiem.

- Ho, ho, to wyjaśnia wszystko.

- Czy ktokolwiek ci powiedział, że jesteś strasznie pyskata? - Uśmiechnął się olśniewająco.

Mimo to skuliła się w sobie. Podświadoma reakcja na znajome słowa. Wiele razy je słyszała, i zawsze obrywała przedtem albo potem.

- Nigdy dotąd nie kontrolowałem umysłów, możliwe, że zużyłem na to zbyt wiele energii - stwierdził po chwili. Nie podniosła oczu, ale czuła na sobie jego palący wzrok. - Nie czułem zmęczenia, wydawało mi się, że jestem w swojej zwykłej formie, ale na razie zbyt mało wiem o konsekwencjach. Może byłem rozkojarzony. Może myślałem o innych sprawach. Do diabła, wiem, że nie mogłem się skoncentrować. Zbyt wiele się działo jednocześnie.

- Naprawdę wydaje ci się, że mogłeś ugasić pożar?

- Nic mi się nie wydaje. Jestem pewien. Oczywiście, w zwykłych warunkach. Komendant straży pożarnej uznałby, że system zraszający okazał się nadzwyczaj skuteczny. Tymczasem...

- Tymczasem zawlokłeś mnie w sam środek tego piekła na ziemi i o mało nie zabiłeś nas oboje!

- Jesteś poparzona? - spytał, popijając kawę.

- Nie - odburknęła niechętnie.

- Zatruliś się dymem?

- Nie, do diabła!

- Nie uważasz, że to dziwne, że nie spadł ci nawet włos z głowy?

Nie powiedział jej niczego, nad czym wcześniej by się nie zastanawiała. Nie rozumiała, co właściwie stało się podczas pożaru i co zdarzyło się jej później. Rozpaczliwie próbowała ignorować niepokojące zjawiska, aby móc wyjść z tego domu i o wszystkim jak najprędzej zapomnieć. Jednak Dante nie zamierzał jej na to pozwolić. Czuła jego determinację, jakby wznosił wokół siebie pole siłowe.

Nie! Nie chciała dopuścić do siebie podobnych myśli. Jakie pole siłowe? Jak człowiek może emitować fale? To się nie zdarza.

- Otoczyłem nas tarczą ochronną. Pod koniec, kiedy wykorzystywałem już całą twoją i moją siłę do walki z ogniem, tarcza zaczęła być widoczna. Zobaczyłaś ją. Ja też ją widziałem. Mieniła się tęczowo i drżała w powietrzu jak...

- Bańka mydlana - wyszeptala.

- Aha - powiedział po chwili namysłu. - Więc to obudziło twoją pamięć.

- Czy masz pojęcie, jak straszny ból mi zadałeś?

- Przez wyczerpywanie twojej siły? Nie, nie wiem. Ale mogę sobie wyobrazić.

- Nie możesz - odparła stanowczo. Nie dałoby się opisać tak potwornego bólu. Gdyby powiedziała, że czuła się tak, jakby ogromne kowadło spadło jej na głowę, to i tak byłoby to niewystarczające.

- Jeszcze raz cię przepraszam. Nie miałem wyboru. Bez tego zginęlibyśmy nie tylko my, ale wszyscy ludzie, którzy w tym czasie uciekali z hotelu.

- Przepraszasz, a jednocześnie mówisz, że zrobiłbyś to jeszcze raz, gdyby sytuacja tego wymagała. Trudno mi uwierzyć w twoją szczerłość.

- Wczoraj, w moim gabinecie - kontynuował - reagowałaś na zjawiska, których człowiek mniej uzdolniony w ogóle by nie zauważył. Jesteś niebywale wyczulona na wszelkie przepływy paranormalnej energii w otoczeniu.

- Myślałam, że jesteś złym człowiekiem - ze złością ugryzła rogalik - i do tej pory nic nie wpłynęło na zmianę mojego zdania.

- Bo zareagowałem na twój widok jak każdy mężczyzna? - zapytał spokojnie. - Wystarczyło jedno spojrzenie, a coś między nami zaiskrzyło. Dlatego wszystkie świece nagle się zapaliły. Zazwyczaj lepiej panuje nad emocjami. Tym razem nie mogłem się oprzeć. Fantazjowałem o seksie z tobą. Ale zdaje się, że bez wahania do mnie dołączyłaś.

Mój Boże, czy on wie nawet o tym? Zaczerwieniła się ze wstydu, ale miejsce zawstydzenia wkrótce zastąpił gniew.

- Usiłujesz mnie podrywać? - spytała z niedowierzaniem. - Masz czelność wyobrazić sobie, że pozwoliłabym ci się dotknąć nawet palcem po tym, co mi zrobiłeś? Nie mam ochoty przebywać w tym samym pokoju co ty. Kiedy już opuścę ten dom, mam nadzieję, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Wypchaj się swoimi obleśnymi myślami, Raintree!

- Mów mi Dante - sprostował, całkowicie ignorując jej mordercze spojrzenia. - Musiałem sprawdzić, czy nie masz znamienia. Wszyscy ludzie z klanu Ansara mają na plecach małe znamię w kształcie półksiężyca.

- I poszukiwałeś księżyca na moich plecach z takim zapalem, że postanowiłeś się przyjrzeć innym szczegółom mojej anatomii? - syknęła jadownicę.

- Zrobiłem to z największą przyjemnością. Masz fantastyczną figurę. Plecy to nieprecyzyjne określenie.

Znak może być wszędzie, od czubka głowy po pięty. Widziałem go już poniżej talii, a w rzadkich wypadkach może się pojawić na pośladku. Zważywszy na rozmiary pożaru i problemy, jakie miałem z jego kontrolowaniem, musiałem mieć absolutną pewność, że nie jesteś nasłana na mnie sabotażystką.

- W jaki niby sposób miałabym to robić! - krzyknęła, rozwścieczona jego wyjaśnieniami.

- Gdybyś była władczynią ognia, jak ja, mogłabyś podsycać płomienie, gdy ja je gasiłem. Nigdy nie trafiłem na ogień, którego nie byłem w stanie kontrolować - aż do wczoraj.

- Sam mówiłeś, że nigdy nie kontrolowałeś ludzkich umysłów i nie masz pojęcia, w jakim stopniu mogło to na ciebie wpłynąć! Dlaczego założyłeś z góry, że jestem Ansarką?

- Brałem pod uwagę różne ewentualności. Jednak musiałem wykluczyć nawet najmniejszą wątpliwość.

- Jeśli rzeczywiście tak dobrze czytasz w głowach ludzi, których dotknąłeś, powinieneś mieć pewność, że nie jestem Ansarką - oskarżyła go.

- Znakomicie - pochwalił ją, jakby był nauczycielem, a ona jego najlepszą uczennicą. - Ansarowie, podobnie jak wszyscy z klanu Raintree, od urodzenia są trenowani w kontrolowaniu swoich talentów i ukrywaniu prawdziwej tożsamości. Potężny Ansarczyk byłby w stanie skonstruować tarczę, której nie byłbym w stanie wykryć. Moje uzdolnienia w dziedzinie empatii są umiarkowane.

Miała wrażenie, że za chwilę pęknie ze złości.

- Gdybym miała jakąkolwiek tarczę, ty kretynie, nie byłbyś w stanie zgwałcić mojego umysłu!

- Naprawdę nie podoba mi się to określenie. - Stukał palcami w blat stołu i obserwował ją spod przymrużonych powiek.

- Twój problem. Za to mnie się nie podobał gwałt. - Cisnęła w niego tymi słowami, jakby były to noże.

- Masz rację - wycofał się. - A wracając do tarcz. W pewnym sensie każdy je ma, mówię tu o barierach psychicznych, którymi chronimy się przed światem. Ty na przykład nie ujawniasz swoich prawdziwych emocji. Ja jednak mówię o czymś innym. Chodzi mi o tarcze mentalne, które stawia się specjalnie, żeby ukryć przed innymi część swojej osobowości, część energii produkowanej przez mózg. A jeśli chodzi o powstrzymanie mnie... Moja droga, o ile wiem, jest na świecie tylko jeden człowiek, który mógłby powstrzymać mnie przed wtargnięciem do jego umysłu, i to z całą pewnością nie jesteś ty.

- Taki jesteś potężny i wszechmocny? - zakpiła.

- Zgadza się - kiwnął z powagą głową.

- Więc dlaczego nie jesteś władcą świata lub czymś w tym rodzaju?

- Jestem królem wszystkich Raintree - powiedział. - To mi w zupełności wystarcza.

Dziwne, ale ze wszystkich niestworzonych historii, które do tej pory opowiedział, ta wydała jej się najbardziej nieprawdopodobna. Schowała głowę w dłoniach, chciała tylko, by ten dzień się wreszcie skończył. Chciała

zapomnieć, że w ogóle poznała Dantego. To oczywiste, że ma do czynienia z szaleńcem. Nie, nie będzie się oszukiwać. Przeszła z nim przez ogień, w dosłownym znaczeniu. On potrafi robić rzeczy, o których wcześniej nie słyszała. Może rzeczywiście jest jakimś przywódcą, choć słowo „król” to przesada.

- Dobrze, chcę to wyjaśnić - powiedziała ze znużeniem w głosie. - Raintree i Ansara. To jakby dwa kraje zaludnione przez samych dziwaków?

Usta mu drgnęły, jakby pohamował śmiech.

- Przez ludzi obdarzonych nadprzyrodzonymi talentami. Należymy do dwóch zwalczających się rodów. Wrogość między nami ma wielowiekową historię.

- Czym właściwie się różnią te klany?

- Mamy zupełnie inne podejście do życia. Oni wykorzystują swoje talenty do oszukiwania, do krzywdzenia ludzi, dla osobistej korzyści. My z klanu Raintree traktujemy swoje szczególne uzdolnienia jako dary, które należy spożytkować do czynienia dobra.

- Więc wy jesteście tymi dobrymi.

- Z odstępstwami wynikającymi z różnorodności ludzkiej natury. Zdrowy rozsądek mówi mi, że niektórzy członkowie mojego klanu zachowują się podobnie do Ansarów. Ale każdy Raintree musi zrobić wszystko, co każe.

- To znaczy, że nie wszyscy Ansarowie są źli, ale jeśli chcą pozostać w swoim klanie i zachować więź z przyjaciółmi i rodzinami, muszą wykonywać polecenia swojego króla.

- Można to tak podsumować - kiwnął głową.
- Przyznajesz, że być może więcej jest między wami podobieństw niż różnic.

- W wielu sprawach tak. Jest jednak coś, co nas biegunowo różni.

- To znaczy?

- Od niepamiętnych czasów, gdy rodziło się dziecko ze związku między ludźmi obu klanów, Ansarowie je zabijali. Bez wyjątków.

Lorna potarła skronie. Ból głowy znowu dawał o sobie znać. Tak, to podłe. Mordowanie niewinnych dzieci tylko dlatego, że pochodzą z nieakceptowanego związku, bez wątpienia nie jest zwykłym oportunizmem, ale czystym Złem przez wielkie Z. W jej przekonaniach mieściło się i to, że niektórzy ludzie zasługują na śmierć, a tacy, którzy krzywdzą dzieci, zdecydowanie należą do tej kategorii.

- Nie sądzę, żeby często zdarzały się międzyklanowe małżeństwa.

- Nie ma ich już od wieków. Któż z Raintree podjąłby tak straszne ryzyko? Skończyłaś jeść?

Zbita z tropu tą prozaiczną uwagą Lorna popatrzyła na resztkę swego rogalika. Jednak chociaż wcześniej miała wrażenie, że zjadłaby konia z kopytami, temat rozmowy skutecznie pozbawił ją apetytu. Przytaknęła tylko i oddała mu talerz.

Wyrzucił resztki i włożył talerz do zmywarki.

- Musisz przejść szkolenie - stwierdził. - Twoje zdolności są zbyt potężne, żebyś chodziła bez ochrony. Ansarowie mogliby cię wykorzystać.

- Tak samo jak ty? - Nie starała się ukryć goryczy.

- Tak samo jak ja - potwierdził. - Ale do podsycania ognia, a nie gaszenia go.

Kiedy próbowała przeanalizować konsekwencje jego ostatnich słów, uświadomiła sobie, że nie miała już problemu z mówieniem na temat własnych paranormalnych talentów. W którymś momencie rozmowy z Dantem przeszła od postawy samozakłamania do akceptacji. Jednak głęboko zakorzeniona nieufność wybuchła na nowo, gdy uświadomiła sobie, do czego on zmierza.

- Nie ma mowy! - Potrząsnęła gwałtownie głową i odskoczyła parę kroków w tył. - Mowy nie ma, nie zostaniesz moim „guru”, nawet sobie tego nie wyobrażaj. A może mam wypisane na czole: „idiotka”?

- Napytasz sobie biedy, jeśli nie zaczniesz panować nad swoimi zdolnościami. Im szybciej, tym lepiej.

- Sama sobie poradzę, jak zwykle. Zdaje się, że masz dosyć własnych kłopotów?

- Moje straty nijak się mają do tego, co przeżywają rodziny ofiar. Nad ranem znaleziono w zgliszczech kolejne ciało. To już druga ofiara pożaru - oznajmił ponuro.

- Nie mówię o tym. Dzieje się coś podejrzanego. Nie zastanowiło cię, dlaczego dwóch nieumundurowanych policjantów zaczęło przesłuchiwać ludzi, zanim jeszcze straż pożarna zdołała ocenić, czy pożar wybuchł sam, czy na skutek podpalenia?

Zaskoczyła go. Ten drobny szczegół umknął jego uwadze, choć był tak pewny swojej dalekowzroczności i

wszechwiedzy. Jeśli czegoś Lorna nauczyła się na własnej skórze, to były to zasady, którymi kieruje się wymiar sprawiedliwości. Nie powinno tam być detektywów, przynajmniej do momentu, w którym stałoby się jasne, że jest coś, co mogą wykryć. Straż pożarna zapewne nie wyda oficjalnego komunikatu wcześniej niż dziś po południu.

- O cholera - zaklął i wyciągnął telefon. - Nigdzie nie chodź. Muszę zadzwonić.

Gdy tylko próbowała oddalić się z kuchni, odkryła, że jego polecenie było jak najbardziej dosłowne. Stała w progu jak wryta.

- Niech cię diabli wezmą, Raintree - burknęła.
- Dante - poprawił ją.
- Niech cię diabli wezmą, Dante!
- Znacznie lepiej. - Mrugnął do niej łobuzersko.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zaczął od rozmowy z Alem Rayburnem. Lorna ma rację: coś tu śmierdzi. Był wściekły, że sam na to nie wpadł. Zamiast odpowiadać na pytania detektywów, sam powinien zadać im pytania. Na przykład: Co właściwie tu robią? Zgliszczą po pożarze nie są miejscem przestępstwa, chyba że jest pewność albo przynajmniej uzasadnione podejrzenie, iż był on wynikiem podpalenia. Policjanci powinni zajmować się odpędzaniem gapiów, ułatwianiem dostępu strażakom i służbom medycznym, zapewnianiem bezpieczeństwa - mieli tam wiele różnych zadań - ale żadne z nich nie wymagało obecności detektywów.

Nie znalazł odpowiedzi na te pytania, ale wcale się tego nie spodziewał. Dopiero uruchomił pewne mechanizmy i minie trochę czasu, zanim zaczną spływać informacje.

Cokolwiek się działo i w jakikolwiek sposób są zamieszani w tę sprawę dwaj nieumundurowani policjanci, Dante zamierzał dotrzeć do samego serca tajemnicy, nawet gdyby musiał ściągnąć do Reno swoją siostrę Mercy, która była niezwykle potężną telepatką. Wiele lat temu, gdy miała lat dziesięć, a on szesnaście, pojawiła się nagle w jego głowie w najbardziej nieodpowiednim momencie - był właśnie na randce - i pisnęła nieoczekiwanie: „Bu! Ohyda!”, co go tak zdeprymowało, że stracił dziewczynę.

Przekonał się boleśnie, że obrażona szesnastolatka nie potrafi darować chłopakowi, który w jej poczuciu okazał brak zainteresowania dla jej wdzięków. Od tego dnia zaczął blokować Mercy dostęp do swojego umysłu, co doprowadzało ją do szału. Z zemsty wypaplała rodzicom, czym zajmuje się jej starszy brat w wolnym czasie, co skończyło się długimi perorami ojca, zaniepokojonego, czy najstarszy syn na pewno wie, skąd się biorą dzieci.

Kiedy przekonał się, że ojciec nie żartuje, mówiąc, że będzie się musiał ożenić z pierwszą dziewczyną, która zajdzie z nim w ciążę, stał się nieporównanie bardziej ostrożny i opanowany. Dranir klanu Raintree bardzo poważnie traktował kwestię potomstwa. Każdy członek klanu miał dominujące geny. Dzieci urodzone z mieszanego związku dziedziczyły uzdolnienia swoich przodków Raintree i stawały się pełnowartościowymi członkami klanu. To samo dotyczyło dzieci splodzonych przez członków klanu Ansara. To zresztą z tego powodu Ansarowie zabijali dzieci ze związków między dwoma klanami.

Kiedy mieszały się geny dwóch tak potężnych rodów, trudno było przecenić konsekwencje - a te mogły być niebezpieczne.

Dante miał nadzieję, że nie będzie musiał fatygować siostry. Miał w rodzinie innych telepatów, do których mógł się zwrócić. Nikt z nich jej nie dorównywał, ale Mercy czuła się dobrze jedynie w Sanktuarium, rodzinnej posiadłości, miejscu, z którego pochodził cały klan. Tam nie musiała bronić swojego umysłu przed bombardującymi go myślami

i emocjami ludzi, którzy nie mieli najmniejszego pojęcia, jaki koszmarny zgiełk emitują. To Mercy była strażniczką domowego ogniska. To ona wzięła na siebie odpowiedzialność za Sanktuarium, królowała w nim i je kochała. Nie będzie jej odrywał od obowiązków, póki istnieją inne opcje.

W czasie, gdy dzwonił, Lorna tkwiła w miejscu, unieruchomiona jego poleceniem. Złościła się z minuty na minutę coraz bardziej i głośno dawała temu wyraz. Tylko tego brakowało do obrazu wcielonej furii, by jej ciemnorude włosy nastroszyły się, tworząc ognistą aureolę. Mógł ją uwolnić, a przynajmniej osłabić zakaz, ale wykorzystalaby to, by go zaatakować. Poza tym musiał przyznać sam przed sobą, że jej furia i kwieciste obelgi szczerze go bawiły.

Jej towarzystwo sprawia mu przyjemność. Fascynuje go. Nikt do tej pory nie wywarł na nim takiego wrażenia - nie oczarował go i nie wzruszył. Kiedy usłyszał, jak Lorna żałośnie pojękuje przez sen, serce mu się ścisnęło. Głęboko go poruszył fakt, że najwyraźniej była świadoma, jakie dźwięki mógł usłyszeć, ale uparcie wszystkiemu zaprzeczała. Chrapanie, też mi coś.

Nie chciała być ofiarą. To mu się podobało. Nawet kiedy przydarzało jej się coś złego - do czego przyłożył rękę - nie pozwalała sobie na okazywanie słabości, z determinacją odrzucała wszelkie objawy współczucia z jego strony.

Nie starała się bronić, a za to atakowała zażarcie i ze straceńczą odwagą, ostrym językiem, a jak się dało, to i prawym sierpowym w podbródek czy fangą w nos.

Był wobec niej brutalny - na wiele sposobów. Nie tylko ją sterroryzował, zastosował przemoc psychiczną i fizyczną, upokorzył i zawstydził. Wydarzenia ostatniej nocy nie mogły w niej wzbudzić zaufania do niego, a w dodatku Lorna była z natury nieufna. Sam przed sobą nie mógł udawać, że nigdy nie chciał zrobić jej krzywdy. Gdyby znalazł na jej skórze niebieski półksiężyc, znamię świadczące o przynależności do klanu Ansara - no cóż, wtedy wszelki ślad by po niej zaginał.

Ulga, jaką odczuł, gdy poszukiwania przyniosły negatywny wynik, zupełnie go zaskoczyła. Zaprzagnął wziąć ją w ramiona i utulić, choć zapewne wydrapałaby mu oczy, gdyby tylko spróbował. O uszkodzeniach bardziej wrażliwych części ciała wołał nawet nie myśleć. Jednak w tamtej chwili chciała tylko, by znalazł się jak najdalej od niej.

Miała największe zasoby czystej nieskażonej energii, na jakie kiedykolwiek natknął się u osoby niczyjej. Był w niej ogromny potencjał. Łatwo mogła nadużyć swej siły, mogła też zostać wykorzystana przez innych.

Kiedy przyjrzał się bliżej jej talentom, doszedł do wniosku, że nie jest pełnoprawną jasnowidzką, ale ma silne przeczucia. Nie miewała wizji jak jego kuzynka Echo. Po prostu wiedziała pewne rzeczy - na przykład, jaka karta zostanie wyłożona przez krupiera, który jednoręki bandyta wypłaci wygraną, ile zapłacono za jej nowe pantofle. Nie

bardzo pojmował, dlatego wołała grać w kasynie, zamiast wypełnić kupon totolotka, chyba że instynktownie chciała wtopić się w tłum. Mogła w każdej chwili wygrać dowolną ilość pieniędzy, bo jej talent był ukierunkowany na liczby.

A poza tym uświadomił sobie dwie oczywistości.

Ona doprowadza go do szewskiej pasji.

A on z równą pasją jej pożąda.

Jedno powinno przeczyć drugiemu, ale tak nie było. Nawet kiedy się na nią złościł, rozśmieszała go i intrygowała. Nie tylko pragnął jej fizycznie, budziła w nim czułość i opiekuńczość. Chciał, by zaakceptowała swoją wyjątkowość, pragnął też jej akceptacji dla siebie i wszystkich niezwykłych cech swej natury. Chciał ją otoczyć opieką, uczyć ją panowania nad swymi talentami i pielęgnowania ich. Ona to wszystko odrzucała i znowu wracali do sytuacji, w której się na nią irtował.

Rozległ się dzwonek. Buty dla Lorny. Otworzył drzwi, by zobaczyć jednego z pracowników z pudełkiem w ręku.

- Przepraszam za spóźnienie - wyjaśnił młody człowiek, ocierając pot z czoła. - Na autostradzie była stłuczka i to spowodowało korek.

Zaniósł pudełko do kuchni i spróbował wręczyć je Lornie.

- Proszę, przymierz - powiedział. Zmierzyła go gniewnym wzrokiem i nie poruszyła się.

Cóż, nie mógł mieć do niej pretensji.

Wyjął z pudełka czarne czółenka z miękkiej skórki, usunął z nich wypychający czubki papier i przykleknął przed nią na kolano. Spodziewał się, że nie podniesie nogi,

ale pozwoliła, by przymierzył jej pantofelek. Powtórzył te czynności z drugą nogą i spojrzał do góry.

- Dobre są? Nigdzie cię nie cisną?

Buty przypominały te, które wyrzucił - czarne, na płaskiej podeszwie. Ale na tym kończyło się podobieństwo. Nowa para była zrobiona ze skóry świetnej jakości, z dobrze wyprofilowanym podbiciem. Poprzednia para miała podeszwy cienkie jak papier, a szwy zaczynały w niej puszczać. Lorna miała w kieszeni siedem tysięcy gotówką, a na nogach obuwie za piętnaście dolarów. Jeśli na coś przepuszczała pieniądze, to z pewnością nie na ubranie.

- Są wygodne - burknęła - ale nie wiem, czy ta wygoda warta jest tych stu dwudziestu ośmiu dolarów.

Zaśmiał się, wstając, i spojrzał z bliska na jej twarz, ponownie oczarowany jej zadziornością i uporem. Należała do kobiet, którym charakter dodaje urody. Jej piękno nie polegało tylko na ładnych rysach. I żeby nie było wątpliwości - Lorna była ładna. Nie można jej nazwać seksbombą, nie była prześliczna, ale miło było na nią patrzeć. Natomiast wszystko - zaczepny sposób bycia, cięty język i miotające gromy piękne oczy - sprawiało, że emanowała witalnością. Z całą pewnością nie można jej opisać jako cichej i spokojnej.

Powinien był zwolnić ją z przymusu pozostawania w jednym miejscu, ale wtedy opuściłaby go w mgnieniu oka - i to nie tylko jego dom, ale Reno i Nevadę. Wiedział to z pewnością, która go przerażała.

Dante świetnie funkcjonował wśród ludzi, ale w swoim świecie był władcą przyzwyczajonym do

bezwzględnego posłuszeństwa. Od siedemnastu lat, od momentu, gdy jako dwudziestolatek został dranirem, nie prowadził zwykłego życia. A już jako dziecko był księciem i następcą tronu.

Rzadko słyszał „nie”, a już zwłaszcza nie podobało mu się to słowo w ustach Lorny.

- Możesz poruszać się wszędzie w obrębie tego domu - powiedział i w myślach dodał jeszcze, że to ograniczenie zniknie w momencie zagrożenia. Gdyby wybuchł pożar, Lorna musi mieć szansę ucieczki.

Od ostatniej nocy nie mógł nie brać pod uwagę możliwych niebezpieczeństw.

- Dlaczego nie mogę sobie po prostu pójść? - Zielone oczy iskrzyły się gniewem, ale przynajmniej nie kopała, nie kuksała i nie gryzła.

- Bo uciekniesz.

- Nie jestem poszukiwana. Nie popełniłam żadnego przestępstwa.

- Czuję się za ciebie odpowiedzialny. Powinnaś się wiele dowiedzieć na temat twoich talentów. Mogę ci w tym pomóc. - To był powód dobry jak każdy inny, a przynajmniej brzmi to racjonalnie.

- Nie mam... - zaczęła zaprzeczać, ale zatrzymała się i wzięła głęboki oddech.

To bez sensu wypierać się, że ma paranormalne zdolności, skoro są one oczywiste. Wczoraj, kiedy po raz pierwszy poruszył ten temat w swoim biurze, zaprotestowała natychmiast i z całym przekonaniem. Teraz wreszcie w pełni zaakceptowała tę stronę swojej psychiki.

Jak to się stało, że do tej pory żyła w zakłamaniu? Dante podejrzewał, że umiałby odpowiedzieć na to pytanie, ale nie zamierzał tego robić, dopóki Lorna nie będzie gotowa na taką rozmowę.

- Sama za siebie odpowiadam - stwierdziła po chwili milczenia. - Nie chcę i nie potrzebuję twojej łaski.

- Łaski, z pewnością nie. Wiedzy, tak. Myślę, że się pomyliłem, kiedy przypisałem ci dar wizji dotyczących przeszłości. - Zauważył ulgę na jej twarzy, która zniknęła, gdy wyjaśniał dalej: - Twój talent jasnowidzenia polega na wyraźnych i dosłownych przecuciach. Słyszałaś o tym wcześniej?

- Nie.

- A o *el-sike*?

- To jakieś arabskie słowo.

Uśmiechnął się. *El-sike* wymawia się *el-sii-kej*, Lorna ma rację, to brzmi jak arabskie słowo.

- Ten talent polega na zdolności kontrolowania burzy. Ma go mój brat, Gideon. Może ściągać do siebie błyskawice.

- To brzmi jak rodzaj umysłowego upośledzenia - stwierdziła ze współczuciem. - Jaki kretyn chciałby być chodzącym piorunochronem?

- Gideon. Elektryczność go naładowuje. Ma też zdolności do elektrycznej psychokinezy, co w skrócie znaczy, że zakłóca pracę urządzeń elektronicznych. W jego obecności eksplodują lampy uliczne. Przepalają się komputery. Nie powinien wsiadać na pokład samolotu bez

przygotowanego przeze mnie specjalnego talizmanu, który blokuje jego talent.

Była zaciekawiona, choć udawała, że wcale ją to nie obchodzi.

- Dlaczego sam sobie nie zrobi takiego talizmanu?

- Jasnowidz też nie potrafi przewidzieć własnej przyszłości. Tylko członkowie królewskiej rodziny potrafią sporządzać talizmany i umieszczać w nich zaklęcia, jednak nigdy na własne potrzeby. Gideon jest policjantem w wydziale zabójstw, więc regularnie zaopatruję go w talizmany, które mają go chronić. Jeśli musi gdzieś lecieć, posyłam mu inny talizman, który blokuje zdolność do powodowania wyładowań elektrycznych w otoczeniu. Dzięki temu nie niszczy komputerów pokładowych w samolocie.

- Elektryczna psychokineza - powtórzyła wolno. - Brzmi to dziwnie.

- Tak mówią - odparł sucho. Słyszał jeszcze, że Gideon po akcie seksualnym cały się świeci - a może przed. Albo w trakcie. To nie był temat, który poruszali w braterskich rozmowach. Ale jeśli Lorna przejawia zainteresowanie bogactwem parapsychologicznych talentów, chętnie podzieli się z nią swoją wiedzą na temat najbardziej nietypowych umiejętności, by podsyć jej ciekawość.

- Wiesz co - zaczął tonem, jakby dopiero na to wpadł, a nie zastanawiał się nad swoją propozycją przez cały ranek. - Dlaczego nie miałabyś spróbować, powiedzmy przez tydzień, i nauczyć się podstaw samoobrony? Jesteś

tak niebywale wrażliwa na każdy przepływ energii w otoczeniu, że dziwię się, jak sobie radzisz w miejscach publicznych. Mogę też przygotować dla ciebie serię prostych testów, które pozwolą ci się zorientować, w jakich dziedzinach jesteś uzdolniona.

Pierwszą reakcją było błyskawiczne odrzucenie jego propozycji, ale zaraz górę wzięła ciekawość. A potem przyszedł czas na rozważenie; niełatwo jest zaufać drugiemu człowiekowi.

- Co bym musiała zrobić? - spytała ostrożnie.

- Nic nie musisz robić. Jeśli jesteś zdecydowanie przeciwna temu, aby dowiedzieć się czegoś więcej, nie będę cię przywiązywał do fotela i zmuszał do wkuwania. Ale skoro i tak musisz ze mną spędzić kilka dni, wykorzystaj ten czas na lepsze rozeznanie własnych umiejętności.

- Potrzebuję ubrań - mruknęła i były to jedyne słowa kapitulacji, jakie miał od niej usłyszeć.

- Podaj adres, a każe je tu dostarczyć.

- Tylko kilka dni. Daj mi słowo, że po ich upływie cofniesz ten idiotyczny nakaz i pozwolisz mi odejść.

Dante zastanowił się. Jako dranir nie rzucał słów na wiatr, zwłaszcza obietnic. W końcu powiedział:

- Za tydzień poważnie to rozważę. Jesteś bystra, wiele się w tym czasie nauczysz. Ale nie mogę niczego przyrzec.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Co się właściwie nie udało?

Cael Ansara powiedział to łagodnym głosem, ale Ruben McWilliams nie dał się nabrać. Kuzyn czy nie, w osobowości Caela zawsze było coś niepokojącego, co sprawiało, że Ruben w jego towarzystwie miał się na baczności. Kiedy Cael był słodki, jak dzisiaj, właśnie wtedy należało najbardziej uważać. Ruben nie lubił sukinsyna, ale w polityce zawiera się najdziwniejsze sojusze.

Intuicja podpowiedziała mu, by się nie kontaktować z Caelem poprzedniej nocy. Zamiast tego wypuścił na miasto swoich ludzi, aby przepytali tu i ówdzie, zdobyli dodatkowe informacje na temat pożaru. Ten ryzykowny ruch mu się opłacił - a w każdym razie dostarczył sporo materiału do przemyśleń. Nie wiedział jeszcze dokładnie, co odkryli, tylko tyle, że coś znaleźli.

- Jeszcze nie wiemy, a w każdym razie nie do końca. Z naszej strony wszystko znakomicie zagrało. Elyn połączyła się ze mną, Stoffelem i Pierem, czerpała z naszych zasobów mocy i podsycala ogień. Wyraźnie czuła, że Dante traci siły, i to szybko. Nagle... stało się coś dziwnego. Chyba sobie uświadomił, że nie pokona ognia, i się wycofał. Albo jest dużo potężniejszy, niż zakładaliśmy.

Cael milczał, a Ruben niepewnie poprawiał się na niewygodnym łóżku w motelu. Był pewien, że Cael polknie

przynętę: oto potężny Dante Raintree stchórzył i uciekł przed ogniem, ale Cael był jak zwykle nieprzewidywalny.

- Co mówi Elyn? - zapytał w końcu. - Gdyby Raintree zwiął, gdyby przestał gasić ogień, pożar rozszalałby się w całym budynku. Musiałaby to zauważyć, prawda? Poczulaby, jak żywioł nagle nabrał mocy.

- Nie jest pewna. - Przedyskutował z Elyn przebieg wczorajszego wieczoru krok po kroku, starając się wykryć moment, kiedy plan zawiódł. Powinna była odczuć niezwykle skok energii, jeśli rzeczywiście ogień przybrał na sile. Tymczasem nie tylko nic takiego nie zauważyła, ale też nie poczuła, jak żywioł się cofa, gdy do akcji przystąpili strażacy.

Musiał zaistnieć jakiś rodzaj zakłóceń, ale nie potrafili wyjaśnić ich natury.

- Nie wie? Jakim cudem? Przecież jest władczynią ognia, a to był jej pożar. Powinna wiedzieć o nim wszystko, od jego wybuchu po ostatni węgielek w zgliszcach.

Cael powiedział to ostro, ale oboje z Elyn używali dużo mocniejszych słów i bardziej agresywnego tonu, gdy odtwarzali przebieg minionej nocy. Elyn nie chciała zostać kozłem ofiarnym, ale nie potrafiła ukryć zdumienia i zakłopotania.

- Wie tylko tyle, że gdy próbowała skierować ogień do hotelu, nagle straciła z nim kontakt. Mogła tylko wyczuć jego obecność. Jestem pewien, że mówi prawdę - zapewnił. - Byłem z nią połączony. Wyczułem jej zaskoczenie. Uważa, że nagle natknęła się na jakiś rodzaj zapory, może na tarczę ochronną.

- To wykryty. Tarcze ochronne tej wielkości istnieją tylko w naszej ojczyźnie. Nigdy nie wykryliśmy niczego podobnego w żadnej ze znanych nam posiadłości klanu Raintree.

- Zgadzam się. Nie z tym, że Elyn na siłę szuka dla siebie usprawiedliwień, ale z tym, że to nie mogła być tarcza ochronna. Zapytała, więc odpowiedziałem tak jak ty. Że to niemożliwe, bobym ją zauważył.

- Byli tam inni członkowie klanu?

- Nie, sprawdziliśmy, gdzie obecnie przebywają.

Nikt należący do wrogiego rodu nie był na tyle blisko, by się telepatycznie połączyć ze swym dranirem i przelać na niego swoje siły, tak jak zrobili to wszyscy spiskowcy, łącząc się z Elyn. Był tego pewien, bo ścignęli do Reno posiłki i każdy tutejszy Raintree miał być obserwowany przez kogoś z klanu Ansara. Było ich ośmioro, nie licząc Dantego, i nikt z nich nie przebywał w pobliżu Piekła.

- Pomimo wszystkich zapewnień zawiedliście na całej linii i nawet nie wiecie, dlaczego.

- Jeszcze nie wiemy. - Ruben wyraźnie podkreślił słowo „jeszcze”. - Jest też inne wyjaśnienie. Dantemu przez cały czas towarzyszyła kobieta. Nikt z nas nie dostrzegł momentu, gdy opuścili budynek, bo wozy strażackie zasłaniały nam pole widzenia, ale kręciliśmy się po całym terenie, udając agentów ubezpieczeniowych i zadając mnóstwo pytań.

Nikt się nie dziwił ich obecności. Kręciło się tam wielu pracowników towarzystw ubezpieczeniowych, nie tylko w sprawie spalonego kasyna. Nikt nie zwracał uwagi na

dodatkowe osoby i dodatkowe pytania i nikt nie pytał o referencje.

- Jak się nazywa?

- Lorna Clay. Jeden z ratowników zapisał jej nazwisko i adres. Nie była zameldowana w hotelu. Sprawdziłem podany przez nią adres stałego zamieszkania w Missouri. Już nieaktualny.

- Co jeszcze?

- Była z Dantem od początku, najpierw u niego w biurze. Razem organizowali ewakuację gości hotelowych w klatce schodowej z zachodniej strony. Wyprowadzili wszystkich przez podziemny garaż, ale sami skierowali się do środka. Jest parę podejrzanych rzeczy. Po pierwsze, Lorna wcale nie była poparzona. Po drugie, Dantemu nawet włos nie spadł z głowy.

- Bańka ochronna. Judah też potrafi takie konstruować - powiedział Cael obojętnym tonem.

Judah był jego przyrodnim bratem, potomkiem z prawego łóża i dranirem Ansarów. Przez całe życie Caela zżerała piekąca zawiść, pretensja, że to młodszy brat odziedziczył po ojcu królewski tron.

Rubenowi zaimponowała umiejętność tworzenia bańki ochronnej. Każdy władca ognia potrafił się chronić przed dymem, ale ochrona przed gorącym to zupełnie inna sprawa. Władcy ognia, nawet królowie, muszą oddychać jak wszyscy ludzie. Umiejętność oddzielenia powietrza i temperatury, zatrzymywania gorąca za progiem, jest wyczynem, który znacznie przewyższa kontrolowanie ognia.

- Powiedz więcej o kobiecie - upomniał się ostro Cael, wyrrywając Rubena ze stanu cichego podziwu dla talentów przeciwnika.

- Widziałem kopie zeznań, które złożyła tam na miejscu. Pasują do zeznań Dantego, ale oboje nie mówią prawdy, zważywszy na czas, w jakim się to wszystko działo. Oceniam, że przez co najmniej pół godziny Dante walczył z ogniem. To cała wieczność w miejscu, gdzie każda sekunda decyduje o życiu i śmierci.

- Musiał stracić tyle energii na walkę z ogniem, że w żaden sposób nie mógłby jednocześnie generować wokół siebie bańki ochronnej. Jest typem bohatera - stwierdził jadownicie Cael. - Poświęciłby siebie, żeby uratować ludzi z hotelu. To powinno było się udać. Jego ludzie niczego by nie podejrzewali. Spodziewają się po nim, że będzie działał odważnie i honorowo. Kluczem do zagadki musi być kobieta. Musi być obdarzona silnymi talentami. Połączył się z nią, a ona oddała mu swoją moc.

- Nie nazywa się Raintree - zauważył Ruben.

- Widocznie jest niczyja, ale oni nigdy nie są aż tak potężni. Gdyby było tam kilkoro ludzi, wtedy może ich połączona energia wystarczyłaby, by powstrzymać pożar.

Sam w to wątpił. Po drugiej stronie sprzymierzyła się czwórka potężnych magów Ansara i zrobili wszystko, by rozpętać ogień. Dante niewątpliwie ma ogromną moc; dodanie do niej całej siły nieznaney kobiety miałoby taki skutek jak dodanie szklanki wody do wypełnionej wanny.

- Bądź konsekwentny. Skoro ludzie niczyi nie posiadają takiej mocy, to znaczy, że musi być członkiem klanu.

- Nie jest Raintree - upierał się Ruben.

- Albo nie jest zarejestrowana jako Raintree. - Cael nie użył słowa „nieślubna”. Stary dranir przyznał się do ojcostwa, ale i tak nie wyznaczył Caela na swojego następcę, choć należało mu się to z racji starszeństwa. Poczucie krzywdy zżerało mu duszę jak kwas wyżera dziury w metalu. Ludzie z otoczenia Caela nauczyli się już nie sugerować, że może Judah został dranirem ze względu na swoją wyjątkową moc, a nie pochodzenie z prawego łoża.

- Musiałaby być królewskiej krwi, żeby mu umożliwić tak długą walkę z ogniem podsycanym przez cztery osoby z naszej strony - rzekł niepewnie Ruben, bo sam w to nie wierzył. Narodziny w królewskiej rodzinie to zbyt ważne wydarzenie, by nikt tego faktu nie odnotował.

- Nawet jeśli trzeba by prześledzić jej genealogię setki lat wstecz, żeby dopatrzeć się w niej przodka z Raintree, to odziedziczone przez praprawnuczkę talenty nie uległyby pomniejszeniu.

Byli rasą genetycznie dominującą. Dzieci ze związków ze zwykłymi ludźmi były w stu procentach Ansarami lub Raintree. Królewskie rodziny obu klanów były obdarzone najsilniejszymi talentami, co zresztą dało im władzę w zamierzchłych czasach; ich przedstawiciele przekazywali potomkom całe genetyczne bogactwo, toteż w kolejnych pokoleniach można było spotkać jednostki obdarzone

ogromną mocą. Jednak Ruben upierał się przy swoim; narodziny kogoś należącego do królewskiej rodziny, nieważne czy ze stałego związku, czy przelotnej miłości, nie mogły zostać przeoczone, a już z pewnością nie przez całe wieki.

- Niezależnie od tego, kim jest ta kobieta, gdzie jest w tej chwili?

- U niego. Raintree zabrał ją wczoraj do swojego domu.

Cael zamilkł, a Ruben czekał, aż kuzyn wymyśli jakiś nowy makiaweliczny plan.

- Kobieta jest kluczem do zagadki. Jakikolwiek jest źródło jej siły, umożliwiła mu odparcie waszego natarcia. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Nie możecie posłużyć się ogniem, bo ten szczywany lis nabierze podejrzeń. Wymyślcie coś innego, byle się nie dało udowodnić naszej winy. Zabijcie go. Nie dbam oto, w jaki sposób. Kiedy cię znowu usłyszę, chcę, żebyś zameldował mi o śmierci Dantego. A przy okazji zabijcie też kobietę.

Cael rzucił słuchawką, kończąc rozmowę. Ruben odłożył swoją powoli i potarł nasadę nosa. Z taktycznego punktu widzenia zamordowanie członków królewskiej rodziny Raintree przed przystąpieniem do ataku byłoby mądrym posunięciem. Jeśli odetnie się węzowi łeb, reszta ciała nie stanowi problemu. Porównanie nie było do końca trafne; nie należy lekceważyć nikogo z nieprzyjacielskiego klanu, bo każdy z nich ma niebezpieczne zdolności, ale to samo można powiedzieć o każdym z Ansarów. Pozbawieni królewskich przywódców wrogowie będą znacznie słabsi,

przewaga będzie po stronie Ansarów, i tym razem to oni wygra.

Dwieście lat temu popełnili błąd, nie mordując wcześniej członków królewskiej rodziny, i ten błąd miał katastrofalne skutki. Ansarowie zostali niemal całkowicie zniszczeni. Niedobitki znalazły schronienie w miejscu, z którego się wywodzili, na jednej z karaibskich wysepek. Przez dwieście lat potajemnie odbudowywali swą potęgę i teraz znowu byli w stanie zmierzyć się z odwiecznym wrogiem. Przyszła pora krwawego odwetu. Tak uważał Cael, a Ruben podzielał jego zdanie. Tylko Judah ich powstrzymywał i nakazywał ostrożność. Na miłość boską, Judah jest bankierem. Cóż on może wiedzieć o podejmowaniu ryzyka?

Bunt w szeregach klanu narastał od lat, a teraz osiągnął punkt krytyczny. Wszyscy z wrogiego plemienia Raintree muszą umrzeć. To dotyczy również Judaha. Cael nie pozwoli mu żyć, nawet na wygnaniu.

Ruben dysponował znaczną mocą. Z tego powodu, jak i dlatego, że był spokrewniony z Caelem, otrzymał zadanie wyeliminowania najbardziej potężnego przedstawiciela klanu Raintree - zadanie dodatkowo utrudnione, gdyż Cael życzył sobie, aby śmierć wyglądała na przypadkową. Nie chciał, by pozostali członkowie klanu, przedwcześnie zaalarmowani, popędzili na odsiecz swojej rodowej siedzibie. Sanktuarium było miejscem niemal mistycznym, źródłem nadprzyrodzonej mocy. Ruben nie wiedział, ile z tych opowieści opiera się na faktach, a ile na pogłoskach i

wytworach wyobraźni; szczerze mówiąc, nie miało to dla niego znaczenia.

Ich plan był prosty: należy wymordować członków rodziny królewskiej, zniszczyć tarcze ochronne wokół Sanktuarium i przejąć rodową siedzibę wrogów. Klan Raintree, w obliczu tak straszliwej porażki, poszedłby w rozsypkę. Zniszczenie ich, jednego po drugim, byłoby dziecinną igraszką.

Dwieście lat temu wrogowie popełnili błąd, który miał się na nich zemścić - nie wypalili do gołej ziemi siedliska rodu Ansara i nie wyrznęli ich w pień. Teraz Ansarowie nie zamierzali okazać im litości.

Ruben zastanawiał się przez dłuższy czas. Dante i ta kobieta, Lorna Clay, najwyraźniej są kochankami. W przeciwnym razie nie zabierałby jej do siebie. Z tej dwójki kobieta jest łatwiejszym celem i z pewnością jej śmierć nie zaalarmuje reszty klanu. Cael ma rację - należy ją zabić.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Poniedziałek po południu

- A jeśli coś ci się stanie? - zapytała Lorna, obserwując spode łba, jak Dante z kluczykami w dłoni otwiera drzwi do garażu. - Co będzie, jeśli dostaniesz zawału i zjedziesz z autostrady w przepaść? A jeśli wielka ciężarówka przewożąca mrożone kurczaki będzie miała awarię hamulców i zmiążdży twój śmieszny samochodzik? Czy będę tu tkwiła do śmierci? Czy twoje małe zakłęcie będzie mnie tu więziło, nawet gdy będziesz nieprzytomny lub martwy?

Dante zatrzymał się w drzwiach i spojrzał na nią na poły z rozbawieniem, na poły niedowierzaniem.

- Ciężarówka przewożąca mrożone kurczaki? Nie możesz wymyślić dla mnie bardziej dystyngowanej śmierci?

- Śmierć to śmierć. Będzie ci wszystko jedno. - Nagle coś jej przyszło do głowy i zbiło ją z tropu. - Możesz umrzeć, prawda? - A jeśli ta sytuacja jest jeszcze dziwniejsza, niż jej się wydaje? Jeśli w dziesięciostopniowej skali szaleństwa on osiągnął trzynastkę?

- Teraz będę się zastanawiał, czy zamierzasz się mnie pozbyć - zażartował.

- Świetny pomysł - wypaliła. - A więc?

Oparł się niedbale o framugę. Wyglądał tak niebywale pociągająco, że miała ochotę odwrócić wzrok. Z największym trudem ignorowała jego seksapil. Przez większość czasu jej się to udawało, ale czasami, jak teraz, jego oczy aż się iskrzyły i prowokowały ją do wyobrażania go sobie w erotycznych sytuacjach. Dwukrotnie znalazła się w jego ramionach; wiedziała, że go podnieca. Obustronna fizyczna fascynacja prowokowała ją do zrobienia kolejnego kroku, ale przecież należy się kierować rozumem, a nie chwilową fantazją. Seks z Dantem należałby do kategorii: niebezpieczny i głupi.

- Jestem śmiertelnikiem jak ty - prawie tak jak ty. I dzięki Bogu. Śmiertelność nie jest przyjemna, ale nieśmiertelność byłaby jeszcze gorsza.

- Co masz na myśli, gdy mówisz: prawie? - spytała zaniepokojona.

- To temat na osobną rozmowę, a na razie nie mamy na nią czasu. A wracając do twojego pytania, odpowiedź brzmi: Nie wiem. Może tak, może nie.

- Co? Co takiego? - wrzasnęła, nie posiadając się ze złości. - Nawet nie wiesz, czy nie będę tu na wieki uwięziona, jeśli tobie się coś stanie, ale to cię nie powstrzyma przed wyjściem i zostawieniem mnie samej?

Zastanowił się przez chwilę.

- Nie powstrzyma - potwierdził i wyszedł.

Lorna rzuciła się w ślad za nim, przytrzymała drzwi.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! Proszę! - Nienawidziła siebie za błagalne jęki, a jego za to, że ją do nich

doprowadził, ale wizja dożywotniego uwięzienia śmiertelnie ją przerażała.

Wskoczył do jaguara, zawołał jeszcze, że wszystko będzie w porządku, a reszta słów utonęła w skrzypieniu podnoszonych drzwi garażu.

Z wściekłością trzasnęła drzwiami, zasunęła zasuwkę i założyła od środka łańcuch, w nadziei, że uprzykrzy mu trochę życie, utrudniając mu dostęp do jego własnego domu.

Niech się smaży w najgorętszym miejscu piekła! Odjechał i zostawił ją na łańcuchu.

Bezsilnie rozejrzała się po kuchni. Najwyraźniej nadmiar władzy przewrócił mu w głowie. Robi to, co mu się podoba, i nie troszczy się o uczucia innych. To oczywiste, że nigdy nie był żonaty i pewnie nigdy nie będzie, bo żadna kobieta, która miałaby szczyptę rozumu w głowie...

Szczyptę. Soli.

Na blacie kuchennym zauważyła pojemniczki na sól i pieprz. Zaczęła otwierać drzwiczki wszystkich szafek po kolei, aż natknęła się na spiżarnię i satysfakcjonujący zapas soli.

Rano zauważyła, że Dante słodził kawę. Ostrożnie opróżniła solniczkę, przesyłała do niej cukier z cukiernicy, a puste naczynie wypełniła solą z torebki. Oj, nie będzie mu smakował pierwszy łyk porannej kawy, pomyślała z triumfem, a wszystko, co miał zwyczaj solić, będzie miało dziwny smak.

Jako osoba z natury kreatywna będzie tu miała pole do popisu.

Po godzinie zadzwonił telefon. Spojrzała na numer, ale nie odebrała. Nie jest jego sekretarką. Ktokolwiek dzwonił, nie zostawił żadnej wiadomości.

Postanowiła rozejrzeć się po domu - a właściwie przeszukać go. Jak na jedną osobę, dom był ogromny. Nie potrafiła ocenić jego powierzchni, ale naliczyła sześć sypialni i siedem łazienek, a właściwie osiem, gdyby doliczyć do nich osobną toaletę. Najwyższe piętro zajmowała sypialnia Dantego o powierzchni znacznie większej niż mieszkanie przeciętnej czteroosobowej rodziny. To był zdecydowanie pokój mężczyzny, dominowały w nim kolory stalowoniebieskie i seledynowe, ale tu i ówdzie, na obrazach, ozdobnych wazach czy poduszkach, pojawiała się głęboka ciepła czerwień.

W pokoju była wydzielona część z fotelami i kanapami oraz ogromnym płaskim telewizorem, który wyłaniał się z szafki po naciśnięciu pilota, a potem wsuwał się z powrotem. Przekonała się o tym, gdy znalazła pilota i zaczęła przyciskać wszystkie guziczki po kolei, by sprawdzić, co się stanie. W innym schowku znajdował się barek z małą lodówką i ekspresem do kawy. Tutaj też zamieniła cukier na sól i dodała do kawy ziemi spod roślin doniczkowych.

Wreszcie rozsiadła się na środku wielkiego małżeńskiego łóża i zaczęła się zastanawiać.

Dom był wielki i komfortowy, ale jego wyposażenie nie było ostentacyjne. Najwyraźniej właściciel lubił wygodę, ale dom przeznaczony był do mieszkania, a nie popisywania się bogactwem.

Zdawała sobie sprawę, że Dante jest bogaty, może nawet bardzo - pewnie stać by go było na większą posiadłość z całą armią służby. Tymczasem mieszka sam, po domu nie kręci się nawet gosposia na przychodne. Pewnie wyżej sobie ceni prywatność niż wygody płynące z bycia obsługiwanym. Dlaczego złamał tę zasadę i skazał się na jej towarzystwo?

Powiedział, że czuje się za nią odpowiedzialny. Jego przeklęty dar pozwala mu umieścić ją w dowolnym mieszkaniu czy pokoju hotelowym i nakazać, by się nie oddalała. Może go ciekawi, jak wielkie są zasoby jej „czystej siły” i chce poeksperymentować, jak można ją wykorzystać, choćby dla zaspokojenia własnej ciekawości. To też nie wymagało goszczenia jej we własnym domu. Do udzielenia paru lekcji czy przeprowadzenia paru eksperymentów nadaje się dowolne pomieszczenie.

A może Dante chce zaciągnąć ją do łóżka? Mógłby jej to nakazać, ale nie jest gwałcicielem i nie chce seksu w efekcie podstępny lub przymusu. Możliwe, że jest szalony, z pewnością jest despota, ale pewnie nie jest gwałcicielem. Chciał, by przyszła do niego z własnej woli, kierowana własnym pragnieniem. Czy zamierzał ją uwieść? Chyba jednak nie, skoro zostawił ją samą, wściekłą i obrażoną.

Uwiedzenie nie pasuje do sytuacji. Gdyby szukał romansu, nie zaczynałby od uwięzienia swej wybranki. To nie jest droga do serca kobiety. W dodatku nie miała w sobie nic z *femme fatale*; nie potrafiła sobie wyobrazić, by mężczyzna zadał sobie tyle trudu, by ją zdobyć.

Musi mieć inny powód, ale nie była w stanie go wymyślić. A dopóki go nie odkryła... cóż, w obecnym stanie i tak musi przystać na jego warunki. Skoro nie potrafi go obezwładnić i uciec, będzie tu tkwiła, aż on ją zwolni.

Wczorajsza noc, od chwili, gdy ochroniarz „zaprosił ją” na przechadzkę i od stolika do gry w blackjacka doprowadził do gabinetu Dantego, była prawdziwym koszmarem. Wypadki następowały jeden po drugim, każdy gorszy od poprzedniego - czuła się tak, jakby jakieś diabelskie tornado wciągało ją w sam środek szaleństwa.

Wczoraj o tej porze była jeszcze anonimowa. Oczywiście, ludzie podchodzili do niej i zagadywali, jak zwykle do osoby, której się poszczęściło. Nie miała nic przeciwko temu. Samotność też lubiła. Może lepiej się czuła w samotności niż wśród ludzi - wtedy była bezpieczna.

Raintree nie miał pojęcia, o co prosi, gdy zaproponował rozwijanie paranormalnych talentów. A mówiąc ściślej, wcale nie prosił - nie zostawił jej wyboru.

Podstępem zmusił ją do przyznania się, że numery pojawiają się w jej umyśle wcześniej niż na jawie. Nie miał pojęcia, ile ją kosztowało ujawnienie się, wyjście z ukrycia, w którym chowała się przed światem. Dużo lepiej się czuła, gdy wiedziała, że tajemnica zamknięta jest na cztery spusty.

Wzrastał w jakimś zakonspirowanym sekciarskim świecie, gdzie zjawiska parapsychologiczne i niezwykle talenty stanowią normę, gdzie dzieci są zachęcane do ich rozwijania, trenowane i chwalone. W dodatku on jest

księciem. Może księciem wariatów, ale jednak księciem. Nie miał pojęcia, jak to jest, gdy się dorasta w slumsach jako chude, odrzucone przez wszystkich dziwadło.

Lorna nie знаła ojca, był tylko długi szereg zmieniających się „chłopaków” matki. Odkąd pamiętała, była policzkowana i bita za każde słowo, które matka uznała za nienormalne. Czasem wystarczał jeden szturchaniec, by spadła z krzesła. Mały księżę na pewno tego nie zaznał.

Jako dziecko zupełnie nie rozumiała, że robi coś nienormalnego. Co złego było w informacji, że autobus, którym matka dojeżdżała na drugi koniec miasta do pracy w barze, spóźni się o sześć minut i dwadzieścia trzy sekundy? Myślała, że matka będzie zadowolona. Zamiast tego uderzenie w twarz zrzuciło ją z krzesła na podłogę.

Uwielbiała liczby. Jeśli gdzieś występowała liczba, zawsze ją знаła. Kiedy poszła do pierwszej klasy, z ogromną ulgą odkryła, że wreszcie ktoś wprowadzi ją w świat cyfr. Było tak, jakby nagle jakaś część jej osobowości zaskoczyła na swoje miejsce i zaczęła funkcjonować zgodnie z przeznaczeniem. Mogła już nazwać to, co do tej pory kłębiło się w jej głowie, a puste pojęcia zyskały znaczenie. Od urodzenia była zafascynowana liczbami, czy były to numery domów, taksówek, czy informacje z bilbordów, ale na początku stanowiły niezrozumiały język, którego nie potrafiła odczytać. Dziwaczne, taka łatwość w dostrzeganiu ich i pamiętaniu, przy jednoczesnym niezrozumieniu ich znaczenia. Myślała, że jest po prostu

głupia, dopóki nie poszła do szkoły i nie odkryła klucza do świata liczb.

Kiedy miała dziesięć lat, jej matka prawie nie trzeźwiała i szprycowała się narkotykami. Razy i szturchańce zamieniły się w regularne bicie bez opamiętania. Gdy matka wracała w nocy do domu i przypominała sobie o jakimś wykroczeniu popełnionym przez Lornę dzień wcześniej - albo tydzień wcześniej, to było bez znaczenia - łapała za cokolwiek i ciskała tym w dziewczynkę, gdziekolwiek była. Wiele razy ze snu wyrывało ją uderzenie - w twarz, w głowę. Nauczyła się spać czujnie, w cichym przerażeniu.

Z dzieciństwa pamiętała tylko zimno, ciemność i strach. Bała się, że matka ją zatłucze, ale jeszcze bardziej się bała, że pewnego dnia nie wróci do domu. Wiedziała, że matka nie chciała jej, gdy jeszcze była w ciąży, a jeszcze bardziej nie chciała jej po urodzeniu. To był stale powtarzany refren.

Nauczyła się ukrywać swoją fascynację światem liczb. Zwierzyła się z tego jednej jedynej osobie. Była wtedy w liceum i zakochała się w koledze z klasy. Był miły, nieśmiały i podobnie jak ona należał do klasowych outsiderów. Jego rodzice byli bardzo religijni i nie puszczali go nawet na szkolne potańcówki. Lornie to nie przeszkadzało, ona też nie umiała tańczyć i nie była nigdzie zapraszana.

Wiele rozmawiali, trzymali się za ręce i nawet się nieśmiało całowali. Lorna zebrała się na odwagę i

podzieliła się z nim swoim największym sekretem: czasem wiedziała o rzeczach, które dopiero miały się zdarzyć.

Do dziś pamięta wyraz przerażenia i obrzydzenia na jego twarzy.

- Ty diabelski pomociu! - Splunął w jej kierunku i już więcej się do niej nie odezwał. Nie zdradził jej sekretu, ale może dlatego, że nie miał w szkole żadnych kolegów, którym mógłby go wypaplać.

Miała szesnaście lat, gdy matka zabrała manatki i wyjechała w siną dal. Lorna wróciła ze szkoły do domu - o ile domem można było nazwać te tanie wynajmowane pokoje, potajemnie porzucane, gdy zalegały z czynszem - tylko po to, by znaleźć zmienione zamki w drzwiach i tobolek ze swoimi skromnymi ciuzzkami porzucony przy śmietniku.

Nie miała co ze sobą począć, więc zgłosiła się do opieki społecznej i przez dwa lata żyła w różnych rodzinach zastępczych.

Bywało różnie, ale wszystko było lepsze od jej dotychczasowego życia. Mogła spokojnie skończyć szkołę. Nikt z rodziców zastępczych jej nie bił ani nie molestował. Nikt z nich jej nie polubił, ale matka wbiła jej w głowę, że nie jest warta miłości.

Jakoś sobie radziła. Kiedy skończyła osiemnaście lat, instytucje publiczne przestały się nią interesować.

Zaczęła uprawiać hazard na niewielką skalę, pierwszy raz w małym kasynie w rezerwacie Seminolów na Florydzie. Wygrała niewiele, bo paręset dolarów, ale dla niej to była duża kwota. Później zaczęła odwiedzać

plywające kasyna na Missisipi i znowu wygrała. Pojechała do Atlantic City, ale jej się tam nie podobało. Las Vegas było w porządku, ale wszystkiego było za dużo: neonów, ludzi, za gorąco, zbyt krzykliwie. Wolała Reno. Mniejsze, lepszy klimat. Osiem lat po pierwszej wygranej na Florydzie regularnie wygrywała pięć do dziesięciu tysięcy tygodniowo.

Nie wiedziała, co robić z pieniędzmi. Nie umiała wydawać więcej, niż robiła to przez całe życie. Tyle że nie marzła i nie bywała głodna. Zawsze miała samochód, by móc się spakować i wyjechać, ale zawsze było to używane auto. Miała konta w różnych bankach, ale zazwyczaj nosiła przy sobie sporo gotówki - to niebezpieczny zwyczaj, jednak dawał jej dużą swobodę, gdy chciała coś kupić lub wynająć.

Takie było jej życie. Dante wyobrażał sobie, że wystarczy udzielić jej paru lekcji posługiwania się paranormalnymi talentami, aby - no właśnie, czego właściwie się spodziewał? Nic o niej nie wie, więc nie może oczekiwać cudownej przemiany. Czyżby sądził, że parę pogadank wystarczy, by wstała rano jako słodka optymistka? Znajdzie podobnych do siebie dziwaków, zamieszkają na zamkniętym osiedlu i stworzą rozkoszną sąsiedzka komunę, a jeśli komuś zabraknie podpałki do grilla, wystarczy, że ktoś z sąsiadów zionie ogniem na brykiety, by je zapalić.

Akurat. Wolałaby zjeść tłuczone szkło. Lubiała mieszkać sama, być sama i polegać tylko na sobie.

Telefon zadzwonił i przerwał jej rozmyślenia. Sprawdziła numer osoby dzwoniącej, ale nic jej nie mówił. I tak nie zna nikogo ze znajomych Dantego. Nie odebrała.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, jak długo siedziała na łóżku pograżona w myślach. Cienie rzucane przez opadające coraz niżej słońce stały się dłuższe, a ona sama poczuła senność. Całe szczęście, że zadzwonił telefon, bo zasnęłaby na jego łóżku, a to stworzyłoby interesującą, acz kłopotliwą sytuację po jego powrocie do domu. Nie miała ochoty bawić się w Złotowłosą w domku trzech niedźwiedzi.

Była także głodna. Nie jadła nic od śniadania. Mogłaby zjeść teraz kolację i położyć się wcześniej. Nie widziała powodu, by czekać na Dantego, skoro nie uważał za stosowne poinformować jej, kiedy raczy wrócić.

Mógłby przynajmniej zadzwonić - nie to, że odebrałaby telefon - ale usłyszałaby wiadomość nagraną przez niego na automatyczną sekretarkę.

Przeszukała lodówkę i zrobiła sobie kanapkę z plasterkami zimnej pieczeni, potem obejrzała jego bibliotekę. Miał na półkach dużo książek o parapsychologii, ale wolała wybrać zwykły kryminał. Umościła się wygodnie, by trochę poczytać dla odprężenia. Koło ósmej zaczęła przysypiać nad książką, co było najlepszym znakiem, że kryminał nie trzyma czytelnika w napięciu. Słońce jeszcze nie zaszło, ale było jej wszystko jedno. Poprzednia noc ją wykończyła.

Po kwadransie i po wyjściu spod gorącego prysznica była już w łóżku, zwinięta w kłębuszek i przykryta z głową.

Obudziło ją światło nocnej lampki. Jak zwykle pierwszą reakcją była panika, jakby do jej podświadomości nie dotarło jeszcze, że minęło wiele lat, a jej matki nie ma gdzieś w pobliżu. Zanim opanowała się na tyle, by ściągnąć kołdrę z głowy, nakrycie uniosło się i wśliznął się pod nie ciepły i pólnagi Dante.

- Co u diabła robisz? - warknęła, rzucając mu mordercze spojrzenie. Rozłożył się obok niej wygodnie, wyciągnął długie muskularne ramię i zgasił światło.

- W moim łóżku jest piasek, więc będę spać tutaj.



ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Nie bądź głupi. Skąd by się wziął piasek? To sól.

Może spodziewał się zaprzeczeń, ale to byłoby głupie, zważywszy na to, iż poza nią nikogo nie było w domu. Może oczekiwał, że będzie oburzona jego nagłym wtargnięciem do jej łóżka, ale z jakiegoś powodu nie czuła się przestraszona. Była zirytowana, bo ją obudził, ale nie przestraszona.

- Niech będzie sól. - Był dużo większy i silniejszy, więc bez wysiłku zmusił ją do przesunięcia się. - Potrzebuję więcej miejsca.

Wypędził ją z jej wygrzanego kącika i dopiero to naprawdę ją zirykowało.

- Czemu nie położysz się z drugiej strony, tylko się rozpychasz? - narzekała, moszcząc się w małżeńskim łożu, w jakie wyposażone były wszystkie sypialnie w tym domu.

- Nasypałaś mi soli do łóżka.

Zimne prześcieradła spowodowały, że zwinęła się w jeszcze mniejszy kłębuszek niż zazwyczaj. Nawet poduszka była zimna. Lorna wyciągnęła ją spod głowy i cisnęła w Dantego.

- Oddaj mi moja.

Coś wymamrotał niezycliwie, ale oddał jej rozgrzaną poduszkę. Wcisnęła się w ciepły materiał, który już nabral jego zapachu. Odkryła, że to przyjemne. Znała go krótko,

ale wiele razem przeżyli. Jakaś prymitywna część jej mózgu rozpoznała jego zapach i poczuła się bezpiecznie.

- Która godzina? - zapytała sennym głosem.

- Nie musisz pytać. To numer. Skup się, a będziesz wiedziała. - Słysząc było, że jest śpiący.

Nigdy dotąd nie myślała o tym, że czas można wyrazić cyframi. Gdy tylko to pojęła, w jej wyobraźni pojawiła się liczba.

- Jeden-zero-cztery.

- Co do sekundy.

Zasnęła zadowolona z siebie.

Obudziła się przed Dantem. Przez chwilę leżała nieruchomo i głęboko oddychała. Musiała pozbyć się towarzyszącego jej od dzieciństwa lęku przed uderzeniem. W łóżku było przytulnie, Dante ją ogrzewał, chociaż się nie dotykali. Emanował ciepłem.

Leżał na boku, miał ramię podłożone pod głowę, oddychał równo i głęboko. W półmroku nie widziała szczegółów, ale może to i lepiej. I tak uważała go za uosobienie męskości.

Co może myśleć kobieta, jeśli zdrowy mężczyzna śpi z nią pierwszy raz i nawet nie próbuje jej dotknąć? Coś z nią nie tak? Nie jest dla niego atrakcyjna?

Jednak Lorna pomyślała, że Dante jest niebezpiecznie inteligentny i ma nadzwyczaj rozwiniętą intuicję.

Ich znajomość była podszyta erotyzmem, jeśli trzydzieści sześć godzin spędzonych razem można nazwać znajomością. Niektóre z tych trzydziestu sześciu godzin dłużyły się w nieskończoność, szczególnie kilka

pierwszych. Nie mogła powiedzieć, że świetnie się czuli w swoim towarzystwie. Z drugiej strony, skoro widziała go w momentach trudnych i niekorzystnych, poznała go dużo lepiej niż osoby znające go dłużej, ale jedynie towarzysko. Nie zdziwiło jej, że nie spróbował wykorzystać okazji.

Nie była gotowa pójść z nim do łóżka, być może nigdy do tego nie dojdzie, a on to rozumiał. Gdyby przypuścił gwałtowny szturm na jej barykady, wzmogłaby czujność i zdecydowanie go odrzuciła. Dante po prostu położył się obok i nie zrobił żadnego gestu, który mogłaby potraktować jako zbyt poufały. W ten sposób stworzył atmosferę intymności, zacierał wspomnienie pierwszych koszmarnych godzin i sprawił, że między nimi wszystko jeszcze było możliwe.

Perwersyjnie, z powodu jego autentycznej lub udawanej obojętności na jej wdzięki, zaczęła się zastanawiać, jak by to było między nimi. Nie była osobą, która seks traktowała lekko. Nie miała zaufania do ludzi, nie działała, kierując się przelotnymi zachciankami. Dobrowolna rezygnacja z ochrony własnej intymności przychodziła jej z trudem, a efekty zazwyczaj przynosiły rozczarowanie. Lubiła uczucie fizycznego podniecenia i kiedy myślała o tym czysto abstrakcyjnie, pragnęła bliskości, pieścizot i rozkoszy. Rzeczywistość jednak bardzo się różniła od oczekiwań. Nie była w stanie całkowicie się zrelaksować, a to wydawało się konieczne dla udanego seksu.

To dziwne, ale w towarzystwie Dantego czuła się dużo bardziej swobodnie niż z innymi ludźmi. Mogła być sobą.

Dante świetnie wiedział, że Lorna jest odmieńcem, i nie miał z tym najmniejszych problemów, bo sam był jeszcze większym dziwadłem. Nie musiała odgrywać przed nim żadnej roli, bo było jej obojętne, czy Dante ją lubi, czy nie. Nie musiała pohamowywać swojej wybuchowej natury ani powstrzymywać ostrego języka. Nie miała też żadnych złudzeń co do jego charakteru. Wiedziała, że jest bezwzględny, ale wykazywał też szlachetność charakteru. Był z natury autokratą, ale starał się troszczyć o uczucia innych.

Może nie powinna mieć oporów? Noc w jego ramionach może być tego warta. Nie musiała dbać o jego męskie ego, więc gdyby nie okazał się finezyjnym kochankiem, mogłaby powiedzieć wprost, czego oczekuje. Jeśli mu się to nie spodoba, tym gorzej dla niego. Z pewnością jego przyjemność nie była jej celem, już on się o siebie zatroszczy.

Zastanawiała się, czy lubi grę wstępną, czy od razu przystępuje do akcji.

Próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda nago. Może naprawdę byłoby im ze sobą świetnie. Zerwał się tak nagle, że ją zaskoczył.

- Dokąd idziesz? - zawołała, gdy zamiast do łazienki skierował się na zewnątrz.

- Już jest wschód słońca - odpowiedział.

I co z tego? Słońce wschodzi codziennie. Czy Dante zawsze musi wstawać o brzasku, nawet jeśli spał tylko cztery godziny? A może jest o świcie umówiony?

Nie towarzyszyła mu. Chciała mieć czas na poranną toaletę. Chciała też dać mu czas na rozkoszowanie się pierwszą poranną kawą - z dodatkiem ziemi i soli.

Gdy zeszła do kuchni, pomieszczenie było puste. Obok ekspresu do kawy stał świeżo przygotowany dzbanek aromatycznego napoju. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

Nie zamierzała stać i czekać, aż się pojawi. Przechodziła właśnie przez salon, gdy pojawił się na balkonie dwa piętra wyżej.

- Wejdz na górę. Jestem na tarasie! - zawołał.

Jego sypialnia miała taras wychodzący na wschód. Zauważyła to wczoraj, ale nie wychylała nosa z domu, bo nie pozwalał jej na to ten przeklęty zakaz. Stały tam dwa wygodne fotele i niewielki stolik.

Przeszła przez jego sypialnię na drugim piętrze i z zadowoleniem zauważyła, że zdjął pościel. Przez otwarte dwuskrzydłowe drzwi widziała, że siedzi wygodnie w fotelu, z filiżanką kawy w ręku. Głowę odchyłał do tyłu, mrużył oczy w słońcu, a na jego twarzy malowała się błogość.

- Hojnie szafujesz solą - skomentował, ale w jego głosie nie było gniewu. Oczywiście, zapomniała dosypać ziemi do kawy w kuchni. Jeśli zrobi sobie drugą filiżankę w barku w sypialni, może przestanie być tak irytująco dobrotliwy.

- Rewanż.

- Domyśliłem się.

Zapadło milczenie. Lorna przestąpiła z nogi na nogę.

- To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Obejrzał się nagle, jakby wyrwała go ze stanu milej kontemplacji.

- Dlaczego tam stoisz? Chodź i usiądź.

- Nie mogę - przyznała. Sama myśl o złamaniu zakazu była jak zderzenie się ze ścianą.

Z lekkim uśmieszkiem przyjął wiadomość, że wciąż jest ograniczona do przebywania w obrębie domu. Nic nie powiedział, ale ściana w jej umyśle nagle zniknęła.

- Fatalnie - skomentowała, siadając koło niego.

- O co chodzi?

- Nie odezwałeś się nawet, wydałeś polecenie w myśli. A ja miałam nadzieję, że muszę cię usłyszeć, zanim twoje zaklęcia zaczną działać.

- Przepraszam. Wystarczy, gdy je sformułuję w myślach. Wczoraj po południu miałem ochotę powiedzieć paru osobom, żeby się wypchały, ale się pohamowałem.

- Jesteś święty - powiedziała sucho, a on się uśmiechnął.

- Miałem konferencję prasową. Zważywszy na to, jak bardzo irytujący są dziennikarze, przychyliłam się do twojej opinii.

Dziennikarze? Nic dziwnego, że jej ze sobą nie zabrał.

- Dzwoniłem wczoraj, by cię uprzedzić, że wrócę późno, ale nie odbierałaś.

- Nie jestem twoją sekretarką.

- Telefon był do ciebie.

- Wtedy o tym nie wiedziałam.

- Nagrałem wiadomość dla ciebie.

- Nie usłyszałam jej. - Automatyczna sekretarka była w kuchni, a ona znajdowała się w jego sypialni, gdy telefon dzwonił drugi raz.

- Nie usłyszałaś, bo nie chciało ci się jej odtworzyć. - Teraz w jego głosie zabrzmiało zniecierpliwienie.

- Przecież nie jestem...

- Moją sekretarką. Wiem. Jesteś irytującą osobą, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Staram się, jak mogę. - Jej uśmiech przypominał wyszczerzenie zębów, bo nie było w nim śladu wesołości.

- Masz ochotę towarzyszyć mi dzisiaj? - zapytał niechętnie.

- To zależy. Jakie masz plany?

- Będę nadzorował prace porządkowe, rozmawiał z przedstawicielami towarzystw ubezpieczeniowych. Chcę też wyjaśnić powody obecności na miejscu pożaru dwóch detektywów. Zamierzam ustalić, kto i dlaczego ich wysłał.

- Niezła zabawa.

- Cieszę się, że ktoś jest tego zdania - uciał. - Przygotuj się. Zjemy w mieście. Jakoś nie mam zaufania do zapasów we własnej kuchni.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wtorek rano, godzina 7.30

Mężczyzna ukrywający się za krzakiem siedział tu od rana. Zmienił jakiegoś pechowca, któremu przypadła nocna warta. Skoro tylko dostrzegł, że drzwi garażu się podnoszą, złapał za lornetkę zawieszoną na szyi i wycelował ją w kierunku domu. W garażu błysnęły czerwone światelka hamulców, a potem wyjechał z niego elegancki jaguar.

Zaczajony człowiek podniósł radiotelefon.

- Właśnie wyjeżdża.
- Sam?
- Nie widzę. Nie, jest z nim kobieta.
- Będę gotowy.

Zadanie wykonane. Mężczyzna opuścił lornetkę na piersi, by nie zdradziło go odbicie światła w szklach. Ma sprawę z głowy. Dalsze śledzenie Dantego nie należy do jego obowiązków.

- Czy już wiadomo, jak się zaczął pożar? - spytała Lorna, gdy jechali krętą wąską drogą.

Powietrze było przejrzyste, niebo nad nimi jak głęboka błękitna kopuła. W jaskrawym świetle porannego słońca cienie rzucane przez krzaki i skały wyglądały jak namalowane na ziemi.

- Tylko tyle, że zaczął się na zapleczu, w pobliżu podręcznego schowka.

- Co za problem? Wyślij któregoś ze swoich jasnowidzów, żeby ci powiedział, co właściwie myśli inspektor straży pożarnej.

- Wydaje ci się, że mam armię ludzi na swoje usługi?
- zaśmiał się Dante.

- A nie?

- Jesteśmy rozrzuconi po całym świecie. Tutaj, w Reno, łącznie ze mną jest nas dziewięcioro. I nikt nie jest obdarzony zdolnością do telepatycznego odczytywania myśli.

- A nie możesz skontaktować się z kimś obdarzonym tą zdolnością i powiedzieć mu...

- Jej.

- ...powiedzieć jej, jak się nazywa komendant straży pożarnej, żeby mogła sprawdzić jego myśli na odległość?

- Tą telepatką jest moja siostra Mercy. Mogłaby to zrobić, gdyby wcześniej знаła tego człowieka. Ale odczytywanie myśli jakiegoś nieznanego na odległość dwóch tysięcy pięciuset mil? To niemożliwe.

- Czy to znaczy, że czytanie w myślach nie jest twoją mocną stroną? - Miała taką nadzieję. Co by było, gdyby odczytał jej myśli dzisiaj rano...

- Mogę się porozumiewać telepatycznie z Gideonem i Mercy, jeśli celowo opuścimy tarcze, ale czujemy się lepiej, kiedy jesteśmy osłonięci. Mercy była wścibskim dzieckiem. Kiedy dorosła, zrobiła się bardzo czuła na punkcie własnej

prywatności i skonstruowała silne zapory, żeby żaden z nas nie wskoczył jej do głowy bez ostrzeżenia.

- To już wszystko, co potrafisz? Poza zabawą z ogniem i tym hokus-pokus z kontrolowaniem umysłu.

- Języki. Rozumiem każdy obcy język, co jest bardzo wygodne podczas podróży. To się nazywa ksenoglosja. Już wiesz, że mam pewne zdolności empatyczne. Dla zabawy mogę emitować zimne światło, nazywane potocznie błędnym ogniem. To zjawisko nosi nazwę psycholuminescencji.

- Pewnie jest przydatne, gdy zabraknie prądu.

- Czasami. Bawiło mnie to, zwłaszcza kiedy byłem dzieckiem i mama kazała mi gasić światło i kłaść się spać.

Ten rodzaj domowej idylli był jej obcy jak opowieści o życiu na Marsie. Poczwała się nieswojo. Żeby zmienić temat, zapytała:

- Coś jeszcze?

- Nic ważnego.

Zamilkła, usiłując przetrwać zebrane informacje. Tak wiele jest jeszcze znaków zapytania. Z tego, co Dante opowiadał o sobie i swojej rodzinie, mogła wywnioskować, że talent rozwija się z czasem, a umiejętności stają się coraz doskonalsze, tak jak wszystko, co się często ćwiczy. Czy - gdyby zaczęła się uczyć wykorzystywać swój talent - odkryłaby, że potrafi różne rzeczy, o których nie miała pojęcia? Nie była pewna, czy tego chce. A właściwie była niemal pewna, że wcale tego nie chce. To, co ma, w zupełności jej wystarczy.

Teraz, gdy znalazła się poza jego domem, poczuła się nagle bezbronna. Choć jego dyktatorskie metody, dzięki którym trzymał ją w zamknięciu, doprowadzały ją do szału, może robił dobrze. Była odizolowana od świata, nie musiała się strzec ciekawskich oczu i to dało jej okazję do spokojnych przemyśleń na temat własnych uzdolnień - choć była „niczyja” i nie należała do żadnego z dwóch potężnych klanów. Była jak nieefektywny volkswagen w zestawieniu z takim na przykład jaguarem.

Gdy zbliżali się do Reno, jej niepokój rósł. W momencie gdy Dante dodał gazu i wjechał na autostradę, włączając się w strumień samochodów, wpadła w panikę.

Wieloletnie nawyki bardzo trudno jest przełamać. Trudno nagle zrezygnować z ostrożności i trzymania pewnych spraw w tajemnicy. Łatwo jest o tym myśleć w odosobnieniu, trudniej wykonać w realnym świecie. Matka Lorny nie była jedyną osobą w jej życiu, która zareagowała tak negatywnie na jej umiejętności. Dante, jeśli tylko chce, może je nazywać darami, ale dla niej były one przekleństwem.

Zrobiło jej się niedobrze i czuła zawroty głowy na samą myśl o zapuszczeniu się głębiej w ten nieznany świat. Nic się nie zmieni. Jeśli nie będzie się ukrywała, ludzie zaczną ją wykorzystywać, wyśmiewać, a w najgorszym razie prześladować.

- Co się dzieje? - spytał Dante ostro, zerkając na nią.
- Strasznie szybko oddychasz.

- Nie chcę tego. - Zęby jej dzwoniły z zimna. - Nie chcę być częścią tego wszystkiego. Nie chcę się tego uczyć.

Zaklął, zerknął na sąsiedni pas i wjechał między półciężarówkę a ciężarówkę rozwożącą mrożoną pizzę. Na kolejnym zjeździe opuścił autostradę.

- Weź głęboki oddech i zatrzymaj powietrze w płucach - poinstruował, gdy stanęli na parkingu przy McDonaldzie. - Do diabła, powinienem był o tym pomyśleć wcześniej. Dlatego potrzebujesz szkolenia. Powiedziałem ci, że masz podwyższoną wrażliwość. Reagujesz na przepływy energii w otoczeniu - może to skutek ruchu ulicznego - co przeciąża twój system nerwowy. Jakim cudem udawało ci się normalnie funkcjonować? W jaki sposób przetrwałaś w kasynie?

Lorna posłusznie nabrała powietrza i wstrzymała oddech. Czy złe samopoczucie jest związane z hiperwentylacją? Nie była tego pewna. Było jej zimno, tak koszmarnie zimno, jak w biurze Dantego przed pożarem.

Uspokajająco pogłaskał ją po ramieniu. Wzdrygnął się lekko, gdy poczuł, że jej skóra jest lodowato zimna.

- Skup się - polecił. - Pomyśl o swojej wrażliwości jako o lśniącym oszlifowanym kryształ. Promienie słoneczne odbijają się od niego i rozsiewają tęcze na wszystkie strony. Wyobraź to sobie. Jeśli nie lubisz kryształów, pomyśl o czymś równie delikatnym i narażonym na zniszczenie. Robisz to? Jesteś w stanie to sobie wyobrazić?

Z trudem zebrała myśli.

- Jaki ma kształt? Ile ma ścianek?
- Jest okrągły, oszlifowany. Już?

Wyobraziła sobie okrągły kryształ, tyle że jego powierzchnia była lustrzana. Nie rozsiewał tęczy, odbijał światło. Nic nie powiedziała. Koncentracja pomogła jej przełamać demobilizujący chłód, mogłaby myśleć o kryształach przez cały dzień.

- Już.

- Nadchodzi burza gradowa. Kryształ ulegnie zniszczeniu, jeśli nie zbudujesz wokół niego osłony. Później będziesz mogła wrócić i zbudować naprawdę mocny schron, ale teraz musisz użyć materiałów, które masz pod ręką. Rozejrzyj się. Czy w otoczeniu widzisz coś, czego możesz użyć?

Wyobraźnia nie podsunęła jej nic przydatnego, żadnych cegieł i zaprawy murarskiej. Były tam krzaczki, ale mogła z nich mieć najwyżej chrust, a nie solidne drągi.

- Masz tylko kilka minut - popędzał ją.

- Widzę głązy, ale jest ich za mało.

- Wymyśl coś innego. Kule gradowe są wielkości piłeczek golfowych. Postrącają kamienie.

W myślach spiorunowała go wzrokiem. W desperacji, niezdolna do bardziej kreatywnego rozwiązania, wyobraziła sobie, że klęka na ziemi i zaczyna gorączkowo wygrzebywać dziurę w ziemi. Piasek zsypywał się powrotem, więc kopała coraz gwałtowniej. Burza się zbliżała. Słyszała pomruki gromów i jednostajny łomot gradu. Powinna się gdzieś schować. Czy dziura jest już wystarczająco głęboka?

Włożyła kryształ do dołka i zaczęła go zakopywać, usypując nad nim kopiec. Dołek był zbyt płytki. Kryształ

wystawał nad powierzchnię ziemi. Nagarniała na niego coraz więcej ziemi. Pierwsza bryła gradu trafiła ją w ramię. Było to uderzenie mocne jak cios pięścią. Uświadomiła sobie, że ziemia nie osłoni kryształu. Nie było już czasu, więc rzuciła się na kopiec i osłoniła go własnym ciałem przed morderczym bombardowaniem.

Otrząsnęła się z tej przerażającej wizji i spojrzała na niego ze złością.

- Fatalnie.

Nachylił się nad nią, utkwiał w niej spojrzenie swoich zielonych oczu, rękę opierał wciąż na jej ramieniu.

- Co zrobiłaś?

- Chciałam zakopać ten przeklęty kryształ, nie mogłam wykopać wystarczająco głębokiej dziury, osłoniłam go własnym ciałem i pozwoliłam, żeby grad mnie ukamienował. Bez obrazy, ale masz chorą wyobraźnię.

- To nie był wytwór mojej wyobraźni, tylko twojej - sarknął, puszczając jej ramię.

- Ty wymyśliłeś ten głupi kryształ.

- Tak. I zadziało, prawda?

- Co masz na myśli?

- Wyobraźnia poskutkowała. Czy nadal czujesz - nie jestem pewien, jak to opisać, bo nie siedzę w twojej skórze - że jesteś atakowana ze wszystkich stron?

- Nie - przyznała. - Już tego nie czuję. Ale to nie był atak, raczej lęk, przecucie nieuchronnej zagłady. Potem skostniałam z zimna, tak jak wcześniej w twoim biurze.

- Tylko wtedy? Nigdy wcześniej nie miałaś podobnych doznań? - To wyraźnie go zaniepokoiło.

Potarła kark, starając się rozmasować zeszywniałe z napięcia mięśnie.

- W przeciwieństwie do tego, co sobie wyobrażasz, mogę chodzić wszędzie i robić wszystko bez wyczuwania energetycznych zawirowań i prądów, a także bez uczucia, jakby za chwilę świat miał się skończyć. Myślałam, że to ty wywołujesz te wszystkie zjawiska, pamiętasz?

Niezależnie od ich natury, wcale jej się nie podobały. Nigdy nie była optymistką - trudno o pogodny stosunek do życia, gdy za każde odezwanie się grozi uderzenie w twarz - ale też nigdy nie czuła się tak bezsilna, obezwładniona rozpaczą, która wciskała ją w czarną dziurę.

- Nie jestem nadwrażliwcem - oświadczył. -Nigdy nie czułem tego, co opisujesz. Wiem, że wytwarzam wokół siebie ogromne pole mocy, bo zauważały to inne osoby obdarzone tą zdolnością, jednak nikt do tej pory nie powiedział, że czuje się tak, jakby miał nastąpić koniec świata.

- Może nie znali cię tak dobrze jak ja - stwierdziła słodko.

- Masz rację. - Uśmiechnął się lekko i to wystarczyło, by powietrze między nimi stało się nagrzane i przesycone elektrycznością, jakby nadchodziła letnia burza.

Dante prześliznął wzrokiem po jej piersiach i stwierdził, że jest to równie intensywne doznanie jak dotyk. W przyływie szczerości uświadomiła sobie, że sprawia jej przyjemność spontaniczna reakcja mężczyzny na jej kobiece wdzięki. Działała jak afrodyzjak.

Czemu tak silnie reaguje na jego bliskość? Zgarbiła się i spojrzała w bok, by nie dać mu poznać, co dzieje się w jej głowie. Może podejrzewać, choćby po rumieńcach na policzkach, ale nie będzie wiedział na pewno.

Jego oczy roziskrzyły się. Powoli, ale bez wahania podniósł rękę i jednym palcem delikatnie obrysował kontur jej piersi. Pomyliła się. On wie, dokładnie wie, jakie myśli kłębią się w jej głowie. Poczzerwieniała.

Opuścił rękę i wskazał na restaurację.

- Zjedźmy śniadanie.

Wysiadał już z auta, gdy zapytała z niekłamanym zdumieniem:

- Przywiozłeś mnie na śniadanie do McDonalda?

- To przez te złote łuki - odparł. - Nie mogę się im oprzeć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

- Idą do McDonalda - zameldował jeden z obserwatorów.

- Nie ujawniaj się - polecił Ruben McWilliams ze swojego pokoju w motelu. - Nie spuszczaaj ich z oka, ale zachowaj dystans. Coś go zaniepokoiło. Daj znać, kiedy stamtąd wyjdą.

Co takiego zmusiło Dantego do przebiccia się przez dwa pasy do zjazdu z autostrady z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę? Ruben jakoś wątpił, by była to niepoahamowana ochota na ciastko w McDonalddie. Parę zjazdów dalej znalazłby kolejnego McDonalda, bez konieczności wykonania niebezpiecznego manewru.

Nie sądził, by zawinili tu jego ludzie. Chyba nic z tego, co robili, nie mogło spowodować tak gwałtownej reakcji, ale znał sytuację tylko z ich relacji, więc nie mógł być niczego pewny. Jego ludzie mieli śledzić Dantego na odległość, towarzyszyć mu tak, by ich nie zauważył. Raintree nie był jasnowidzem, nie dowiedziałby się o zagrożeniu w ten sposób. Może miał przeczucie? Przeczucia są dosyć powszechne, nawet ludzie je miewają. Raintree mógł poczuć niewyjaśniony niepokój, a ponieważ należał do wybrańców, nie zlekceważyłby tego jak zwykły człowiek na jego miejscu, ale kierowałby się intuicją.

Zaaranżowanie wypadku w tak krótkim czasie byłoby zadaniem karkołomnym. Nie wiedzieli, o której Raintree

opuści dom i dokąd się skieruje. Teraz, gdy go na okrągło śledzili, mogli w dogodnym momencie nasłać na niego *amigos*, wycofać się i pozwolić tamtym dokończyć dzieła.

Dante spojrział na Lornę znad babeczki czekoladowej i zapytał:

- Opisz mi dokładnie, co czułaś w moim biurze.

Lorna zastanawiała się, popijając kawę. Po dziwnym śmiertelnym chłdzie, którego doznała, miała ochotę na coś gorącego, choć Dante skutecznie rozproszył otaczającą ją zimno. Ciepło napoju nie mogło ogrzać jej duszy, ale i tak pomagało odzyskać wigor.

Cofnęła się pamięcią do tego momentu.

- Bardzo się ciebie bałam - przyznała.

- Bo złapaliśmy cię na oszustwie? - dociekał, gdy znów umilkła.

- Nie oszukiwałam - odparowała błyskawicznie. - Jeśli coś wiesz z góry, to nie znaczy, że oszukujesz. Nie, chodziło o coś innego. Kiedyś, w Chicago, wracałam nocą do domu. Zamierzałam pójść skrótem przez zaułek. Często korzystałam z tego skrótu, podobnie jak wiele innych osób. Tej nocy absolutnie nie mogłam. Stałam jak słup soli. Czy bałeś się kiedykolwiek tak bardzo, że miałeś ochotę wymiotować? Tak było ze mną. Wzięłam nogi za pas i pobiegłam do domu inną drogą. Następnego ranka w tym zaułku znaleziono rozczłonkowane zwłoki kobiety.

- Przeczucie. Uratowało ci życie.

- W ten sam sposób poczułam się, gdy cię zobaczyłam. - Po jego minie poznała, że tego się nie

spodziewał i wcale mu się to nie spodobało, ale skoro pyta, to niech ma. - Poczułam się tak, jakbym zderzyła się z jakąś potężną siłą. Nie mogłam nabrać tchu. Bałam się, że zemdleję. Kiedy się odezwałeś, napad paniki minął.

- Nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo z mojej strony. - Zmarszczył brwi. - Skąd się wzięła taka silna reakcja?

- To ty jesteś ekspertem. Wyjaśnij mi to.

- Moja pierwsza reakcja na twój widok była czysto zmysłowa. Rozbierałam cię wzrokiem. Jeśli nie cierpisz na jakąś fobię seksualną, a nie sądzę, że tak jest w twoim wypadku... - tu spojrzał na nią przeciągle, a ona poczuła, jak ją oblewa żar - nie mogłaś odebrać z mojej strony żadnych wibracji, które mogłyby cię przerazić.

Zrobiło jej się gorąco, i to wcale nie z powodu kawy. Siedzieli w McDonalddie, a przy sąsiednim stoliku jadł frytki ciekawski czterolatek, więc zmusiła się do tego, by patrzeć w innym kierunku i myśleć na mniej frywolne tematy.

- Przynajmniej częściowo musiała to być reakcja na ciebie. Pamiętam, jak myślałam, że nawet powietrze jest jakieś inne, obce. Kiedy podszedłeś, uświadomiłam sobie, że to z twojego powodu. Niebezpieczny z ciebie człowiek, Raintree.

Czekał na dalszy ciąg, bo akurat temu zarzutowi nie mógł zaprzeczyć.

- Czułam cię każdym nerwem - szepnęła łamiącym się głosem. - Przyciągałeś mnie, zupełnie jakbyś mnie

dotykał. Płomienie świec się zakołysały. Chciałam uciekać, ale nie mogłam się poruszyć.

- Dotykałem cię - przyznał. - W każdym razie w mojej wyobraźni.

Na samo wspomnienie, jak wpadła w sidła jego erotycznej imaginacji, odebrało jej dech.

- Wiedziałam, że coś jest nie w porządku. Nie kontrolowałam swoich odruchów. Czułam się tak, jakby mnie porwała potężna fala i miotala mną na wszystkie strony. Nagle zrobiło mi się zimno. Nie mówię o zwykłym zmarznięciu, gdy człowiek szczęka zębami i ma gęsią skórkę. To było zlodowacenie obejmujące do szpiku kości. I jeszcze ten straszny niewytłumaczalny lęk, taki sam, jak przed laty w zaułku. Mówiłeś, że jestem nadwrażliwa i odbieram zawirowania energii w pomieszczeniu...

- Za parę dni będzie letnie przesilenie - wyjaśnił. - W tym okresie najtrudniej jest mi zachowywać pełną kontrolę nad moją mocą. Światło słoneczne ją wzmacnia. To dlatego płomienie świec kołysały się i rozpały nagle jaśniejszym ogniem. Moja energia ma tę samą naturę co ogień: wybucha, faluje, jarzy się. Seksualna stymulacja spowodowała jej nagły przybór.

Lorna zastanowiła się. Od pierwszego momentu, gdy tylko spojrzała mu w oczy, była nim zafascynowana jako człowiekiem i jako mężczyzną. Niezależnie od początkowego strachu, czuła pożądanie. Odbierające rozum zimno pojawiło się później i nie zmieniło jej pierwszej reakcji na Dantego - gdy zimno zniknęło, pożądanie wróciło z pełną siłą.

- Zimno odeszło tak nagle, jak się pojawiło - ciągnęła.
- Coś mnie przygniatało do fotela, a potem nagle ciężar zniknął. Myślałam, że wyskoczę w górę, tak mocno odpychałam się, by mnie nie zmiażdżył. Potem rozmawialiśmy i nagle rozległ się alarm przeciwpożarowy.

- Czy w samochodzie poczułaś się tak samo?

- Identycznie, ale bez erotycznych fantazji. Im bardziej oddalaliśmy się od domu, tym bardziej byłam niespokojna i przygnębiona, jakbym była narażona na niespodziewany atak. I wtedy pojawiło się lodowate zimno.

- Odbierałaś zewnętrzne negatywne energie. Nigdy nie wiadomo, kto siedzi za kierownicą samochodu na sąsiednim pasie. To może być ktoś, kogo byś nie chciała spotkać nawet w środku dnia na pełnej ludzi promenadzie. Zastanawia mnie tylko, dlaczego poczułaś się tak w moim biurze. - Pokręcił głową. - Chyba że wyczułaś pożar, który miał za chwilę spalić kasyno. To jest możliwe, jeśli masz wgląd w przyszłość w rodzaju prekognicji.

- Jeśli mam, to tylko tam, gdzie w grę wchodzi liczby. - Opowiedziała mu o numerach, które pojawiały się w jej głowie, a okazały się numerami samolotów porwanych 11 września. Nie miała wtedy wizji płonących budynków czy katastrof lotniczych, tylko te cyfry wyskakiwały z głębin jej podświadomości. - To, co czułam przed pożarem, było inne. Może dlatego, że jestem...

- Jesteś kim? - zapytał, gdy urwała i zastanawiała się przez dłuższy czas.

- Można powiedzieć, że mam fobię na punkcie ognia.
- Nie skomentował, więc wyjaśniła: - Bardzo się go boję.

- Każda istota obdarzona inteligencją boi się ognia. Nawet ja zachowuję ostrożność.

- To nie jest ostrożność, tylko strach. Przerażenie. Mam koszmary senne, w których jestem uwięziona w płonącym budynku. - Może i był ostrożny z ogniem, pomyślała, ale żywioł go ekscytował. Byłby pierwszorzędnym piromanem. Pamiętała, jak stał w środku szalejącego żywiołu, a na jego twarzy malował się podziw dla piękna ognia i fascynacja jego siłą. - To może wyjaśniać uczucie paniki wtedy, ale dzisiaj? Dlaczego miałabym doznać takiego samego przeczucia dzisiaj? Jeśli masz zamiar zaciągnąć mnie do kolejnego palącego się budynku, powiedz mi to teraz, żebym zdążyła cię ukatrupić.

Zaśmiał się i pozbiierał resztki na tacę. Podążała za nim krok w krok. Wyszli na parking.

- Dokąd teraz?

- Do hotelu.

Minutę później byli już na autostradzie. Dante spojrzął na nią badawczo.

- Jak się teraz czujesz?

- Już w porządku. Naprawdę nie wiem, co się ze mną działo.

Nie kłamała. Czuła się wspaniale. Jechała jaguarem z najbardziej niezwykłym mężczyzną, jakiego zdarzyło jej się spotkać, i myślała, że zgodzi się spędzić z nim noc. Zerknęła na niego i poczuła przyjemny dreszczyk podniecenia.

Podobał jej się sposób, w jaki prowadził samochód. W niedzielę w nocy nie była w stanie docenić jego elegancji i precyzji. Dobry kierowca jest bardzo seksowny, pomyślała.

Pędzili środkowym pasem. Z prawej strony zbliżał się samochód z zepsutym tłumikiem. Lorna zobaczyła, że Dante ocenił sytuację w lusterku.

- Idioci - mruknął i zjechał na lewy pas.

Lorna odwróciła się, by sprawdzić, o co mu chodziło. Poobijany biały dodge ciągnący za sobą białą smugę spalin z rury wydechowej jechał bardzo szybko. W środku dostrzegła kilka osób. Powodem do zmiany pasa na lewy był niebieski nissan, który siedział pierwszemu kierowcy na zderzaku.

- Wypadek wisi w powietrzu - powiedziała, gdy niebieski nissan śmignął na środkowy pas i zrównał się z białym autem.

Kierowca nissana zrobił taki ruch, jakby chciał zepchnąć dodge'a z szosy, na co ten raptownie przycisnął hamulec, zmuszając do ostrego hamowania cały sznur samochodów za nim. Silnik nissana ryknął i samochód zrównał się z Dantem. W środku Lorna dostrzegła kilku Latynosów, którzy śmiali się i pokazywali sobie palcami dodge'a.

Na autostradzie panował poranny tłok, ale to nie przeszkodziło kierowcy białego dodge'a gwałtownie przyspieszyć.

- Gangi - zauważył Dante sucho, przyhamowując, aby obydwa niebezpieczne samochody ich wyprzedziły.

Sam nie mógł się rozpędzić, bo na pasie przed nimi jechał inny samochód. Nie dało się go wyprzedzić, bo prawy pas blokował niebieski nissan. Wydawało się, że nikt w nissanie nie zwraca na nich uwagi; mężczyźni zajęci byli ściganiem się z białym samochodem. Kierowca nissana zwolnił nieco, jakby chciał, by dodge znów go dogonił.

Potem wydarzenia nabrały przyspieszenia. Białe dodge zrównał się z nissanem. Lorna dostrzegła tylko zamazaną plamę, gdy pasażer dodge'a siedzący za kierowcą otworzył okno i wystawił przez nie karabin maszynowy.

Poczuła, jak Dante prawą ręką szarpie ją za ramię tak mocno, że rąbnęła głową o własne kolana, a jednocześnie okno nad jej głową roztrzaskało się na tysiąc kawałków. Słysząc było hałaśliwe terkotanie, któremu towarzyszyły rozbłyски, głośnie trzaski, a potem przeraźliwy rozdierający uszy zgrzyt i nagłe uderzenie, gdy Dante skierował samochód na betonową barierę z lewej strony autostrady.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Jakimś cudem uwolnił jej ramię z jednego pasa bezpieczeństwa, ale drugi zacisnął się wokół bioder. Coś drasnęło ją w głowę z prawej strony i uderzyło w prawe ramię tak mocno, że aż rzuciło ją do tyłu. Chwilę potem leżała twarzą do dołu, z nogami gdzieś pomiędzy siedzeniami. Przerażliwy pisk opon i zgrzyt zgniatanego metalu ustał nagle, a wewnątrz samochodu wypełniła dziwna cisza. Lorna otworzyła oczy, ale obraz był zamglony, więc zamknęła je znowu.

Nigdy dotąd nie była ofiarą wypadku. Szybkość, z jaką wszystko się stało, i niszczyielska siła oszołomiły ją. Nie czuła bólu, była odrętwiała, jakby olbrzym podniósł ją i cisnął na ziemię. Ból pojawi się, gdy minie pierwszy szok, pomyślała bez emocji. Uderzenie było tak silne, że pierwszą reakcją było zdziwienie, jakim cudem jeszcze żyje.

Dante! Co się stało z Dantem!

Ta myśl ją pobudziła do działania, znowu otworzyła oczy, ale nie dostrzegła go we mgle. Nic nie było na swoim miejscu. Nie było kierownicy, tablicy rozdzielczej.

Zamrugła i uświadomiła sobie, że patrzy na tylne siedzenie. A rozmazany obraz to jest... mgła? Nie - dym. Poderwała się całym ciałem, półprzytomna ze strachu, a przynajmniej starała się, bo szarpnięcie nie przyniosło rezultatu.

- Lorna?

Jego głos był stłumiony i zachrypnięty, jakby mówił z trudem, ale to niewątpliwie był Dante. Głos dochodził gdzieś z tyłu i z góry, co zupełnie nie miało sensu.

- Ogień - wyszeptała.

Z jakiegoś powodu mogła poruszać tylko stopami. To ją trochę uspokoiło: skoro ma władzę w stopach, to znaczy, że wszystko pomiędzy nimi a kręgosłupem też funkcjonuje.

- Nie ma ognia. To poduszki powietrzne. Jesteś ranna?

Jeśli ktokolwiek wyczułby obecność ognia, tą osobą byłby Dante. Lorna westchnęła i odprężyła się trochę.

- Chyba nie. A ty?

- Jestem cały.

Leżała w tak niewygodnej pozycji, że rozbolała ją krzyż. Wijąc się, wyciągnęła spod siebie lewą rękę i odepchnęła się od podłogi, aby wpełznąć na siedzenie.

- Czekaj. - Dante przytrzymał jej ramię. - Tu jest pełno szkła. Poszatkujesz się na kawałeczki.

Z zewnątrz dochodziły jakieś krzyki, aż świadkowie wypadku rzucili im się na pomoc. Ktoś uderzył w okno od strony kierowcy.

- Hej, człowieku! Żyjesz?

- Tak. - Dante podniósł głos, by lepiej go słyszeli. Poczula z boku jego rękę; starał się odpiąć pas bezpieczeństwa. Zatrząsk się zablokował. Zaklął soczyście i szarpnął jeszcze raz. Przy trzeciej próbie odniósł sukces.

Uwolniony obrócił się w stronę Lorny, a ta poczuła, że przesuwa ręką po jej nodze.

- Twoja prawa stopa zaplatała się w poduszkę powietrzną. Przesuń kolano do mnie, a stopę w kierunku okna.

Łatwo powiedzieć, pomyślała. Nie mogła wykonać żadnego ruchu.

Mężczyzna stojący na dworze szarpał drzwi od strony kierowcy. Samochód zadygotał, ale drzwi się zacięły.

- Spróbuj z drugiej strony - wrzasnął do niego Dante.

- Okno jest rozwalone - powiedział inny człowiek, zaglądając przez dziurę od strony pasażera. - Jesteście ranni?

- Chyba nie - odrzekł Dante, pochylając się nad nią i popychając kolano, a jednocześnie przesuając jej stopę.

W pułapce zrobiło się luźniej.

- To dowodzi jednego. - Sapała z wysiłku, choć efekt był mizerny.

- Obciągnij palce jak baletnica. Czego dowodzi?

- Moja zdolność do przedwiedzy jest zerowa. Nie przewidziałam, co się zdarzy.

- Żadne z nas nie jest jasnowidzem prekognitywnym.

- Odchrząknął i jeszcze raz pociągnął jej nogę, uwalniając ją. - Nareszcie. - A do mężczyzny zaglądającego przez rozbite okno rzekł: - Może pan znaleźć jakiś koc i rzucić go na te odłamki szkła, aby ją stąd bezpiecznie wyciągnąć?

- Nie potrzebuję wyciągania - zrzędziła Lorna. - Gdybym tylko mogła się odwrócić, sama się wygramolę.

- Trochę cierpliwości - doradził Dante i przysunął się bliżej, aby ją podtrzymać od spodu ramieniem i dać wypocząć mięśniom.

W oddali usłyszeli syreny, a w oknie pojawiła się kolejna twarz, czerwona i spocona, należąca do tęgiego faceta w czapce z daszkiem.

- Miałem koc w ciężarówce - oznajmił, zabezpieczając nim ostre brzegi wybitej szyby.

Lorna podziękowała mu wylewnie, a Dante pomógł jej przekręcić się na siedzeniu. Kierowca ciężarówki chwycił Lornę pod pachy i wyciągnął ją przez dziurę po oknie, zanim jeszcze zebrała się w sobie, by o własnych siłach wydostać się z wraku.

Widok auta odebrał jej głos.

Elegancki jaguar zamienił się w kupę złomu.

Zarzuciło ich tak, że wrak stał tyłem do kierunku jazdy, maska została zmiażdżona o betonową ścianę, a siedzenie kierowcy znalazło się na pasie ruchu. Gdyby zaraz po uderzeniu w barierę wpadł na nich z tyłu inny samochód, Dante nie wyszedłby żywy z karambolu. Nie rozumiała, jakim cudem inni kierowcy ich ominęli. Ruch o tej porze był bardzo duży, auta pędziły szybko. To wyglądało na cud.

Spojrzała na zygzak samochodów osobowych, ciężarówek, wozów terenowych, stojących niemal jeden na drugim, pod różnymi kątami, tak jak je zarzuciło przymusowe gwałtowne hamowanie. Na prawym pasie, niemal pięćdziesiąt metrów dalej, zderzyły się trzy pojazdy,

ale kierowcy stali na zewnątrz i oceniali wgniecenia, więc nikt nie zginął.

Zrobiło jej się słabo. Dotarło do niej, że na sekundę przed wypadkiem Dante zrobił gwałtowny skręt kierownicą, posyłając auto w kontrolowany poślizg - dzięki temu jego pasażerka zniknęła z linii strzału, a on sam wylądował twarzą w twarz ze strumieniem samochodów pędzących za nimi.

Zabije go osobiście.

Nie miał prawa tak się dla niej narażać. Nie byli kochankami. Spotkali się dwie doby wcześniej, w bardzo niesprzyjających warunkach, i przez większość czasu była na niego tak wściekła, że chętnie sama wepchnęłaby go pod pędzące auta.

Jak on śmie być bohaterem! Nie chciała tak o nim myśleć. Nie chciała, by stał się kimś, czyją nieobecność w swoim życiu boleśnie odczuje. Chciała móc odejść w każdej chwili, nie oglądając się za siebie, samowystarczalna i zadowolona z życia. Nie chciała o nim rozmyślać. Nie chciała o nim marzyć.

Jej ojciec o nią nie dbał, jeśli w ogóle o niej wiedział. Nie miała pojęcia, kim był - matka chyba też nie. Matka z pewnością nie dałaby za nią złamanego paznokcia. Więc dlaczego ten... ten obcy ryzykuje własnym życiem, by ją chronić? Nienawidziła go za ten pokaz wielkoduszności, za to, że na zawsze wyrył swój ślad w jej sercu.

I co ma z tym zrobić?

Poszukała go wzrokiem. Był parę kroków za nią. Gdyby odszedł dalej, odczułaby psychiczne szarpnięcie w

jego kierunku. Jak on to godzi? Za nic nie chce zwolnić jej z mentalnych więzów, ale jest gotów narazić dla niej życie - cymbał.

Zazwyczaj zaczesywał włosy do tyłu, teraz kosmyki spadały mu na twarz. Cieniutka strużka krwi spływała po lewym policzku z małej spuchniętej ranki na kości policzkowej. Wokół niej rozlewał się duży siniak. Jego lewa ręka nie wyglądała dobrze, skóra między przegubem a łokciem była ciemnoczerwona. Nie przytrzymywał ręki ani nie dotykał policzka - nie robił żadnego z tych instynktownych gestów, którymi ludzie chronią bolące miejsca. Wydawało się, że nie jest świadom odniesionych ran. Wyglądał jak człowiek, który świetnie kontroluje sytuację i samego siebie.

Lorna była bardzo zła. Nie powinien się tak narażać. To nie w porządku. I od kiedy niby stał się taki szlachetny?

Spojrzał prosto na nią, jakby przywołała go myślami. Wystarczyły dwa susy, by stanął obok.

- Jesteś śmiertelnie blada. Musisz usiąść.

- Nic mi nie jest - odparła automatycznie. Nagły powiew powietrza zwał jej włosy na twarz. Podniosła dłoń, by je odgarnąć. Dwa radiowozy nadjeżdżały z naprzeciwka, wyły syreny alarmowe, musiała podnieść głos, by ją usłyszał. - Nie jestem ranna.

- Przeżyłaś szok. - On też podniósł głos. Jednocześnie obserwował wozy patrolowe, które zaparkowały po drugiej stronie betonowej bariery. Wyłączyły już alarm, ale autostradą nadjeżdżały inne służby ratownicze i hałas wzrósł.

- Naprawdę. Czuję się dobrze - upierała się. W każdym razie nie odniosła uszczerbku na ciele.

Pociągnął ją w kierunku bariery.

- Proszę, usiądź. Poczuję się lepiej, jeśli mnie posłuchasz.

- To nie ja krwawię - odparowała.

Dotknął policzka, jakby teraz przypomniał sobie, że jest rozcięty, albo wcześniej wcale tego nie zauważył.

- Więc usiądź ze mną i dotrzyмай mi towarzystwa.

Przeszkodzili im policjanci, którzy chcieli ustalić przebieg wypadku i przywrócić normalny ruch na autostradzie, po usunięciu uszkodzonych pojazdów i odesłaniu rannych do szpitali. Na miejscu zdarzenia było już siedem samochodów służb ratunkowych, licząc straż pożarną i trzy karetki pogotowia. Kierowcy sprawnych samochodów zjeżdżali na pobocze.

Było kilku naocznych świadków. Żaden z nich nie wiedział, co konkretnie wywołało strzelaninę i czy całe wydarzenie było wynikiem wojny gangów, ale każdy miał własne zdanie na ten temat i trochę inaczej zapamiętał przebieg wypadków. Wszyscy zgadzali się co do jednego: ludzie z białego dodge'a ostrzelali nissana, a pasażerowie nissana odpowiedzieli im kanonadą.

- Czy ktoś zauważył numery na tablicy rejestracyjnej chociaż jednego z samochodów? - zapytał policjant.

Dante spojrzał na Lornę.

- Liczby.

Pomyślała o białym dodge'u. W jej głowie pojawiły się trzy cyfry.

- Dodge ma na tablicy numer 873. - Tablice rejestracyjne w Nevadzie to trzy cyfry, po których następują trzy litery.

- Zauważyła pani litery? - upewniał się policjant.

- Nie, pamiętam tylko liczbę.

- To bardzo uprości poszukiwania. A co z nissanem?

- Hm... 612.

Zapisał i odwrócił się, by porozmawiać przez radio.

Zadzwoiła komórka Dantego. Wyłowił ją z kieszonki dzinsów i sprawdził numer osoby po drugiej stronie.

- Gideon - wyjaśnił i odebrał. - Co słychać? - Przez chwilę słuchał, po czym odpowiedział: - Wszystko się pochrzańiło. - Kolejna pauza. - Pamiętam.

Rozmawiali niespełna minutę, gdy Lorna usłyszała:

- Rzut oka na przyszłość. - Zaczęła się zastanawiać, o czym rozmawiają. Dante zaśmiał się właśnie w reakcji na coś, co powiedział jego brat, gdy Lorna nagle zadygotała i objęła się ramionami, choć temperatura sięgała już trzydziestu stopni. Dopadło ją uczucie przejmującego zimna, jakby ktoś ją wrzucił do basenu wypełnionego lodowatą wodą.

Dante dostrzegł jej popłoch i zakończył rozmowę.

- Co się dzieje? - spytał cicho, odciągając ją na bok.

Nie była w stanie myśleć jasno w tym potwornym chłódzie.

- Myślę, że zdeprawowany seryjny morderca idzie naszym tropem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Dante objął ją ramieniem, rozgrzewając ciepłem swego ciała. Był zawsze tak rozpalony, jakby miał gorączkę. Teraz to ciepło rozkosznie splotało się na jej zlodowaciałą skórę.

- Skup się - szepnął, by nikt ich nie usłyszał. - Pomyśl o budowaniu schronu.

- Nie chcę budować schronu - jęknęła z rozpaczą. - Dopóki cię nie spotkałam, nic takiego się nie zdarzało. Chcę, żeby to się skończyło.

- Zobaczę, co da się zrobić. - Potarł policzkiem o jej włosy i uśmiechnął się. - Jeśli nie chcesz budować schronu, sprawdź, czy uda ci się zlokalizować źródło zimna. Zamknij oczy i uruchom inne zmysły. Powiedz, czy odbierasz coś odbiegającego od normy, zakłócenia w przepływie energii czy wibracje dochodzące z jakiegoś kierunku.

Ta sugestia wydała jej się dużo bardziej praktyczna niż wznoszenie wymyślonych schronów nad nieprawdziwymi lustrzanymi kryształami. Lepiej położyć kres tym nagłym napadom zimna, niż uczyć się z nimi żyć. Oparła się o Dantego, przymknęła oczy i zaczęła w myślach przeszukiwać otoczenie. Nie wiedziała, czy robi to dobrze ani czego właściwie szuka, ale od razu poczuła się lepiej.

- Czy to zadziała? - upewniała się. - Może po prostu chcesz odwrócić moją uwagę?

- Powinno się udać. Każdy wytwarza wokół siebie pole energii. Niektóre są silniejsze od innych. Nadwrażliwi, tacy jak ty, rejestrują te pola. Powinnaś z równą łatwością określić, skąd promieniuje silna energia, jak skąd wieje wiatr.

Kiedy jej to wytłumaczył w przystępny sposób, wszystko nabrało sensu. Zastanawiało ją tylko, czemu - jeśli jest nadwrażliwa - nie zdarzało jej się to regularnie. Poza jedynym momentem podobnej paniki, kiedy wyczuła zagrożenie w ciemnym zaułku, nigdy nie była świadoma niezwykłych zjawisk w otoczeniu.

Niektóre są silniejsze od innych, powiedział Dante. Może po prostu przebywała zawsze w towarzystwie zwykłych ludzi, których energia była niewielka. To znaczy, że gdzieś w otoczeniu są ludzie znacznie odbiegający od normy i generujący niezwykle silne pola.

Najpotężniejszy z nich stoi tuż za nią i ją obejmuje. Zdecydowała się wykorzystać go jako swoisty wzorzec i porównywać wszystkich ludzi wokół do Dantego. Emanował z siebie tyle energii, że miała wrażenie, jakby jej ciało otaczała statyczna elektryczność. Doznanie było zbyt silne, by nazwać je przyjemnym, ale też nie było przykre. Raczej ekscytujące i erotyczne, jak iskierki musujące pod skórą.

Tę część odczuć zepchnęła gdzieś na skraj podświadomości. Teraz skoncentrowała się na przeszukiwaniu w myślach okolicy, wyczuwaniu zawirowań i prądów. To przypominało łowienie pstrągów w górskim potoku.

Początkowo nie zauważyła niczego niezwykłego. Normalne falowanie energii pochodzącej od wielu osób. Ona i Dante są otoczeni przez strażaków, policjantów, ratowników, kierowców, którzy zatrzymali się, by pomóc. Energia pochodząca od nich jest ciepła i kojąca, dawała siłę i poczucie bezpieczeństwa. Otaczają ich dobrzy ludzie; mają swoje dziwactwa, lecz są przyzwoici.

Poszerzyła krąg poszukiwań. Wibracje i wzory były trochę inne. Tam stali gapie, ciekawscy, egoiści, którzy nie mieli ochoty przyjść z pomocą ofiarom wypadku. Chcieli mieć temat do plotek, do chwalenia się, że widzieli wypadek, że tkwili w korku przez wiele godzin. Nie byli tu po to, by czynić świat lepszym. Oni...

Tam!

Wzdrygnęła się, zaniepokojona swoim odkryciem.

- Gdzie to jest? - szepnął Dante w jej włosy, obejmując ją mocniej. Ludzie wokół myśleli pewnie, że ją uspokaja albo przytulają się, szczęśliwi, że ocaleli.

- Z mojej lewej strony. Jakieś sto metrów od nas. Chyba zaparkował na poboczu.

- Mężczyzna?

- Tak - odparła zdecydowanie.

- Nasi przyjaciele spudłowali. - Obserwator Ansarczyk powiedział to z niesmakiem i opuścił lornetkę. Relacjonował przez telefon: - Rozwalił samochód, ale nic im się nie stało.

Ruben zaklął pod nosem. Prawdę mówi stare porzekadło: Chcesz coś zrobić dobrze, zrób to sam.

- Odwołaj inwigilację - powiedział. - Mam inny plan.

Ich plany niepotrzebnie są skomplikowane. Najlepsze są najprostsze rozwiązania. Mniej drobiazgów, o które można się potknąć, mniej osób, które mogą zawieść, mniejsze szanse, że obiekt się zorientuje.

Zamiast starać się, by śmierć Dantego wyglądała na wypadek, trzeba odczekać do ostatniej chwili i posłać mu kulkę w łeb. Zaalarmowani członkowie klanu Raintree i tak nie zdążą do Sanktuarium.

Proste rozwiązania zawsze są najlepsze.

- Widzę człowieka, o którym mówisz - stwierdził Dante - ale jest za daleko, żeby coś więcej powiedzieć. Stoi przy samochodzie, jak wielu innych kierowców.

- Obserwuje nas - mruknęła Lorna.

- Co możesz powiedzieć o jego energii?

- Wytwarza silne pole. Jest mocniejszy niż wszyscy ludzie wokół, ale ci nie dorównuje. - Otworzyła oczy. - Jest jedyną niezwykłą osobą w otoczeniu. Jesteś pewien, że to nie są moje urojenia?

- Jestem pewien. Zaufaj swoim zmysłom. Najwyższa pora.

- Panie Raintree - przywołał go policjant.

Dante pocałował Lornę w usta i skierował się w tamtą stronę, a ona, chcąc nie chcąc, podażyła za nim. Stała w takiej odległości, w jakiej nie czuła już przymusu zrobienia kolejnego kroku do przodu.

Scena katastrofy powoli pustoszała. Świadkowie złożyli już zeznania, coraz więcej kierowców objeżdżało miejsce wypadku i podążało w kierunku miasta. Nadjechały dwa samochody do holowania pojazdów. Jeden po wraka jaguara, drugi po samochód ze stłuczki na sąsiednim pasie, z przebitą chłodnicą. Zanim odholowano jaguara, Dante wyjął ze schowka dowód rejestracyjny i polisę ubezpieczeniową oraz pilota do garażu. Zważywszy, że z samochodu pozostała sterta złomu, znalezienie w nim czegoś było nie lada sztuką.

Lorna zauważyła, że Dante nie martwi się stratą jaguara. Nie lubił, gdy coś zakłócało jego plany, ale wóz nie miał wielkiego znaczenia. W hotelu miało na niego czekać wynajęte auto, a jeden z pracowników był już w drodze, by ich zabrać. Tak jak podejrzewała, pieniądze prostują ścieżki i wyrównują wyboiste drogi.

Na myśl o pieniądzach odruchowo pomacała lewą kieszeń. Plik banknotów ciągle tam tkwił, razem z prawem jazdy. W prawej kieszonce miała małe nożyczki. Nie wiedziała, jak mogłyby się jej przydać w prawdziwie niebezpiecznej sytuacji, ale je mimo wszystko zachowała.

Czuła się teraz lepiej. Obrzydliwe zimno przeszło. Obróciła się w kierunku, z którego podglądał ich podejrzany mężczyzna, ale już go nie było. Przypadek, pomyślała, czy przyczyna i skutek?

Czy to nie dziwne, że lodowaty chłód sparaliżował ją tuż przed pożarem i na parę minut przed tym, jak znaleźli się w środku strzelaniny? Może jej reakcja nie była

związana z osobą, a z wydarzeniem, które ma za chwilę nastąpić. Może to było ostrzeżenie.

Pogodziła się już z umiejętnością przewidywania niektórych wydarzeń z przyszłości, bo niezależnie od tego, jak długo usiłowała oszukać samą siebie, upierając się, że ma po prostu dobrą głowę do liczb, zawsze w głębi duszy wiedziała, że chodzi o coś więcej. Nie chciała odkrywać w sobie kolejnego daru, zwłaszcza takiego, który wydawał się bezużyteczny. Ostrzeżenie bywa przydatne, jeśli wiadomo, czego dotyczy. Inaczej jest bezużyteczne.

- Kierowca po nas przyjechał. - Dante objął ją w pasie.
- Chcesz pojechać ze mną do hotelu, czy wrócisz do domu?

Do domu? Powiedział to tak, jakby była jego domownikiem. Cięta riposta zamarła jej na ustach na widok jego miny. Obserwował ją uważnie i wyraźnie czekał na reakcję. To nie było przejęzyczenie, ale jakiś rodzaj testu.

- Oboje wiemy, do czego to wszystko zmierza. Mam apartament w hotelu, a elektryczność została uruchomiona wczoraj, więc jest w pełni funkcjonalny. Możesz pojechać ze mną do hotelu albo mogę cię odwiedzić do domu, ale w obu tych miejscach będziesz pod moją kuratelą. Jedyne różnica jest taka, że w domu będziesz miała więcej czasu dla siebie, jeśli tego potrzebujesz.

Potrzebowała wielu rzeczy i wolny czas nie był jedną z nich, ale pobocze autostrady nie było właściwym miejscem na próbę sił.

- Nie zdecydowałam jeszcze, czy chcę pójść z tobą do łóżka. Podejmę tę decyzję wtedy, kiedy będę gotowa, bez

względu na twoje naciski - oznajmiła. - Pojadę z tobą do hotelu, bo nie chcę tkwić zamknięta w domu przez cały dzień. Nie bądź zbyt pewny siebie, Raintree.

Miejsce intensywne skupienia zastąpił ironiczny uśmiezek. Dante spuścił oczy.

- Na to już za późno - powiedział.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lorna nie była w stanie usiedzieć na miejscu, więc zamiast zostać w apartamencie Dantego, dreptała za nim, gdy on krążył po hotelu, zaglądając w każdy kąt, wydając polecenia w sprawie napraw, rozmawiając z przedsiębiorcami budowlanymi. Trzymała się z boku. Kulisy działania luksusowego hotelu są fascynujące. Miejsce tętni życiem. Dante nie czekał na odszkodowanie z firm ubezpieczeniowych. Sprowadził likwidatorów szkód, by sporządzili dokumentację fotograficzną stanu po pożarze, po czym zainwestował własne pieniądze, by jak najszybciej skończyć remont.

Sposób, w jaki prowadził interesy, świadczył o jego bogactwie, a jednocześnie rzucał inne światło na prostotę i izolację, w jakiej żył. Dante nie miał armii służących. Miał drogie samochody, ale nie zatrudniał szofera. Sam robił sobie śniadanie i wkładał brudne naczynia do zmywarki. Lubiał luksus, ale nie potrzebował go na co dzień.

Tylko tam, gdzie w grę wchodził hotel, nie szukał tańszych rozwiązań. Wszystko musiało być z najwyższej półki, od papieru toaletowego w łazience po pościel w sypialni. Trudno mu było dogodzić, gdy przeprowadzał inspekcję pokoi zniszczonych przez dym. Nie wystarczała mu ocena „wystarczająco dobry”. Wszystko musiało być perfekcyjne, lepsze niż przed pożarem.

Kasyno istniało z jednego powodu - zarabiało pieniądze. W tych rzadkich chwilach, kiedy mogli rozmawiać bez świadków, Dante przyznał się Lornie, że dzienne obroty wynosiły co najmniej sześć milionów dolarów, a ponieważ hazard pozwala na bardzo wysoką marżę, poziom dziennych zysków może u niektórych wywołać zawrót głowy.

Wiele metrów kwadratowych powierzchni zajmowały powyginane od gorąca i osmolone automaty do gry. Znajdowały się w nich dziesiątki tysięcy monet, więc uzbrojeni strażnicy cały czas pilnowali ruin, przynajmniej dopóty, dopóki automaty nie zostaną odtransportowane, a ich zawartość w miarę możliwości odzyskana. Mniej więcej połowa automatów nie wypluwała z siebie wygranej, ale drukowała kwitek, na podstawie którego wypłacano wygrane. Skarbiec, w którym trzymano monety, i główny skarbiec były ogniodporne, więc większość gotówki ocalała. Kasjerzy, którzy dyżurowali tej nocy, zwlekali z ucieczką, by zabezpieczyć pieniądze - był to dowód ich lojalności, ale i braku rozsądku: to właśnie w tej grupie pracowników były dwie ofiary śmiertelne.

Inspektor straży pożarnej zakończył już oględziny, więc Dante zapędził go w kąć i zapytał prosto z mostu:

- Czy to było podpalenie?

- Wszystko wskazuje na zwarcie instalacji elektrycznej, panie Raintree. Tam, gdzie było zarzewie ognia, nie znalazłem śladów substancji łatwopalnych. Nic nie wskazuje na podpalacza. Zastanawia mnie tylko,

dłaczego płomienie osiągnęły tak wysoką temperaturę. To rzeczywiście wygląda podejrzanie.

- Zaniepokoiłem się, kiedy zaraz po pożarze pojawili się na pogorzeliisku policyjni detektywi i zaczęli zadawać setki pytań.

- Nie powiedzieli panu? - Strażak podrapał się po nosie. - Mniej więcej w tym samym momencie, kiedy wybuchł pożar, ktoś zadzwonił na policję. Jakiś wariat odgrażał się, że spali kasyno. Zlokalizowali go. Okazało się, że jadł tego wieczoru kolację w jednej z restauracji i gdy tylko włączył się alarm, wyciągnął komórkę i postanowił odgrywać piromana. Zdaje się, że wcześniej nadużył napojów wysokowych. - Pokręcił głową z niedowierzaniem. - Niektórzy ludzie to niezłe świry.

Dante spojrział na Lornę porozumiewawczo.

- A już zacząłem węszyć spisek - wyjaśnił strażakowi.

- Ogień jest nieobliczalny. Ja na przykład nie rozumiem, jakim cudem przeżyliście. Nie mieliście żadnej osłony, a żar i dym was nie wykończyły. Nadzwyczajne.

- Niewiele brakowało - odparł Dante. - Myślałem, że wykaszle płuca.

- Widziałem ludzi, którzy umierali z powodu zatrucia albo wewnętrznych poparzeń, choć zadymienie było mniejsze niż w kasynie.

Lorna zaciekawiła się, co powiedziałby strażak na widok tej kupy złomu, z której wyszli nietknięci.

Choć przecież wyraźnie pamiętała, że Dante zaraz po wypadku miał siniaki i zadrapania. Przyjrzała mu się bardzo uważnie. Poduszka bezpieczeństwa uderzyła go z

taką siłą, że dość głęboko przecięła mu skórę na kości policzkowej. Policzek był spuchnięty i siny, tak samo lewe przedramię.

Teraz, zaledwie parę godzin później, nie było śladu po obrażeniach. Żadnej opuchlizny, żadnego siniaka. Wiedziała, że sobie tego nie wydumała, bo wcześniej miał krew na koszulce polo. W hotelu przebrał się w białą koszulę. Rękawy podwinął do łokci i widziała dobrze, że na lewym przedramieniu nie było ani śladu wcześniejszych obrażeń.

Ona też nie była nawet zadraśnięta. A przecież ciskało nią na wszystkie strony i powinna teraz jęczeć przy każdym kroku. Tymczasem czuła się dobrze. Co tu się właściwie dzieje?

- To był fałszywy trop - stwierdził Dante po wyjściu inspektora. - A głupota niektórych osób nie ma granic.

- Wiem, wiem - mruknęła machinalnie, choć na końcu języka miała pytanie o cudownie wyleczone skaleczenie. Czy można jakoś dyplomatycznie zadać pytanie: Czy jesteś człowiekiem?

Ale to nie tłumaczy jej własnej wyśmienitej kondycji. Wiedziała ze stuprocentową pewnością, że jest człowiekiem. Czy to jego kolejny talent? W jakiś sposób chroni ich przed zranieniem?

- Miałeś ranę na twarzy - wypaliła, bo już się nie mogła powstrzymać. - Co się z nią stało?

- Wszystko się na mnie goi jak na psie.

- Nie wciskaj mi kitu - zirytowała się. - Kilka godzin temu miałeś otwartą ranę, siniak i opuchnięcie na policzku. Teraz nie ma po nich śladu.

Szybko podjął decyzję.

- Chodźmy na górę. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Jest parę rzeczy, o których nie wspomniałem.

- Nie żartuj sobie - mruknęła.

Przeszli przez hotel do prywatnej windy, z której wysiadało się w apartamencie Dantego. Jego biuro było na tym samym piętrze, ale z drugiej strony budynku. Kiedy przywiózł ją tam szef ochrony, użył jednej z publicznych wind. Dopiero dzisiaj zrozumiała, dlaczego owej nocy było tam tak pusto; całe piętro było do wyłącznej dyspozycji właściciela hotelu.

Ogromny apartament o powierzchni dwustu siedemdziesięciu metrów kwadratowych wyglądał jak każdy inny elegancki hotelowy pokój: był pozbawiony osobistego charakteru. Dante przyznał, że nocował tutaj tylko w wyjątkowych sytuacjach, gdy jakieś problemy zatrzymały go w kasynie do późnych godzin nocnych i nie było już sensu jechać do domu. Pokoje były przestronne i wygodne, ale nie trzymał w nich żadnych osobistych rzeczy, prócz ubrań na zmianę.

To dziwne, pomyślała, że w tak krótkim czasie tak dobrze poznała jego gusty: meble, dobór kolorów, dzieła sztuki. Ten apartament był dziełem dekoratora wnętrz, a nie Dantego.

W salonie skierował się do okna. Ma słabość do wielkich przeszklonych ścian, zauważyła. Lubił, gdy roztaczał się przed nim widok na całą okolicę. Chyba jeszcze bardziej lubił przesiadywać na otwartym powietrzu. Tutaj też miał zalany słońcem balkon, na którym stały stolik i krzesła.

- Teraz wreszcie powiedz mi o znikających ranach i siniakach. I nie zapomnij dodać, dlaczego włos mi z głowy nie spadł. Nawet mięśnie mnie nie boją.

- Odpowiedź jest prosta. - Wyciągnął z kieszeni srebrny wisiołek na łańcuszku. - Miałem to w samochodzie w schowku.

Był to mały srebrny ptak w locie, może orzeł.

- Nie rozumiem.

- To jest talizman. Poteżne zaklęcie chroni jego właściciela. Opowiadałem ci o talizmanach. Robię je dla mojego brata, Gideona, a on dla mnie. Zazwyczaj umieszcza w nich zaklęcia wspomagające płodność...

Odskoczyła do tyłu, kreśląc palcem znak krzyża, jakby broniła się przed wampirem.

- Trzymaj to z daleka ode mnie!

- To jest amulet ochronny, nie zachodzi się od niego w ciążę.

- Używasz go zamiast prezerwatywy?

- Nie mówię o takiej ochronie. Broni właściciela przed zranieniem albo minimalizuje szkody.

- Wierzysz, że dzięki temu drobiażdżkowi wyszliśmy cało z wypadku?

- Ja to wiem. Gideon, który jest policjantem, nie zdejmuje swoich talizmanów. Ten przyszedł pocztą w sobotę, najwyraźniej zrobił go niedawno. Nie wiem, dlaczego tym razem zadbał o moje bezpieczeństwo, a nie potomstwo, chyba że miał to być diaboliczny plan zamaskowania amuletu na płodność pod postacią amuletu chroniącego przed niebezpieczeństwem. Tak czy owak, jego działanie okazało się niezawodne. W okresie letniego przesilenia nasza moc wzrasta i czasem trudno nad nią zapanować. Gideon tchnął w ten talizman potężne zaklęcie - stwierdził z podziwem. - Nie włożyłem go. Wrzuciłem do schowka w samochodzie i zapomniałem o nim. Zazwyczaj amulet działa na konkretną osobę, ale tym razem i ty znalazłaś się pod jego ochroną. Może ma wpływ na każdego, kto znajdzie się w jego zasięgu. To jedyne wytłumaczenie.

Podobało jej się to, co mówił. Zwłaszcza fraza: tchnął w ten talizman potężne zaklęcie.

- Przyspiesza gojenie?

Dante pokręcił głową i schował go do kieszeni.

- To jest część mojego dziedzictwa. Każdy Raintree to potrafi. Kiedy mówię, że goi się na mnie jak na psie, nam na myśli: w mgnieniu oka. Niewielka ranka nie stanowi problemu. Poważne uszkodzenie ciała zajęłoby całą noc.

- Całą noc? To okropne - przekomarzała się. - Jakie jeszcze inne niezasłużone przewagi posiadacie?

- Żyjemy dłużej niż inni ludzie. Niewiele, ale przeciętna średnia naszego życia wynosi od

dziewięćdziesięciu do stu lat. Prawie nie chorujemy. Nigdy nie byłem przeziębiony, jestem odporny na wirusy. Infekcje bakteryjne nadal mogą nas zapakować do łóżka, ale wirusy są bezradne wobec struktury komórkowej naszego organizmu.

Z wszystkich rzeczy, które jej powiedział, najbardziej niezwykłą wydała się jej odporność na katar. I na grypę.

- Nie możecie zachorować na AIDS!

- To prawda. Mamy też wyższą niż ludzie temperaturę ciała, zwykle około trzydziestu ośmiu stopni. Nie dokuczają mi zimno, chyba że są silne mrozy.

- To nie fair - zaprotestowała. - Też tak chcę. Chcę być odporna na przeziębienia i AIDS.

- I na różyczkę. I ospę wietrzną. - Patrzył na nią filuternie. - Żadnego półpaśca ani opryszczki. Jeśli chcesz być jedną z nas i już nigdy nie mieć kataru, jest na to sposób.

- Jaki? Mam zakopać czarnego kurczaka o północy w bezksiężycową noc i siedem razy tyłem obieć pieniądze?

- Masz niesamowitą wyobraźnię - powiedział rozbawiony.

- Powiedz wreszcie, jak mogę zostać Raintree? Na czym polega rytuał inicjacyjny?

- Jest bardzo stary. Słyszałaś o nim.

- Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to kurczak. No już, nie drocz się ze mną.

Jego uśmiech stał się uwodzicielski i prawdziwie seksowny.

- Miej ze mną dziecko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lorna pobladła, poczerwieniała i znowu pobladła.

- To nie jest śmieszne - rzekła sztywno i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. Podniosła poduszkę i wstrząsnęła nią, ale zamiast odłożyć na kanapę, przytuliła do siebie i stała tak z pochyloną głową.

- Nie żartuję.

- Nie powinienes... nie powinno się mieć dzieci tylko po to, żeby coś sobie załatwić. Ludzie, którzy nie chcą mieć dzieci dla nich samych, nigdy nie powinni zostać rodzicami.

- Jestem tego samego zdania - powiedział miękko.

- To bardzo poważne sprawy.

Miej ze mną dziecko. Dante gra nieuczciwie, występując z taką propozycją. Nie może naprawdę tego chcieć. Znają się od dwóch dni. To puste słowa, coś, co mężczyźni mówią kobietom, by je uwieść, od kiedy jakiś samiec przekonał się, że dla kobiety dziecko jest największym skarbem.

- Przysięgam, że mówię bardzo poważnie. - Powiedział to czule i przesunął dłonią po jej plecach, jakby chciał jej przekazać swoje ciepło, rozluźnić kurczowo napięte mięśnie.

Nie wiedziała, że jest tak bardzo spięta. Nie podejrzewała, że delikatny masaż może sprawić aż taką przyjemność. Pozwoliła mu się przytulić.

- Nie wyobrażaj sobie, że nie wiem, do czego to prowadzi - szepnęła.

- Byłbym zawiedziony, gdybyś nie odczytała moich intencji - odparł ściszym głosem.

Jego dotyk budził w niej ogień, dygotała i przestępowała z nogi na nogę. Kilka razy miała na końcu języka słówko „nie”. Przestałby, gdyby poprosiła; decyzja należała do niej - ale właśnie pewność, że wszystko jest w jej rękach, powstrzymywała ją przed powiedzeniem tego słowa. Więc tylko wyginała się jak kotka i pozwalała, by narastało w niej oczekiwanie na coraz odważniejsze pieszczoty.

Przez dwa dni krok po kroku doprowadzał ją do tego stanu. Od pierwszego pocałunku w kuchni cierpliwie rozdmuchiwał iskierkę pożądania, aż zamieniła się w mały płomyk; karmił ów płomyk pojedynczymi dotknięciami i czymś, co tak trudno zignorować: oczywistym pożądaniem. Powinna była poznać się na jego taktyce, dostrzec, jak zdobywa coraz to nowe przyczółki, i podziwiać opanowanie, z jakim pohamowuje swe pragnienia.

Wczorajsza noc spędzona w jej łóżku - bez jednego erotycznego gestu - była diabolicznie inteligentnym pomysłem. Najmniejszy ślad przymusu wywołałby w niej negatywną reakcję. Zamknęłaby się w sobie. Iskierka zgasłaby i nie dałoby się jej na nowo wykrzesać.

Ciepłe wargi przesuwają się wzdłuż jej policzka, muskając skórę i smakując ją, powoli, jakby chciał spędzić w ten sposób resztę życia. A potem trafiły wreszcie na jej usta i ostatnia nutka wątpliwości rozplynęła się w

namiętnym pocałunku. Już nie miała wątpliwości, nie zamierzała się opierać i tylko ubranie stało się nagle niewygodną przeszkodą między nimi. Chciała tego, co mógł jej dać, i chciała tego teraz. Z nagłą jasnością uświadomiła sobie, że wszystko, co zamierzała powiedzieć, musi zostać powiedziane właśnie teraz. Za minutę będzie już za późno.

Użyła całej siły woli, aby oswobodzić się z jego ramion.

- Musimy porozmawiać - wychrypiąa.

Jęknął i zaśmiał się jednocześnie.

- Wielki Boże - wymamrotał, nie mogąc ukryć frustracji. - Te dwa słowa przerażają każdego mężczyznę. Czy to nie może poczekać?

- Nie. Tu chodzi o nas.

Westchnął i oparł czoło na jej włosach.

- Jesteś sadystką. Wybrałaś najgorszy możliwy moment.

Lorna wsunęła dłoń w czarny jedwab jego włosów. Zawsze ją dziwiło, że jego skóra była tak ciepła.

- To twoja wina. Niemal ci się udało odwrócić moją uwagę. - Z trudem artykułowała słowa, jakby język nagle przestał być jej posłuszny.

- No dobrze. Skoro tego chcesz. - Powiedział to żalonym i zrezygnowanym tonem.

Chciało jej się śmiać, że przy całym swoim opanowaniu Dante zachowuje się jak typowy mężczyzna, który traci głowę na myśl o seksie. A jednocześnie był tak rozbijający, że miała ochotę stracić głowę razem z nim.

- Decyzja, czy to teraz zrobimy... zależy od ciebie.

- Głosuję na tak - szepnął jej do ucha.
- Musisz przerwać kontrolowanie mojego umysłu. Mogę być twoim więźniem albo twoją kochanką, ale nie będę jednym i drugim.

Podniósł głowę. Jego spojrzenie było uważne i chłodne.

- W tym, co teraz robimy, nie ma cienia przymusu. Nie manipuluję tobą. - W jego głosie brzmiał gniew.

- Wiem - przyznała. - Potrafię to rozróżnić, uwierz mi. Po prostu... muszę mieć prawo wyboru, czy chcę zostać, czy odejść. Muszę być wolnym człowiekiem. Nie możesz mnie traktować jak marionetki.

- To było konieczne.

- Na początku tak. Nienawidziłam tego wtedy, nienawidzę teraz, ale na początku miałeś realny powód. Teraz już go nie masz. Chyba za bardzo przywykłeś do wydawania rozkazów, draniu.

- Uciekłabyś - stwierdził krótko.

- Tak. Ale mam prawo do takiego wyboru.

Nie może mu ustąpić. Dante Raintree jest nieobliczalny i potężny jak siły natury. Związek z nim będzie wystarczająco trudny bez tego psychicznego przymusu, którym mógłby ją zniewolić. Musi uszanować jej wolność, inaczej relacja między nimi przypominałaby tę między strażnikiem a więźniem.

- Jesteśmy we wszystkim równi albo między nami nic nie będzie.

Mogła przewidzieć, że Dante nie lubi tracić kontroli nad otoczeniem. Na czysto intelektualnym poziomie

pewnie by jej przyznał rację. Wszakże w grę wchodzi też bardziej prymitywne emocje i wtedy odzywał się w nim nienawykły do oporu despota. Był gotów na wiele, byle jej nie stracić.

- Wszystko albo nic. - Spojrzała na niego wyzywająco. Zwarli się wzrokiem jak zapaśnicy na macie. - Już nigdy nie narzucisz mi przemocą swojej woli, nie użyjesz wobec mnie telepatycznej kontroli umysłu. Nie jestem twoim wrogiem. W jakimś momencie musisz mi po prostu zaufać, i ten moment właśnie nadszedł. Czy zamierzałeś uwięzić mnie na zawsze?

- Nie na zawsze. - Wyznanie to przyszło mu z trudem.
- Tak długo, aż...

- Jak długo?

- Aż sama będziesz chciała zostać.

Uśmiechnęła się i przyciągnęła go do siebie.

- Chcę zostać - powiedziała i pocałowała go.

- Ale może przyjąć chwila, kiedy będę chciała odejść. Musisz zaryzykować, a jeśli nadejdzie pora rozstania, będziesz musiał mi na to pozwolić. Ponoszę to samo ryzyko. Może pewnego dnia zmienisz zdanie i nie będziesz mnie tu chciał. Daj mi słowo honoru. Obiecuj, że już nigdy nie będziesz kontrolował mojego umysłu.

Walczyły w nim gniew i desperacja, zagryzał zęby aż do bólu. Rozumiała, że prosi go o wiele; rezygnacja z władzy jest sprzeczna z jego instynktem zarówno mężczyzny, jak i dranira. Żył w dwóch światach, normalnym i nadprzyrodzonym, i w obydwu sprawował władzę nad innymi, nawet jeśli robił to dyskretnie. Gdyby

nie był dranirem swego ludu, może nauczyłyby się pohamowywać swoją naturalną tendencję do dominacji, ale należy liczyć się z faktami - w swoim świecie to on jest królem.

Opuścił ramiona i cofnął się o krok. Utkwił w niej palące, surowe spojrzenie.

- Możesz odejść.
- To pozwolenie czy rozkaz?
- Przrzeczenie.

Aż jej zaparło dech w piersiach. Wargi jej drżały, gdy gorączkowo szukała słów, lecz Dante przerwał jej gestem.

- Jeszcze jedno.
- Co?
- Jeśli zostaniesz, nie będzie żadnych hamulców.

Uczciwe postawienie sprawy, pomyślała, dygocząc z niecierpliwości.

- Zostaje - powiedziała i postąpiła krok do przodu.

Na tyle starczyło jej czasu, bo Dante podniósł ją jak piórko i zaniósł do sypialni tak szybko, aż zakręciło się jej w głowie. Nie było już czasu na długie i subtelne uwodzenie. Zostało czyste pożądanie. Rzucił ją na łóżko. Zrywali z siebie ubranie drżącymi rękami, w pośpiechu, bez finezji.

Dante był jak żywioł: mocny, gwałtowny, nieuchronny. Lorna pragnęła tylko, aby ją pochłoniął i przeniknął, fizycznie i psychicznie. Łzy płynęły jej po policzkach, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Orgazm potężną falą zmył z niej ból, który zawsze towarzyszył jej jak cień. Była to czysta ulga i nagłe poczucie pełni, dużo

głębsze niż seksualne spełnienie, jakby nagle znalazła się brakująca częśćka jej własnej duszy i wróciła na swoje miejsce.

Została napełniona, choć nie wiedziała nawet, jak bardzo była pusta; nasycona, choć nie wiedziała, że umiera z głodu. Kiedy już była w stanie oddychać normalnie i otworzyła oczy, pierwszą rzeczą, na jaką padł jej wzrok, był ogień. Paliły się wszystkie świece w pomieszczeniu.

- Powiedz, dlaczego wypierałaś się swojego talentu?

Leżeli przytuleni, jej głowa na jego ramieniu. To, co przeżyli, wyniosło ich na orbite siódmego nieba, i przez dłuższą chwilę oboje nie byli w stanie powiedzieć ani słowa. Głaskali się tylko i pieścili, jakby dotyk miał zastąpić wszystko - dotyk niosący ukojenie i pokrzepienie, wyrażający cichą radość.

Lorna po raz pierwszy w życiu poczuła, że zostawiła gdzieś za sobą nieszczęśliwe dzieciństwo.

- Chyba się już domyśliłeś. Moja historia nie jest ani oryginalna, ani szczególnie interesująca.

- Być może. Ale i tak chcę ją usłyszeć.

Mówienie o matce przychodziło jej z trudem, choć nie widziała jej od piętnastu lat. Może zawsze będzie to dla niej niełatwe, ale przynajmniej ból i strach stały się odległe, jakby przymglone.

- Było mi źle, ale wiele dzieci ma jeszcze gorzej. Jedynym powodem, dla którego matka nie usunęła ciąży,

był zasiłek z opieki społecznej. Powtarzała mi to co miesiąc, gdy przychodził czek. Potrząsała kopertą przed moim nosem i mówiła. „Tylko dlatego żyjesz, ty mały potworze”. Pieniądze wydawała na narkotyki i alkohol.

Milczał, ale wyraz jego twarzy był wymowniejszy niż słowa. Bijące od niego ciepło otulało ją bezpiecznym kokonem.

- Najpierw były klapsy i policzkowanie, potem zaczęła ciskać we mnie wszystkim, co jej wpadło w ręce: kubkami, butelkami, nawet otwieraczem do konserw. Kiedyś trafiła mnie puszką zupy prosto w głowę. Straciłam przytomność. Głowa bolała mnie przez wiele dni. A zupy i tak nie dostałam.

- Ile miałaś lat?

- Sześć, jak sędzę. Zaczęłam chodzić do szkoły i uczyłam się liczyć. Czasem byłam tak podekscytowana, że musiałam komuś opowiedzieć, czego się dowiedziałam o liczbach, a ona była jedyną rodziną, jaką miałam. Potem tłumaczyłam się przed nauczycielką, że spadłam ze schodów.

- Lepiej by ci było w rodzinie zastępczej.

- Trafiłam do takiej, gdy miałam szesnaście lat. Pewnego dnia matka po prostu nie wróciła. I pamiętam, że chociaż dobrze wiedziałam, jak bardzo mnie nienawidzi, bo nie było dnia, by mi tego nie wyznawała, to jednak poczułam się opuszczona. Byłam na tyle duża, żeby sobie jakoś poradzić. Tylko małe dzieci są gotowe poświęcić wszystko, żeby mieć namiastkę rodziny. - Westchnęła. - Wiem, że zachowałam się nieracjonalnie, gdy usłyszałam

słowo „dziecko”. Przepraszam. To jeden z moich słabych punktów.

- Niech cię to nie wyprowadzi z równowagi - uśmiechnął się - ale to nie był żart. Kiedy kobieta rodzi dziecko spłodzone przez jakiegoś Raintree, sama staje się Raintree. Nie rozumiem, jak to działa. Ma to coś wspólnego z hormonami, mieszaniami się krwi i dominującymi genami dziecka. Może nie da się tego wytłumaczyć naukowo, ale magia nie potrzebuje logiki.

To ją zaintrygowało. Jak zresztą wszystko, czego się do tej pory dowiedziała o tym niezwykłym plemieniu. To była odmienna rzeczywistość, odmienny sposób życia, a jednak istnieli w rzeczywistym świecie. Świat nic o nich nie wiedział, bo ujawnienie się groziłoby podstawom ich egzystencji. Lorna nie miała złudzeń co do ludzi: ludzie niszczą wszystko, co odmienne.

- A co z mężczyznami, którzy mają dzieci z kobietami z klanu? Czy to doświadczenie ich zmienia?

- Nie - odparł Dante. - Pozostają ludźmi.

To jej się wydało niesprawiedliwe, ale Dante tylko wzruszył ramionami.

- Życie nie jest idealne. Trzeba to przyjąć do wiadomości.

Lorna wiedziała, jak to jest. Ale wiedziała też, że w tej chwili jest bardzo, bardzo szczęśliwa.

Płonące świece dawały tyle ciepła i światła, że przez chwilę poczuła się nieswojo. W tym momencie przyszła refleksja: Dante i ogień są nie do rozdzielenia. Nie lubiła

ognia, pewnie nie pozbędzie się lęku przed nim, ale... życie nie jest idealne. Trzeba to przyjąć do wiadomości.

- Możesz zgasić świece? - zapytała.

Uniósł głowę z poduszki, jakby dopiero teraz spostrzegł, że wszystkie się palą.

- Oczywiście. - I nagle wszystkie płomyki zgasły.

Lorna przeturlała się na niego, pocałowała go i uśmiechnęła się filuternie.

- A teraz, mój chłopcze, sprawdzimy, czy potrafisz znowu je zapalić.



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Niedziela rano

Została z nim.

Dante wrócił do sypialni z balkonu, gdzie jak zwykle witał wschód słońca, i głębokie zadowolenie przepełniło go na widok Lorny śpiącej snem sprawiedliwego. Spod kołdry wyglądał tylko czubek jej głowy. Ciemnorude włosy rozsypały się na poduszce, tworząc ognistą plamę. Dobrze rozumiał, jak szczęśliwa musiała się czuć, skoro nie zakryła się cała, jak to miała w zwyczaju.

Poczuła się bezpieczniejsza. Nie kompletnie bezpieczna, jeszcze nie, ale postęp już był. Kiedy leżał obok, wyciągała się na całą długość, ale gdy znikał, nawet na pięć minut, zwijała się w kłębuszek. Pewnego dnia - choć może jeszcze nie w tym tygodniu i nie w tym roku - zobaczy ją rozłożoną na łóżku, z odkrytą głową, a może nawet bez kołdry. Wtedy będzie wiedział, że Lorna czuje się bezpieczna.

A kiedy nadejdzie taki dzień, że nie będzie nerwowo sprawdzał, co właściwie porabia jego kobieta, będzie to oznaczało, że on także czuje się bezpieczny.

Nie śledził każdego jej kroku, duma mu na to nie pozwalała, ale taka chęć mu nieustannie towarzyszyła.

W sobotę nie poszła z nim. Diler miał dostarczyć nowego jaguara, a ona została, by go odebrać. Sprzedawca

zadzwoił później do Dantego, informując o sfinalizowaniu transakcji. Dante czekał na telefon od Lorny, ale się nie odezwała. Dobrze wiedział, że rano dostarczono także jej własne auto, czerwoną corollę z lekko powgniataną i przerdzewiałą karoserią. Była wolna, miała pieniądze i własne cztery kółka. Gdyby chciała odejść, nie stanąłby jej na przeszkodzie. Dał słowo.

Kusiło go, by zadzwonić, ale dobrze wiedział, że to by niczemu nie zapobiegło. Mogłaby go opuścić zaraz po zakończeniu rozmowy. Mógł tylko mieć nadzieję. I się modlić.

Wrócił do domu, gdy zachodziło słońce. Nowiutkiego jaguara zaparkowano na dworze, gdzie był wystawiony na słońce i piasek. W środku stał jej stary samochód. Dante poczuł taką ulgę, że ugięły mu się kolana. Nie obchodził go nowy wóz - widok jej auta wart był wszystkich pieniędzy świata.

Spotkała go w drzwiach kuchni, ubrana w szorty i jedną z jego jedwabnych koszul, z marsem na twarzy.

- Wpół do dziewiątej. Umieram z głodu. Zawsze pracujesz do tej pory? Czy wiesz, co zostało z kolacji?

Zaśmiał się tylko, wziął ją w ramiona i wymownie pokazał, co będzie na kolację. Do dziesiątej nie było mowy o jedzeniu.

W czwartek pojechała z nim do hotelu. Prace kontynuowano z gorączkowym pośpiechem. Dostał zgodę na wyburzenie resztek kasyna i wkrótce będzie mógł na tym miejscu postawić nowe. Było tyle pracy, że przekazał część zadań Lornie, nie mogąc być w dwóch miejscach

jednocześnie. Perwersyjną przyjemność sprawiało mu obserwowanie, jak wydaje polecenia Ałowi Rayburnowi. Al, jak to Al, przyjmował wszystko z dużą dozą dobroduszości, ale Lorna miała niezłą frajdę, a jego cieszyło jej rozradowanie.

Na lunch poszli do jego apartamentu i zapalili świece. Dwukrotnie.

W piątek znowu nie mogła mu towarzyszyć. Denerwował się przez cały dzień, a ulga na widok jej samochodu była tak przejmująca jak w środę. Wtedy właśnie powiedział sobie prawdę.

Kocha ją. Nie chodzi tylko o seks, o przelotny romans. To jest prawdziwe uczucie. I to jest ta jedyna. Kochał jej odwagę, waleczność, nawet jej złe humory. Uwielbiał złośliwe przycinki, upór i wrażliwość, którą tak niechętnie ujawniała.

Gideon będzie miał niezłą uciechę, nie tylko dlatego, że starszy brat wpadł po uszy, ale też z ulgi, że jeśli opatrność będzie łaskawa, już wkrótce straci swoją pozycję następcy tronu.

Nawet teraz, dwadzieścia cztery godziny później, na samo wspomnienie piątkowej nocy kręciło mu się w głowie. Niechętnie wyjął wtedy prezerwatywę. Lorna obserwowała go, jakby śledziła toczącą się w nim walkę. Wreszcie, bez słowa, odrzucił prezerwatywę na bok i spojrzał na nią pytająco. Jeśli mu każe, weźmie drugą. Wybór należał do niej.

Wówczas przyciągnęła go do siebie. Myśl o kolejnych trzydziestu minutach doprowadzała do wrzenia krew w

żyłach. Znowu miał ochotę wypełnić ją sobą, dać jej siebie do ostatniej kropli. Ale wcześniej czeka ich rozmowa. Piątkowa noc miała zbyt poważne konsekwencje, by pominąć ją milczeniem.

Usiadł z westchnieniem na brzegu łóżka i zgasił świece. Płonące świece były bezużyteczne jako barometr jego samokontroli. To miała być bardzo emocjonalna rozmowa, wymagająca delikatności i ostrożności.

- Lorno. Obudź się.

Jak zwykle, najpierw zeszytywniała, potem otwarte oko łypnęło znad brzegu kołdry.

- Dlaczego? Dziś jest niedziela, dzień odpoczynku. Odpoczywam. Daj mi spokój.

- Obudź się, pora na śniadanie. - Ściągnął z niej kołdrę.

- Nabierasz mnie. Byłeś na balkonie. - Naciągnęła kołdrę z powrotem na głowę.

- Skąd wiesz? Przecież spałaś.

- Nie powiedziałam, że śpię. Powiedziałam, że odpoczywam.

- Jedzenie to nie praca. Chodź. Mam świeży sok pomarańczowy, kawę, chrupiące rogaliki, a wschód słońca jest dzisiaj bajeczny.

- Dla ciebie, ale jest dopiero wpół do szóstej. I to w niedzielę. Chcę mieć jeden dzień w tygodniu, gdy nie będziesz mnie zrywał o świcie.

- W następną niedzielę będziesz się mogła wylegiwać do południa. - Zamiast walczyć z nią o kołdrę, uszczypnął ją w pośladek.

Pisnęła i wyskoczyła z łóżka.

- Zapłacisz mi za to! - ostrzegła i zamknęła się w łazience.

Pięć minut później siadła obok niego na tarasie, owinięta w gruby szlafrok i ciągle nadaśana. Gdy rozchyłały się poły, na szyi Lorny połyskiwał złoty łańcuszek. Podarował jej go w środę wieczorem, wraz z ochronnym talizmanem.

Zrobił go specjalnie dla niej. Z zapartym tchem obserwowała, jak Dante pochyla się nad wisiorkiem, ogrzewa go swoim oddechem i mamrocze jakieś zaklęcia w zapomnianym celtyckim języku. Talizman wyemitował delikatne zielone światło, a później przygasł. Kiedy Dante zawieszał jej łańcuszek na szyi, Lorna miała łzy w oczach. Od tej pory nie zdejmowała go nawet do mycia.

Poranny zły humor szybko jej przeszedł. Rozchmurzyła się już przy drugim kęsie rogalika. Poczekał do końca śniadania i wtedy zapytał prosto z mostu:

- Zostaniesz moją żoną?

Zareagowała podobnie jak na wzmiankę o dziecku. Zbladła, poczerwieniała i stanęła plecami do niego przy balustradzie. Dante znał się na kobietach, a Lornę kochał, więc nie zostawił jej samej. Otoczył ją ramionami, położył dłonie na jej rękach, przekazując jej swoje ciepło.

- Tak trudno odpowiedzieć na to pytanie?

Ramiona jej drżały. Zaniepokojony odwrócił ją twarzą do siebie. Spływały po niej łzy.

- Lorno?

- Przepraszam - powiedziała, ocierając oczy. - To głupie. Ale do tej pory nikt mnie nie chciał.

- Nie wierzę. Pewnie nie zauważałaś zainteresowanych tobą mężczyzn. Ja pragnę cię od pierwszej chwili.

- Nie o tym mówię. Chodzi mi o coś ważnego, na zawsze.

- Kocham cię - wyznał cicho.

- Wierzę ci. - Głośno przełknęła ślinę. - Zorientowałam się, kiedy rozbiłeś samochód, żeby mnie uratować. Od tej chwili wiem, że nie będę w stanie odejść, chyba że mnie wyrzucisz. Powtarzałam sobie, że to czysto erotyczna fascynacja, ale gdzieś w środku czułam miłość, i to mnie śmiertelnie przerażało. - Zaśmiała się niepewnie, choć oczy miała pełne łez. - Wystarczyły dwa dni, żebyś mnie zdobył.

- Może czas był krótki, ale sporo razem przeżyliśmy.

- Sporo? - Ożywiła się gwałtownie. - Porwałeś mnie, przeszedłeś ze mną przez ogień, wdarłeś się do mojego umysłu i wyssałeś wszystkie siły, zerwałeś ze mnie ubranie i uwięziłeś mnie!

- Nie powiedziałem, że wszystko było przyjemne. A ty masz fatalny dobór słów. Wyssałeś wszystkie siły, akurat.

- Gwałt psychiczny też ci się nie podobał - odparła kwaśno. - Chyba lepiej wiem, jak było.

- Kiedy łączymy się z kimś z własnej woli, to wcale nie jest...

- Dobry Boże! - krzyknęła przerażona. - Chcesz powiedzieć, że niektórzy z was robią takie rzeczy dobrowolnie?

- Właśnie ci próbuję wytłumaczyć, że to nie musi być bolesne, jeśli jest robione prawidłowo. Kiedy wraz z Gideonem odwiedzamy Mercy w Sanktuarium, łączymy się w trójkę, aby otoczyć święte dla nas miejsce zaklęciem ochronnym. To zabiera sporo czasu, ale nie jest bolesne. Czy wreszcie odpowiesz...

- Mam nadzieję, że istnieje jakieś prawo, które zabrania robienia tego bez obopólnej zgody.

- Nie ma.

- Chcesz powiedzieć, że każdy Raintree może przemocą włamać się do umysłu innego człowieka i nic mu za to nie grozi?

Narastała w nim frustracja. Czy Lorna nigdy nie odpowie na jego pytanie?

- Tego nie powiedziałem. Niewielu spośród nas ma taką moc, żeby opanować cudzy mózg wbrew woli właściciela.

- I akurat ty należysz do wybranych - stwierdziła sarkastycznie. - Na moje szczęście.

- To dotyczy tylko rodziny królewskiej. A jeśli jeszcze pamiętasz, zapytałem, czy chcesz zostać jedną z nas.

Uśmiechnęła się tak promiennie, jakby słońce rozświetliło ją od środka.

- Oczywiście, że chcę zostać twoją żoną. Czy w ogóle miałeś jakieś wątpliwości?

- Nigdy nie wiem, co ci przyjdzie do głowy za minutę. Pomyślałem, że pokochałaś mnie, skoro zostałaś. A ostatniej nocy... - Podniósł palcem jej podbródek, by spojrzeć w oczy. - Nie chciałaś żadnych zabezpieczeń i to było jak wyznanie.

Patrzyła na niego z dziwnie nieobecna miną.

- Co się dzieje? - spytał zaniepokojony.

- Zimno mi. Tak samo... - Urwała i z wyrazem absolutnego przerażenia popchnęła go z całej siły.

Nie był przygotowany na nagłe uderzenie. Złapał ją, zatoczył się i przewrócił, pociągając ją za sobą. Upadli na podłogę, kłębowisko rąk, nóg, szlafroków. W tym samym momencie wielkie przeszklone drzwi zadrżały i posypały się z nich odłamki szkła. Krótki szczekliwy odgłos odbił się echem od pobliskiego pasma gór.

Wystrzały z karabinu.

Dante zagarnął Lornę, odbił się mocno i rzucił się jednym susem do środka. Zaterkotała kolejna seria strzałów. Przeturlał się z nią w ramionach w bardziej osłonięte miejsce, tam zerwał się na nogi i wyciągnął ją za sobą na korytarz.

- Leż płasko - polecił jej, gdy starała się podnieść, i przycisnął ją ręką do podłogi.

Myśli galopowały jak szalone. Pożar. Strzelanina między gangami, gdy Lorna i on znaleźli się na linii strzału. Teraz ktoś znowu usiłuje go zabić. To nie była seria wypadków, wszystkie są ze sobą związane. Straż pożarna nie znalazła śladów podpalenia, a to znaczy tylko jedno.

Władca ognia nie potrzebuje zapalek, by rozpaścić ogień, by go rozniecić w potężny pożar. To dlatego nie był w stanie go ugasić. Ansarowie!

Ryknął ze złości. Musieli zebrać przynajmniej kilku, by porwać się na taki pomysł jak spalenie Dantego. Wiedzą, że będzie walczył z ogniem do końca, aż żywioł go pochłonie. Gdyby nie Lorna, ich plan by się powiódł.

To przejmujące zimno, które odczuwała, znaczyło po prostu, że jakiś Ansarczyk jest w pobliżu.

- Miałeś na czole czerwoną kropkę. - Lorna szczykała zębami tak bardzo, że z trudem wypowiadała słowa, a może po prostu zbyt mocno przyciskał ją do podłogi.

Laserowy celownik. To nie przypadek. W grę wchodzi spisek i zamach.

Snajper zawiódł. Czy przyślą kolejnego? Musi założyć, że napastników jest więcej, że istnieje jakiś plan zapasowy. Nie spróbują go spalić, skoro pierwsza próba się nie powiodła. Uznali zapewne, że ma wystarczające siły, by zwalczyć każdy ogień, który na niego naślą. Ale co jeszcze wymyślą?

Cokolwiek by to było, musi ich pokonać. Musi chronić Lornę.

- Zostań tu - polecił, zrywając się na nogi.

Gramoliła się za nim. Ta kobieta nie umie słuchać.

- Powiedziałem, żebyś została! - krzyknął, łapiąc ją za ramię i zmuszając, by leżała płasko. Miał szczerą ochotę przykuć ją do miejsca mentalnym poleceniem, ale

przrzekł jej - do diabła, dał słowo - że już nigdy tego nie zrobi.

- Chciałam wezwać policję. - Była wściekła z powodu jego brutalnych reakcji i własnej bezsilności.

- Nie warto. Policja sobie z tym nie poradzi. Zostań tutaj, Lorno. Nie chcę, żebyś się dostała w krzyżowy ogień między nami.

- O kim mówisz? Jakimi „nami”? - krzyknęła w ślad za nim, gdy zbiegał po schodach. - Co zamierzasz zrobić?

- Chcę zwalczyć ogień ogniem - odparł ponuro.

Dante miał ogromną przewagę. To był jego dom, jego teren, znał tu każdy zakamarek. Zabezpieczył się na różne sposoby. W końcu nosi nazwisko Raintree, jest dranirem swego ludu i ostrożność ma we krwi. Wyszedł na zewnątrz ukrytym tunelem, który znajdował się pod domem. Wiedział dokładnie, gdzie krył się zabójca w momencie, gdy mierzył do niego z celownika, toteż łatwo będzie go dopaść.

Morderca był sam. Nie było śladów drugiej osoby.

Dante nie miał zamiaru wziąć napastnika żywcem ani dopuścić do walki wręcz. Skradał się wawozem bezszelestnie, jak wielki kot okrążający swą ofiarę. W oczach miał śmierć. Zamachowiec musiał ukryć się gdzieś za stertą odłamków skalnych. Potrzebował stabilnego podłoża, a głązy pozwalały na zajęcie dogodnej pozycji. Wawóz stanowił też dobrą kryjówkę. Łatwo było się do niego zakraść.

I łatwo go opuścić.

Gdy wyskoczył zza załomu skalnego, stanął twarzą w twarz z mężczyzną, który miał na sobie wojskowy strój maskujący i mierzył do niego z karabinu. Dante nie zawahał się. Strzelec ledwo zdążył dotknąć spustu, gdy zapalił się jak żywa pochodnia.

Jego rozpaczliwe wrzaski rozniosły się po okolicy. Upuścił karabin, padł na ziemię i zaczął tarzać się, próbując ugasić ogień, ale Dante z całym okrucieństwem nie pozwalał płomieniom zgasnąć. Ten drań omal nie zabił Lorny. Nie było w jego sercu miłosierdzia dla tych, którzy podnoszą rękę na jego ukochaną. Wrzaski zamieniły się w wycie, potem skomlenie, coraz mniej przypominające ludzki głos.

Dante jednym gestem ugasił ogień.

Mężczyzna dogorywał. Z trudem można było poznać, że osmolona kłoda była kiedyś człowiekiem.

Dante odwrócił napastnika na plecy. Uderzyło go spojrzenie niezwykłych, przepelnionych nienawiścią oczu gorejących w tej spalonej twarzy. Z gardła, które nie miało już prawa wydać głosu, wydobyło się bardziej tchnienie niż słowa.

- Za późno. Za późno.

I w tym momencie umarł. Dante stał jak wryty, szukając znaczenia niespodziewanych słów.

Za późno? Na co jest za późno?

Dotknął zmarłego. Ansarczyk. Kiedy mężczyzna wił się w agonii, nienawiść promieniowała z niego jak pole siłowe. Do Dantego dotarło znaczenie jego ostatnich myśli.

Za późno.

Może ostrzec Mercy, ale nic więcej.

- Do diabła! - zaklął i ruszył przed siebie pędem.

Lorna go posłuchała i została w tym samym miejscu. Była w kuchni, zaglądała do lodówki, gdy wpadł tam i złapał najbliższy telefon. Najpierw zadzwonił do Mercy. Potem do Gideona, który mógł dotrzeć do siostry znacznie szybciej niż on.

Połączenie było fatalne. Dante słyszał tylko trzaski - w końcu dziś było letnie przesilenie i pole elektryczne wytwarzane przez Gideona było zabójcze dla całej elektroniki w jego otoczeniu.

- Natychmiast jedź do Mercy. Ansarowie przypuścili szturm na Sanktuarium. - Trzasnął słuchawką i otworzył drzwi do garażu.

Firmowym odrzutowcem w ciągu czterech godzin dotrze na lotnisko najbliższe Sanktuarium. Z pokładu samolotu jeszcze raz spróbuje połączyć się z Gideonem.

Dwieście lat temu Ansarowie usiłowali pokonać klan Raintree i ponieśli klęskę. Teraz spróbowali znowu i tym razem może im się udać. Zniszczą Sanktuarium, a wraz z nim - Mercy i jej córeczkę Eve.

- Dokąd jedziesz? - krzyknęła Lorna, gdy wskoczył do lotusa.

- Zostań! - polecił jej po raz ostatni i wyjechał z garażu. Nie zamierzał zabierać Lorny do Sanktuarium. Nie wiedział, czy wróci stamtąd żywy, chciał przynajmniej mieć pewność, że ona jest bezpieczna.

- Jeszcze zobaczymy - warknęła wściekle, przebijając się szybko. Dante Raintree nie jest jedyną na świecie osobą, która umie postawić na swoim. Jeśli sądzi, że ona będzie grzecznie siedziała w domu, gdy on walczy z jakimiś nadprzyrodzonymi siłami, przekona się wkrótce, jak dalece się pomylił.

